W ciągu 10 lat od wyjazdu z Polski, w Nowym Jorku zrobił karierę — — teraz wystawia w Łodzi.

Populacja Czesława Czaplińskiego

ANDRZEJ BRYCHT

czytaj strona 7

Paloma Picasso

- Dlaczego Leszek Jezierski nie został trenerem reprezentacji Polski? str. 6
- Konflikty narodowościowe w ZSRR — str. 4
- Jak umierają wybrani przez Boga str. 6
- Nocne życie w dyskotece — str. 2

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 28 (1632) ROK XXXII 9 LIPCA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

Rys. Dariusz Romanowski

PEKIN: Zanim zaczęła się masakra na Placu Niebiańskiego Spokoju.

Rozstrzelana nadzieja

PIOTR PAWEŁCZYK

Mijał ósmy miesiąc mojego pobytu w Pekinie. W tutejszym Instytucie Języków Obcych uczyłem się języka chińskiego, będąc stypendystą naszego Ministerstwa Edukacji Narodowej. Chiny, przy bliższym poznaniu, nie są tak barwne i bajkowo egzotyczne, jak wówczas gdy zwiedza się ten kraj podczas kilkunastodniowej wycieczki. Szary tłum Chińczyków, wszędobylski brud i trudy codziennego życia — przytłaczają po miesiącach pobytu tutaj, z daleka od rodziny i kraju.

Przygnębiające wrażenie zagubienia w tym obcym azjatyckim świecie pogłębia ogromna bariera językowa, która czyni z przyjezdnych osoby swoiście głuche i nieme, bezradne w obliczu toczącego się wartko i niezrozumiale wokół nich życia. Język w tym kraju jest kluczem, który otwiera ludzkie serca, przełamując barierę nieufności, pozwalając uwolnić się od wyselekcjonowanych wiadomości, na które jest skazany obcokrajowiec, czytający anglojęzyczne gazety i słuchający jedynie anglojęzycznych programów.

Od czasu gdy po raz pierwszy po kilku miesiącach intensywnej nauki języka, byłem w stanie nawiązać rozmowę z przypadkowo spotkanym na ulicy prostym człowiekiem, dopiero wtedy Chińczycy wydali mi się dużo bardziej otwarci i przyjaźni. Ciągle jednak uważałem ich za ludzi, których stać jedynie na bezgraniczne posłuszeństwo i przytakiwanie władzy, która w ramach specjalnego systemu starannie kształciła u swoich obywateli rodzaj bierności, wykluczający bardziej samodzielne myślenie. Nawet przez myśl mi nie przechodziło, że moja ocena Chińczyków może się bardzo szybko zmienić. Pewnego dnia, a było to pod koniec kwietnia 1989 r., podekscytowana nauczycielka, podczas lekcji gramatyki chińskiej obwieściła z przejęciem o śmierci Hu Yaobanga. Mnie — nie zorientowanemu w polityce chińskiej to nazwisko niewiele mówiło oprócz tego, że do niedawna był I sekretarzem KC Komunistycznej Partii Chin. Zacząłem dociekać źródeł niezwykłego poruszenia związanego ze zgonem Hu Yaobanga. Otóż **Hu Yaobang był wybitnym politykiem, który zaskoczył Państwo Środka swoim liberalizmem i urzeczywistnieniem idei demokracji. Będąc od 1981 r. przywódcą KP Chin wielokrotnie zaznaczał, że reform ekonomicznych nie można oddzielać od reform politycznych, na które nie godziło się bądź co bądź leciwe Biuro Polityczne KC tej partii.**

Hu chciał stworzyć nowoczesne Chiny, oparte na realiach współczesności.

W różny sposób pokazywał, że należy raz na zawsze zerwać z pozostałościami mrocznych czasów „rewolucji kulturalnej". Wielokrotnie dawał dowody, że jest przyjacielem młodzieży, zaznaczając, że to ona w dużej mierze przyczyni się do zajęcia przez Chiny miejsca wśród potęg współczesnego świata. W roku 1987, Hu stracił jednak fotel I sekretarza, praktycznie został odsunięty od życia politycznego, mimo pozostawienia go w składzie członków Biura Politycznego KC KPCh. Ten nagły kryzys w karierze politycznej nastąpił, gdy poparł wystąpienia pekińskich studentów na rzecz poszerzenia swobód demokratycznych.

Następnego dnia, wraz z jednym z moich kolegów, sympatycznym Johnem ze Szkocji, pojechaliśmy w kierunku placu Tiananmen (Plac Niebiańskiego Spokoju), aby sprawdzić pogłoskę o mających się tam odbywać demonstracjach. Byliśmy zawiedzeni, ponieważ w pobliżu Pomnika Bohaterów kłębiło się około 400—500 osób, a wśród nich tylko garstka studentów, z nielicznymi transparentami ku czci zmarłego. Na pomniku, na małych skrawkach papieru pozalepiana była „bibuła" z wierszami anonimowych autorów, domagających się większej wolności i swobód obywatelskich. Wokół każdej kartki kłębił się „tłumek", który wyrywał sobie z rąk porozrzucane ulotki.

Przyglądaliśmy się wszystkiemu, okrążając plac i zawróciliśmy do Instytutu, gdy przy stacji metra Fu Xing Men, zobaczyliśmy coś co przeszło nasze wszelkie oczekiwania. Trzeba tu dodać, że jeszcze wtedy 60-tysięczny tłum robił na nas wrażenie. Od strony przedmieścia nadchodziła właśnie tej wielkości potężna grupa studentów. Z wielokilometrowej kolumny, co chwila rozlegała się **„Międzynarodówka"** i hasła, raz po raz wykrzykiwane przez tuby i powtarzane przez tysiące demonstrantów: **„Kochamy Naszą Ojczyznę", „Precz z korupcją", „Kochamy Hu Yaobanga"**. Wszędzie panował idealny porządek, komunikacja nadal funkcjonowała, milicja nie reagowała, a wielotysięczny tłum gapiów przyglądał się wszystkiemu beznamiętnie.

Wróciliśmy na uczelnię. Przez godziny naszej nieobecności studenci chińscy zdążyli ponaklejać plakaty prawie na każdym budynku. Na ścianach i tablicach informacyjnych pojawiły się „gazetki wielkich hieroglifów", w których nawoływano do strajków oraz uczestnictwa w dalszych demonstracjach. Otwarcie krytykowano zakłamanie prasy, skorumpowanie wyższych urzędników państwowych oraz pogarszający się poziom życia przeciętnych obywateli. Przed każdą z gablotek gromadziły się dosłownie tłumy czytające w milczeniu. Ludzie zachowywali się dziwnie i jak gdyby, nie wierząc własnym oczom, bali się komentować cokolwiek.

Pochody i demonstracje trwały bezustannie.

Uniwersytet Pekiński strajkował już cały, Szkoła Lotnicza i Uniwersytet Ludowy także. W moim Instytucie strajkował cały departament języków wschodnioeuropejskich, w tym także studenci chińscy uczący się języka polskiego i część kadry nauczycielskiej. Najbardziej aktywne uczelnie zdążyły się już skonsolidować. Wybrano kierownictwo akcji strajkowej i sformułowano postulaty, domagając się jednocześnie rozmów z rządem. W czasie tych burzliwych dni doszło do tragicznego incydentu przed dzielnicą rządową — przez samochód po-

4

E. von Weizsaecker porównał III Rzeszę do sklepu, w którym jest wiele towarów, jakie mogą zainteresować ZSRR, ale propozycję tę przyjęto z nieufnością. (1)

Jak hitlerowcy namawiali ZSRR do współpracy

WILNIS SIPOLS

3 kwietnia 1939 roku w Niemczech wydana została dyrektywa mówiąca, iż wojska niemieckie mają być gotowe do napaści na Polskę do 1 września 1939 roku. Plan tej operacji (plan „Weiss") został zatwierdzony 11 kwietnia.

W celu zapobieżenia wojnie rząd radziecki wystąpił 17 kwietnia 1939 roku z propozycją zawarcia między ZSRR, W. Brytanią i Francją układu o pomocy wzajemnej w przypadku agresji, jak też o udzieleniu pomocy krajom Europy Wschodniej w przypadku agresji przeciwko nim. Rozpoczęły się rozmowy radziecko-brytyjsko-francuskie. Związek Radziecki przywiązywał szczególne znaczenie do zapobieżenia napaści Niemiec na Polskę i państwa nadbałtyckie, bowiem w przypadku ich zajęcia wojska niemieckie podeszłyby bezpośrednio do zachodnich granic ZSRR.

W tych warunkach Niemcy zaczęły przejawiać zainteresowanie osłabieniem napięcia w stosunkach z ZSRR. P. Kleist, doradca ministra spraw zagranicznych Niemiec Joachima von Ribbentropa do spraw Europy Wschodniej, otrzymał od niego 7 kwietnia odpowiednie dyspozycje. Na osobiste polecenie ministra propagandy Josepha Goebbelsa zmienił się ton prasy niemieckiej w stosunku do ZSRR, zaczęło się pojawiać w niej mniej zwyczajowych już materiałów antyradzieckich.

Dyplomaci niemieccy rozpoczęli od rozmów na temat rozszerzenia radziecko-niemieckich stosunków handlowo-gospodarczych. 17 kwietnia 1939 roku sekretarz stanu w MSZ Niemiec E. von Weizsaecker powiedział w rozmowie z radzieckim przedstawicielem dyplomatycznym w Berlinie A. Mieriekałowem:

„Między Niemcami i ZSRR istnieją pryncypialne różnice polityczne. Mimo wszystko jednak chcą one rozwijać z nimi stosunki gospodarcze".

5 maja 1939 r. szef referentury wschodnioeuropejskiej Wydziału Polityki Gospodarczej niemieckiego MSZ J. Schnurre poinformował radzieckiego charge d'affaires ZSRR w Niemczech G. Astachowa (ambasador A. Mieriekałow opuścił Berlin w kwietniu 1939 roku i przez dłuższy czas na czele przedstawicielstwa stał G. Astachow), iż strona niemiecka zgadza się, by Zakłady „Skoda" zrealizowały zamówienia radzieckie, złożone jeszcze przed [illegible] przez Niemcy państwa czechosłowackiego. Był to wyraźny symptom, tym bardziej, iż chodziło o zamówienia na materiały wojskowe.

W liście do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych z 12 maja G. Astachow uogólnił swoje obserwacje odnośnie do tendencji przejawiających się w Berlinie w stosunku do ZSRR:

„Niemcy usiłują stworzyć wrażenie nadchodzącej czy wręcz już istniejącej poprawy stosunków niemiecko-radzieckich. Odrzucając wszelkie bezpodstawne pogłoski, fabrykowane tutaj przez Niemców lub przez próżnych korespondentów zagranicznych, można na razie skonstatować jako niewątpliwy fakt tylko jedno — zauważalna zmiana tonu prasy niemieckiej w stosunku do nas. Zniknęły brutalne wymyślania, zaś działacze radzieccy są nazywani ich prawdziwymi nazwiskami z wymienianiem ich oficjalnych stanowisk bez obraźliwych epitetów.

Zwracając jednakże uwagę na te momenty — pisał dalej chargé d'affaires — *nie możemy, rzecz jasna, zamykać oczu na ich powierzchowny i nie zobowiązujący Niemców do niczego charakter. Prasa może zmienić ton w drugą stronę w każdej chwili, ponieważ nie zademonstrowała ona żadnego pryncypialnego odejścia od poprzedniej linii, stawszy się jedynie bardziej powściągliwą w stosunku do nas*

5

Adres redakcji:
90 113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A Makowski, Zenon J Michalski, Adam Ochocki Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń, Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel 32-59-11.
Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz**, tel 36-80-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul Sienkiewicza 3/5.
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.
Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa Książka-Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 23 00 958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1477. D-10.

Przegląd prasy

Kilka ciekawych tekstów na temat współczesnej młodzieży zawiera najnowsze wydanie miesięcznika „WIĘŹ" (nr 4). Stanisław Szediw obserwował życie nocne w warszawskim klubie „Remont". O godzinie 23 zaczyna się dyskoteka. Przychodzą grupy złożone z samych mężczyzn lub kobiet. Rzadko zdarzają się pary. Mężczyźni pragną poderwać dziewczynę na noc, a kobiety chcą poznać kogoś interesującego. Taniec traktowany jest często jako zło konieczne. Sala taneczna wydaje się areną gry, w której wszystko podporządkowane jest erotyzmowi. Ruch ciał zastępuje sztukę konwersacji. W rozwoju akcji można wyodrębnić trzy etapy:

„Faza pierwsza trwa od wejścia do klubu do mniej więcej godziny pierwszej w nocy. Czas ten wykorzystywany jest przede wszystkim na zawieranie wstępnych znajomości, walkę o miejsce przy barze. Pije się szybko i dużo, niejako na zapas, a to z kolei wpływa na sposób zachowania i zawierania znajomości. (...) Faza druga — od godziny pierwszej do około trzeciej nad ranem. Już na początku tego okresu znika nerwowość, jaka towarzyszyła poszukiwaniom przyszłego partnera. Obraz baru prezentuje się o wiele stabilniej, bowiem większość gości dyskoteki podobierała się w pary i „w ciszy i spokoju" dokonuje ostatniej weryfikacji trafności wyboru. Atmosferę psują nieco ci, którzy przecenili swoje alkoholowe możliwości i obecnie próbują manifestować uczucia poprzez tłuczenie kieliszków, wybijanie szyb lub zębów, ale są oni szybko i sprawnie usuwani z zabawy przez służbę porządkową. Panuje nastrój wesołej, nieskrępowanej zabawy. Część par opuszcza dyskotekę, ale nie na długo. Większość po krótkim spacerze do pobliskiego akademika i nieco dłuższym tam pobycie, powraca do klubu i kontynuuje zabawę z tym samym lub innym partnerem. Mniej zaradni wyszukują co cenniejsze kąty, aby w ich zaciszu dochodzić prawdziwości swych uczuć. W tej fazie zabawy służba porządkowa ma najwięcej pracy, usuwając awanturujących się pijanych. Około godziny trzeciej wychodzą najbardziej zmęczeni, pozostawiając pole wytrwałym. Faza trzecia — między trzecią a czwartą nad ranem. Pojawiają się pierwsi taksówkarze, nieomylny znak, że zabawa ma się ku końcowi. Przed czwartą będzie ich około dziesięciu — piętnastu. Wchodzą za darmo, gdyż odwożą do domu nie tylko uczestników, ale i obsługę. Jeżdżą na tzw. układ, czyli według stawek nie mających nic wspólnego ze wskazaniem taksometru".

Podczas dyskoteki funkcjonują dwa barki: prowadzony przez „Universitas" i ajencyjny. Pierwszy znajduje się obok sali tanecznej, czyli serca dyskoteki, a do drugiego wchodzi się po schodkach. W barku ajencyjnym przebywają osoby ubrane elegancko. Powoli sączą drinki, palą Winstony, Malboro, Camele. Barek ten otwierany jest dwie godziny później niż sama dyskoteka, kiedy już brakuje biletów w kasie. Spóźnionym klientom otwierają drzwi banknoty o nominale kilku tysięcy czy kilka dolarów wręczane od niechcenia bramkarzowi.

„Cechą charakterystyczną bywalców barku ajencyjnego jest brak ekstrawagancji w strojach. Przeważają ubiory drogie, nabywane za granicą, w Pewexie, ewentualnie na bazarze w Rembertowie, ale są one dobrze skomponowane, pozbawione silnych kontrastów. Często widuje się tu garnitury, eleganckie wieczorowe suknie, choć nie brak także najmodniejszego spranego dżinsu. Zdecydowanie ważniejszą rolę pełnią dodatki takie jak sygnety, łańcuszki czy szwajcarskie zegarki. Dość często także zauważyć można wystający z kieszeni paszport. Fryzury gości z baru są zadbane, sprawiają wrażenie układanych specjalnie na ten jeden wieczór".

Bywalcami barku ajencyjnego są głównie rzemieślnicy, taksówkarze, handlarze obcą walutą i towarzyszące im prostytutki. Rozmawiają o wyjazdach zagranicznych, transakcjach finansowych i ostatnich zakupach. **Bez skrępowania mówią na temat seksu. Nie chodzą tańczyć, aby nie mieszać się z klientami pierwszego barku.**

„Jednak w miarę upływu czasu i zwiększania się ilości wypitego alkoholu, na podwyższeniu między barkiem a salą taneczną spotkać można coraz więcej mężczyzn wypatrujących w tańczącym tłumie co ładniejszych dziewcząt. Te wybrane zapraszane są na drinka i choć nie wzbudza to entuzjazmu, jednak zachowanie takie jest dopuszczalne. Nosi nazwę «wprowadzania świeżej krwi». Wiele bawiących się na parkiecie dziewcząt traktuje taniec właśnie jako formę zwrócenia na siebie uwagi panów z baru ajencyjnego. Jeśli zostaną wybrane, da im to szansę nie tylko wypicia dobrego alkoholu, ale także spędzenia reszty wieczoru w warunkach, o jakich normalnie nie mogą marzyć".

Zdaniem doc. Hanny Swidy-Ziemby, z którą rozmawiały A. Miszewska i I. Słodkowska, współczesna młodzież nie tworzy w pełni pokolenia. Jest podzielona na dość hermetyczne środowiska oazowców, WiP-owców, NZS-owców, punków, skinów, satanistów, prywaciarzy emigrantów i uciekających w wizję lub rzeczywistość własnej rodziny. Jest to kategoria spluralizowana. Nie ma żadnego wspólnego języka. Różnice wewnętrzne są często ważniejsze niż odniesienia do innych pokoleń. Łączy ich tylko negatywny stosunek do instytucji.

„Wszystko, co wychodzi poza ich hermetyczne środowisko, co ma zasięg makrospołeczny, jest im obce, nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Z badań z 84 roku wynika, że wśród chłopców w dużych i małych miastach wzrasta tendencja do podkreślania znaczenia wartości perfekcjonistyczno-moralnych, a u dziewcząt rosną tendencje hedonistyczne. Na prowincji najważniejsze są wartości wspólnotowo-moralne. W Warszawie wzrasta waga niezależności osobistej. Broń Boże socjocentryzm. Zainteresowanie problemami społecznymi, światem wciąż spada. Coraz mniej liczą się wartości intelektualne. Estetyczne nie liczą się prawie wcale. Estetyzm był legitymacją pokolenia lat sześćdziesiątych, wartości intelektualne i indywidualizm cechowały maturzystów z połowy lat siedemdziesiątych. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych te wartości straciły znaczenie".

Obecna młodzież najwyżej ceni wartości afiliacyjne: rodzinę, przyjaciół, najbliższych ludzi. Zamyka się w małych grupach. Nie ma ochoty angażować się w działalność społeczno-polityczną i dążyć do zmiany świata. Natomiast starsi próbują jakoś ulepszyć życie w naszym kraju.

Hanna Świda-Ziemba ma pozytywny stosunek do współczesnej młodzieży polskiej. Za bardzo wartościowe uważa staranie o dom, za heroizm — odmowę przysięgi wojskowej. Jest to pierwsze od 40 lat pokolenie, które się unormalniło. Jest bowiem spluralizowane, jak w każdym normalnym społeczeństwie.

W innym artykule Mirosław Pęczak pisze o podkulturze młodzieżowej. Cytuje przy tym słowa piosenki zespołu „Dezerter". Jest to podobno najlepsza w Polsce grupa punkowa, która zmusza młodych ludzi do autoanalizy i śpiewa przeciwko publiczności.

„Łatwa muzyka i debilne słowa. / Oto polska młodzież zwarta i gotowa/. Listy przebojów, fascynacja kiczem/. Oto polska młodzież, która jest niczym/. Polska złota młodzież kłótliwa i słaba/, Polska złota młodzież krzykliwa i głupawa/. Bez sensu i celu podziały i nienawiść/, Komercja, moda, pieniądze i zawiść, Wódka, kurewki, dyskoteka, szkoła/. Oto polska młodzież spokojna i wesoła".

UTOPIA U WŁADZY

Orientację na wartości afiliacyjne i troskę o codzienne sprawy bytowe komuniści traktowali dotąd jako coś wstydliwego. Prawdziwi rewolucjoniści mieli walczyć o urzeczywistnienie wielkich ideałów. Zupełnie inaczej widzi dziś ten problem Aleksander Cypko. W kolejnym artykule przedrukowanym w miesięczniku „PREZENTACJE" (nr 5) podkreśla, że deifikacja przyszłości była wielkim grzechem wobec własnego narodu i ludzkości.

„Nienawiść do rutyny życia, niezależnie od tego, jakimi szczytnymi względami się ją usprawiedliwia, zawsze była po prostu nienawiścią do życia. Bowiem bez tak zwanej rutyny, bez codziennej stałej troski o chleb powszedni i dach nad głową, o dobrobyt dla dzieci, nie ma życia".

Czołobitność wobec przyszłości lub wielkiej idei, maksymalizm i mesjanizm przyniosły Rosji wielkie szkody. Ludzie byli gotowi oddać życie, aby szybciej stworzyć czysty socjalizm i czystego człowieka. Pragnęli zadziwić świat i nauczać całą ludzkość. Można ich było zmusić nawet do samozagłady. W imię chimery dokonywali przestępstw. Urojona kultura przyszłości niszczyła kulturę teraźniejszości.

Aleksander Cypko poszukuje źródeł stalinizmu w tradycji lewicowego radykalizmu rosyjskiego, w utopijnej interpretacji marksizmu, w fatalistycznym pojmowaniu komunizmu. Jego zdaniem Marksa proroka potrzebowali przede wszystkim ci, którzy pragnęli wznieść się ponad swoje przeznaczenie. Chęć wybicia się doprowadziła do rewolucji m.in. Stalina i Trockiego. Pierwszy z nich po ukończeniu seminarium duchownego mógł zostać przeciętnym duchownym w biednej parafii, a kariera rewolucyjna umożliwiła mu sprawowanie niebywałej władzy. Natomiast egocentryzm Trockiego był taki wielki, że interesowała go tylko rola przywódcy rewolucji ogólnoświatowej. Takim ludziom potrzebna była mistyfikacja marksizmu. Tym lepiej się czuli, im wspanialszy i bardziej odległy był cel rewolucji.

Jeszcze nie tak dawno ideologia komunistyczna silnie oddziaływała na wyobraźnię i myśl polityczną świata. A obecnie obserwujemy zmierzch tego rodzaju myślenia. Zbigniew Brzeziński twierdzi, że kończy się epoka, którą 200 lat temu zapoczątkowała Wielka Rewolucja Francuska. W odczycie wygłoszonym 26 maja w Warszawie, którego tekst opublikował tygodnik „SOLIDARNOŚĆ" (nr 4), politolog amerykański stwierdził:

„Ideologie totalitarne nawiązywały właściwie do racjonalistycznych przesłanek, które były związane z rewolucją francuską: że można budować społeczeństwo na podstawie a priori przyjętych racjonalistycznych założeń. To przekonanie dzisiaj się załamuje".

Kilka miesięcy temu pisałem w „Odgłosach" (nr 4), że budowa socjalizmu oparta była na fałszywym założeniu, iż można świadomie i planowo kształtować proces historyczny. Do podobnych wniosków doszedł Leszek Jucewicz. W tygodniku „ODRODZENIE" (nr 25) pisze między innymi:

„Próby kształtowania rozwoju społecznego według przyjętego z góry wzorca i planu nie udały się nigdy i nigdzie na długą metę, a skutki takich prób w każdym wypadku są złe. Społeczeństwo samo, w sposób żywiołowy, wytwarza łączące ludzi więzi, stosunki międzyludzkie, a rzeczą państwa jest dbanie o to, by występujące w ramach tych stosunków sprzeczności dążeń i interesów były rozwiązywane na drodze uzgodnień, a nie konfrontacji. Jak zresztą można przypisywać sobie moc kreowania przyszłości i zdolność jej przenikania, skoro nie potrafimy przewidzieć, co przyniesie czas najbliższy".

Klęska utopijnego socjalizmu nie oznacza jednak bankructwa całej myśli socjalistycznej. Pewne ideały socjalizmu zostały bowiem urzeczywistnione nawet w krajach zachodnich. W wywiadzie udzielonym piśmu „Frankfurter Allgemeine Magazin" i przedrukowanym w „FORUM" (nr 24) prof. socjologii w Uniwersytecie Harvarda, Daniel Bell, powiedział:

„Jeśli ma się na uwadze to, czego chcieli socjaliści przed stu — a nawet i przed piętnastu laty — to istotnie, musimy stwierdzić, że zrealizowali oni swe najśmielsze wyobrażenia. Dotyczy to zarówno faktów jak ideologii: nie ma już dzisiaj zbyt wielu ludzi, którzy broniliby społeczeństwa klasowego. Lecznictwo zredukowało indywidualną odpowiedzialność do minimum, do wszystkiego zabieramy się kolektywnie. I wcale tego nie chcemy zmieniać".

W wypowiedzi na łamach „FAKTÓW" (nr 25) prof. Mariusz Gulczyński porównał dogmatyczny socjalizm do szalonego krawca, który zamiast kroić garnitur na miarę klienta, kroił klienta....

E. L.

Z kół zbliżonych donoszą...

NA GRANICY AUSTRIACKO-WĘGIERSKIEJ rozpoczęto likwidację zasieków z drutu kolczastego. Symbolicznego rozcięcia drutów dokonali: **Gyula Horn** — minister spraw zagranicznych Węgier i **Alois Mock** — minister spraw zagranicznych Austrii. Oba państwa — członkowie byłej monarchii austro-węgierskiej — dążą do zbliżenia. Kilka dni temu agencja węgierska MTI doniosła, że również na granicy węgiersko-rumuńskiej — po stronie rumuńskiej — rozpoczęto likwidację zasieków z drutu kolczastego. Usunięto słupy betonowe na odcinku około 300 km. Zasieki te wzniesiono półtora roku temu. Od tego czasu wzajemne stosunki między WRL a Rumunią nie uległy poprawie.

ZMARŁ WASILIJ ROMANOW. Przeżył 81 lat. Był siostrzeńcem cara Mikołaja II. Dynastia Romanowych panowała w Rosji od 1613 roku do 1917 roku. Wasilij Romanow ostatnie 25 lat spędził wraz z córką i czwórką wnuków w Woodside w Kalifornii. Tam też umarł. Był synem księżny Kseni i wielkiego księcia Aleksandra — twórcy rosyjskiego lotnictwa. Z Rosji rodzina wielkiego księcia Aleksandra uciekła na brytyjskim okręcie wojennym, przysłanym specjalnie w tym celu przez ich kuzyna króla Jerzego V. Wasilij Romanow pływał na statkach jako chłopiec okrętowy, był dokerem, prowadził fermę kurzą w Sonoma.

W GDAŃSKU DZIAŁA Niezależna Suwerenna Partia Pracy, która nadesłała do nas apel wzywający do poparcia kandydatury Lecha Wałęsy na urząd prezydencki. Lech Wałęsa — jak wiadomo — odmówił kandydowania. Z apelu dowiedzieliśmy się, że w Gdańsku działa Rada Naczelna NSPP z przewodniczącym **Tadeuszem Harasimowiczem** i trzema wiceprzewodniczącymi: **Jerzym Antonowiczem, Romualdem Bukowskim i Zbigniewem Ligockim.**

W VYSZKOVIE-DIEDICACH istnieje Dom Pamięci Klementa Gottwalda, w którym wisi fotografia czechosłowackiego przywódcy z Józefem Stalinem. Niektórzy domagają się zdjęcia tej fotografii, inni wprost przeciwnie. Gazeta „Tvorba" przypomina, że do niedawna nie ukrywano, że Klement Gottwald był nie tylko w bliskich stosunkach z Józefem Stalinem, ale i pod przemożnym jego wpływem i nadal nie trzeba tego ukrywać. W tym samym czasie tygodnik „Kmen" przypomniał, że w Pradze istnieje ulica Józefa Stalina i upieranie się przy tym, aby nadal była, dowodzi, że „niektórzy mają jeszcze skansen w głowach".

W ŁODZI powstał oddział **Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.** Na czele oddziału stoi **Jerzy Urbankiewicz.** W skład zarządu wchodzą: **M. M. Szargan, Z. Jaskuła, Z. Dominiak, J. Jarniewicz.**

MAŁGORZATA KARBOWIAK zatytułowała rozmowę z dyrektorem TW w Łodzi — **Sławomirem Pietrasem: KTO KUPI TEATR WIELKI?** Chętnych brak. A teatr boryka się z wielkimi trudnościami finansowymi.

RYSZARD KWIATKOWSKI na ostatnim posiedzeniu klubu dyskusyjnego „Jawność" zadał zebranym pytanie, czy ogłosić wakacje, czy też nadal prowadzić działalność? Podpowiadamy: w tym roku nie zapowiada się na ogórki w polityce. Wszystko wskazuje na to, że nie będzie wakacji!

NAJPIERW W GDAŃSKU, a następnie w innych miastach, w Łodzi również, telefonistki central międzymiastowych ogłosiły strajk domagając się podwyżki płac. Jedna z nich oświadczyła w radiu, że zarabiają one po 30 000 złotych, a dyrektorzy otrzymali ostatnio podwyżki, około 180 000 złotych. Jeśli byłaby to prawda, to widać komuś ostatnie upały poważnie zaszkodziły.

„LATO Z RADIEM" rozpoczęło 18 raz nadawać swój program, a więc ukończyło 18 lat i z tego powodu otrzymało dowód osobisty. Powszechnym już zwyczajem powołano rzecznika. Został nim **Tadeusz Wiśniewski.**

GRZEGORZOWI GAŁASIŃSKIEMU — fotoreporterowi „Odgłosów" — 30 czerwca nad ranem skradziono samochód marki fiat (mały) nr rejestracyjny: **LZF 5592.** Samochód stał jeszcze o *północy przed domem na ul. Inowrocławskiej 13, a rano już go* nie było. Jest to samochód koralowy o przyciemnionych szybach. Fotoreporter bez samochodu jest *jak „bez ręki"*, samochód jest dla niego *narzędziem pracy. Nie wierzymy w to*, żeby złodzieje nawrócili się na drogę cnoty i oddali samochód właścicielowi. Ale może ktoś go gdzieś zobaczy i da znać do redakcji lub bezpośrenio do domu okradzionego: tel. **51-21-01.** Czekamy!

Zebrała: BOGDA MADEJ

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Ksiądz zerwał się z zaciśniętymi pięściami. Jan Duch miał sporo bójek w życiu, ale nigdy jeszcze nie bił się z księdzem! Rudzielec był młody, mocno zbudowany, taki ksiądz-sportowiec. Może nawet i boksował z młodzieżą. Irlandczycy to twardy naród. Kalina blada i przerażona modliła się pewnie, żeby ksiądz nie zrobił głupstwa. Duch roześmiał się głośno i powiedział: „Nie walczę z kobietami, chyba, że zdejmiesz swoją suknię" — pisze ANDRZEJ BRYCHT.

— Zaraz po przyjęciu Mariusza G. na oddział intensywnej terapii lekarz zawiadomił prokuraturę o stanie dziecka, podejrzewając, że tak krańcowe wycieńczenie nie zostało spowodowane nagłą chorobą, lecz powstało w wyniku długotrwałego działania osób nim opiekujących się. Śledztwo zostało wszczęte — reportaż EUGENIUSZA IWANICKIEGO.

— Stalin nigdy nie darzył miłością ojca ani matki. Nie przyjechał do Tbilisi na jej pogrzeb. Opowiadano sobie na ucho, że był nieślubnym dzieckiem Mikołaja Przewalskiego. Źródłem tej plotki było wielkie podobieństwo portretowe Stalina i Przewalskiego — cykl artykułów RYSZARDA BADOWSKIEGO pt. „Czy Stalin był antysemitą?".

— Bomba trafiła w dom, w którym mieszkała moja matka. Ocalały tylko listy z Syberii — wspomina ALDONA SAKRAJDA, z którą rozmawiał TADEUSZ GICGIER.

— Gdy mijała wejście do komisariatu, wyskoczył z ukrycia. Na widok męża rzuciła się do ucieczki, ale nie miała szans Jan W. dopadł ją błyskawicznie. Broniła się, wyrywała, krzyczała. On jednak nie zwalniał uścisku. Nagle dostrzegł, że z parkingu biegnie ku nim dwóch milicjantów. Nie zatrzymując się rozpinali kurtki. Nie wiedział po co. Nie miał czasu na domysły — reportaż JÓZEFA RETMANA.

— Bernard uprzedzał go, że baby są wścibskie i że nawet najładniejsze z nich usiłują wziąć mężczyznę pod obcas. Możesz je tłuc, prać, łoić, podniosą się jednak i będą próbowały postawić na swoim — powieść ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

— Popęd seksualny nie jest konieczny dla przetrwania jednostki. Natomiast jest niezbędny dla przetrwania gatunku. Przyroda musiała więc znaleźć jakieś rozwiązanie tego problemu. Musiała zachęcić poszczególne jednostki, aby podejmowały „trudy" spółkowania. Najlepszym rozwiązaniem jest oczywiście przyjemność wynikająca z kopulacji — pisze MIROSŁAWA SARBINSKA.

Konfrontacje

Wszyscy są za kulturą, ale nikt nie ma pieniędzy

BOGDA MADEJ

1. Gdzie jest prezydent miasta Łodzi?

Nie ukrywam, że na XI sesję Rady Narodowej Miasta Łodzi, 26 czerwca 1989 roku, wybierałam się z dużym zainteresowaniem. Spodziewałam się, że odbędą się wybory prezydenta miasta Łodzi. Słyszało się o różnych kandydatach, słyszało się różne opinie, ten i ów gwałtownie rezygnował, inni może i mieliby ochotę, zapowiadało się więc ciekawie. Ale nic z tego. Do wyborów nie doszło i nikt z radnych nie zapytał nawet, czy i kiedy takie wybory się odbędą?

Być może dlatego na początku sesji frekwencja była spora, ale gdy przyszło do spraw merytorycznych wielu radnych nie wykazało nimi większego zainteresowania i spokojnie udało się do domu. A sprawą merytoryczną XI sesji były zagadnienia kultury w Łodzi i w województwie. Z tego też powodu zaproszono na sesję wielu gości. Byli wśród nich dyrektorzy muzeów, teatrów, prezesi organizacji zawodowych zajmujących się kulturą, byli działacze partii i stronnictw, był też przewodniczący RKO „Solidarność" w Łodzi — **Ryszard Kostrzewa.**

Na początku sesji RNMŁ jej przewodniczący — **Andrzej F. Grabski** przeprosił radnych za swoją wypowiedź na VIII sesji, kiedy to w słowach ostrych ocenił ich zachowanie się podczas tajnego głosowania nad absolutorium dla **Jarosława Pietrzyka.** Przypomnę tu może, że w głosowaniu jawnym radni przyjęli dokumenty odnoszące się do realizacji planów, a w tajnym wyrazili wobec prezydenta votum nieufności. Andrzej F. Grabski powiedział, że nie było jego intencją obrażenie radnych, ale ponieważ użył ostrych słów przeprasza za to.

Nikt nikogo nie poinformował, kiedy dokona się wyboru prezydenta miasta Łodzi, a wiele już osób wyraża opinię, że zbyt długo trwa brak gospodarza w mieście. I trudno się z tym nie zgodzić.

2. Interpelacje radnych.

Interpelacje i odpowiedzi na nie zawsze są interesującym punktem sesji RNMŁ, gdyż wyrażają stosunek radnych do wielu spraw i prezentują wyraziście ich stosunek do ich społecznej funkcji. Interpelacje są różne, bywają niekiedy nawet wyrażane w formie żartobliwej, choć istota sprawy wcale żartobliwa nie jest. Na przykład **Ludwik Benoit** wystąpił z propozycją, aby ci, którzy udzielili różnym komitetom wyborczym kandydatów na senatorów i posłów zezwolenia na rozlepianie plakatów teraz udzielili takiegoż zezwolenia na umycie ścian, gdyż pozalepiane są one szczątkami plakatów, co sprawia wręcz żałosne wrażenie. Trudno **Ludwikowi Benoit** odmówić racji.

Inny radny wyraził zdziwienie, dlaczego Sanepid zabronił używania w żłobkach i przedszkolach kisieli i budyni jako szkodliwych dla zdrowia dzieci, a w sklepach te same kisiele i budynie spokojnie się sprzedaje i rodzice nieświadomi zagrożenia karmią nimi dzieci w domu.

Odpowiedzi na interpelacje radnych udziela się na piśmie i radni poprzez głosowanie przyjmują lub odrzucają ten dokument. Jeden z radnych uznał na przykład, że odpowiedź na interpelację **Tadeusza Klepczarka** jest niewystarczająca i RNMŁ przyjęła dokument z wyjątkiem tej jednej. A chodzi tu o sprawę niebagatelną. W związku ze zmianami cen za gaz i elektryczność **Zakład Energetyczny w Łodzi** dokonał rejestracji 200 000 liczników, a resztę postanowił wycenić według „średniej ważonej" obowiązującej dla całego kraju. Radny z tym się nie zgodził. Uważa to bowiem za krzywdzące dla tych wszystkich, którym nowe rachunki do płacenia obliczy się według jakiejś tajemniczej „średniej ważonej".

Radni zwrócili też uwagę, że **Urząd Telekomunikacji w Łodzi** podzielił abonentów telefonicznych na dwie grupy: tych, którzy będą przez najbliższe dwa lata płacili za rozmowy telefoniczne według starych zasad i tych, którzy będą za każde 3 minuty płacili po 9 złotych. Otóż radni protestują przeciw przerzucaniu kosztów niesprawności bądź nieudolności instytucji państwowych na ich klientów. I mają ze wszech miar słuszność.

Radny **L. Deczyński** przypomniał, że w 1985 roku postanowiono, iż na 5 trudnych skrzyżowaniach w Łodzi zainstaluje się specjalne kamery, które pomogą w regulowaniu ruchem. Okazało się, że na przeszkodzie stanął... brak kabla. Minęły lata i teraz mówi się o zainstalowaniu takich kamer na... jednym skrzyżowaniu. Czy przez 5 lat nikt w Łodzi nie potrafił zdobyć potrzebnej ilości kabla?

3. Kultura na katastrofie stoi.

W naszym życiu społecznym mamy kilka takich spraw, o których wszyscy wyrażają się z najwyższym uznaniem i już przez to samo sądzą, że spełnili swój obowiązek. Jedną z takich spraw jest kultura. Wszyscy są za, ale pieniędzy nikt nie ma. A na rozwój kultury też, niestety, potrzebne są pieniądze. Przede wszystkim na utrzymanie, konserwację i modernizację tego, co się zwykło nazywać bazą kultury. Pomińmy już stan wyposażenia placówek kulturalnych, co też nie jest bez znaczenia, a zajmijmy się stanem owej bazy. Można to nazwać stanem krytycznym, albo i nawet gorzej niż krytycznym.

Łódź posiada kilka muzeów o charakterze nie tylko ogólnopolskim, ale znanych szeroko w świecie. Muzea te nie mają warunków, aby eksponować posiadane zbiory w takim stopniu, na jaki one zasługują. **Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne** może pokazać około 4 procent swoich zbiorów, **Muzeum Sztuki i Centralne Muzeum Włókiennictwa** około 4,5 procent każde, **Muzeum Historii Miasta Łodzi** około 1,5 procent swoich zbiorów. **Muzeum Kinematografii** jest ciągle w budowie, ale też stara się występować z interesującymi propozycjami kulturalnymi.

Pomieszczenia **Centralnego Muzeum Włókiennictwa, Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych** przy ul. Stefana Żeromskiego, **Biblioteki Miejskiej** im. Ludwika Waryńskiego są w stanie katastrofy budowalnej, co zagraża bezpieczeństwu ludzi pracujących i przebywających. Budynek **Filharmonii Łódzkiej** już zamknięto. Zamknięto też Teatr **„Pinokio"** i **„77"**, zły jest stan budynków **Teatru Nowego,** modernizacji wymagają budynki **Teatru Wielkiego** i **Muzycznego.** Nie jestem wcale przekonana, że wymieniłam wszystkie najpilniejsze potrzeby bazy kulturalnej Łodzi. Pewna natomiast jestem, że jej stan wymaga szczególnej troski nie tylko władz miasta.

Muzeum Sztuki od wielu lat ubiega się o budowę pomieszczeń, które odpowiadałyby funkcji nowoczesnego muzeum. Wszyscy zgodnie powiadają, że Łodzi takie muzeum jest potrzebne, że to wspaniały pomysł, ale... nie ma pieniędzy. Szuka się więc rozwiązań cząstkowych, czyli łatania dziur czym się tylko da. Od 1975 roku remontowano rezydencję Herbstów przy ul. Przędzalnianej 72 na **Muzeum Wnętrz połowy XIX wieku** i to się udało zrobić. Jest to już oddział **Muzeum Sztuki.** W 1981 roku ówczesny prezydent Miasta Łodzi — **Józef Niewiadomski** publicznie obiecał przydzielić dla **Muzeum Sztuki** budynek fabryczny przy rogu al. Adama Mickiewicza i PKWN. I na obietnicy się skończyło. UMŁ proponował potem „Dom buta" przy rogu ul. Piotrkowskiej i Juliana Tuwima, ale „Dom buta" ogrodzono i na tym się skończyło. Zresztą **Muzeum Sztuki** — jak twierdzi **Ryszard Stanisławski** — nie bardzo potrzebuje owego „Domu buta", bardziej przydałby się właśnie budynek pofabryczny przy al. Adama Mickiewicza i PKWN, w którym teraz MPK przewija silniki. Rada Narodowa MŁ wymogła na wiceprezydencie **Stanisławie Żałobnym** — i zostało to ujęte w uchwale — że **Muzeum Sztuki** otrzyma nowe pomieszczenia do końca 1990 roku. To stanie się — jeśli rzeczywiście się stanie — prawie w 10 lat od złożenia obietnicy. Jak ten czas szybko leci. I jak wolno pracują urzędnicy.

Filharmonię Łódzką też buduje się w takim tempie. Obecnie filharmonicy występują w auli Szkoły Muzycznej przy ul. Sosnowej. Chodzi wprawdzie na te koncerty około 50 osób, ale to jednak nie powinno ujemnie wpłynąć na zaplanowany remont „Lutni" przy ul. Piotrkowskiej, w sali której ma przez pewien czas koncertować orkiestra **Filharmonii Łódzkiej** im. Artura Rubinsteina. Salę tę później można byłoby udostępnić któremuś z teatrów. Gdyby oczywiście wybudowano gmach **Filharmonii Łódzkiej** przy al. Adama Mickiewicza, gdzie położono odpowiedni kamień.

Jacek Krzekotowski — przewodniczący Komisji Kultury RNMŁ zaproponował, aby dokonano przeglądu stanu wszystkich łódzkich placówek kulturalnych, co jest niewątpliwie propozycją ważną, ale i niebezpieczną, bo może ujawnić tak wielkie potrzeby, jakich nawet się nie spodziewamy. **Jacek Krzekotowski** zwrócił również uwagę na fakt, że żaden punkt uchwały z 1986 roku w sprawie poprawy stanu bazy materialnej kultury w Łodzi nie został do końca zrealizowany, co powinno być również przestrogą dla obecnej RNMŁ, aby ściśle kontrolowała wykonanie własnych postanowień.

RNMŁ przyznała z nadwyżek budżetowych 40 milionów złotych na kulturalną edukację młodzieży.

4. Różne są obyczaje.

Sesja RNMŁ — jak sesja każdej rady narodowej — jest miejscem poważnych rozważań — a przynajmniej być powinna — co zobowiązuje jej uczestników do przestrzegania pewnych ustalonych zasad. Jesteśmy wprawdzie w okresie, kiedy stare zasady ulegają dewaluacji, a rodzą się nowe, ale czasem stare zasady nie są wcale takie złe. Dlatego ze zdziwieniem przyjęli radni i goście fakt, że pewna radna weszła na trybunę w stroju co najmniej dowolnym. Była bowiem ubrana w bawełnianą bluzkę i spodnie typu „bermudy".

Z jeszcze większym zdziwieniem przyjęli radni zachowanie się owej radnej, która zarządziła z trybuny coś w rodzaju szybkiego egzaminu. Najpierw zapytała, kto był w ostatnim miesiącu choćby raz w teatrze? Część zdezorientowanych radnych nieśmiało podniosła rękę. Następnie zapytała, kto był w kinie? Zdezorientowani już się zorientowali i ręki nie podnieśli. Radna też się zorientowała, że się zachowuje co najmniej niewłaściwie i zakończyła przepytywankę.

Następnie radna **Irena Kik** nie wytrzymała i zaprotestowała nie tylko przepytankom, ale i wychodzeniu na trybunę w „stroju plażowym" — jak się wyraziła. Natomiast **Krystyna Bobrowska** — gość RNMŁ — wyraziła opinię, nie tylko swoją o używanej nazwie święta Piotrkowskiej: „Imieniny Pietryny". Jej zdaniem jest to wyrażenie mało eleganckie i nie powinno być używane przy tego rodzaju kulturalnej imprezie.

Ryszard Kostrzewa — przewodniczący RKO „Solidarność", jednocześnie gość RNMŁ — również zaprezentował dość interesujący i mało raczej spotykany, przynajmniej ostatnio, sposób zachowania. Pierwszy raz wyszedł na trybunę, aby min. wyjaśnić radnym, że problem budowy Grupowej Oczyszczalni Ścieków nie jest problemem tylko łódzkim, bowiem Łódź zatruwa rzeki połowy Polski, o czym wiadomo od lat kilku, jeśli nie dłużej.

Drugi raz **Ryszard Kostrzewa** wszedł na trybunę, gdy radni zgłaszali interpelacje i odczytał list, jaki otrzymał w sprawie **Szkoły Muzycznej** przy placu Zwycięstwa. Budynek tej szkoły ma przejąć **Muzeum Kinematografii,** a **Szkoła Muzyczna** ma otrzymać inne pomieszczenia. Sprawa jest w toku załatwiania.

Trzeci raz pojawił się na trybunie **R. Kostrzewa,** gdy toczyła się dyskusja o stanie kultury w Łodzi. W swoim wystąpieniu odniósł się również do prasy łódzkiej. Uznał, że „prasa codzienna mało poświęca uwagi życiu kulturalnemu miasta", a „tygodnik „Odgłosy" nie znajduje odbiorców". Bardzo mnie ten ostatni pogląd poruszył, byłam bowiem ciekawa, na jakiej podstawie został sformułowany. W wolnej chwili zapytałam o to **Ryszarda Kostrzewę.**

— Są to dane, które mi przekazano — wyjaśnił. — Są to uwagi, które my podnosimy, bo „Odgłosy" w naszym pojęciu, za mało zajmują się kulturą w Łodzi.

— Powiedział pan, że nie mają czytelników.

— Mają coraz mniej czytelników.

— Czy można wiedzieć, skąd pan miał takie dane?

— Dali mi je ci, którzy mi opracowywali materiał. Jeżeli przedstawiam jakąś sprawę i to w imieniu RKO, tak jak to przedstawiałem, to opieram się na doradcach. A jeśli doradcy mnie wprowadzili w błąd, to wy zaatakujcie mnie i to wszystko. A „Odgłosy" leżą w kioskach.

Myślę, że **Ryszard Kostrzewa** powinien czym prędzej zmienić doradców, gdyż sprawa, w której wypowiadał się tak autorytatywnie była szczegółowo omówiona w 23 **numerze „Odgłosów"** przez redaktora naczelnego w odpowiedzi na listy W.A. i J.S. Knypla, w której to odpowiedzi podane były dokładne nakłady kilku numerów „Odgłosów" z 1989 roku i porównywano nakład pisma z nakładem z 1988 roku. Doradzałabym tę zmianę również dlatego, że tekst ten był opublikowany tuż obok tekstu Jerzego Kropiwnickiego „Pełniejszy zarys sporów w (nielegalnej wówczas) „Solidarności" i raczej trudno go było nie zauważyć. Doradcy, którzy wyrażają opinię o czymkolwiek bez znajomości podstawowych faktów, jedynie na podstawie własnych obserwacji... Resztę zdania pozostawiam zainteresowanemu. Poza tym jestem upoważniona przez kierownictwo redakcji do oświadczenia, że gdyby jakikolwiek doradca zwrócił się do nas z prośbą o udostępnienie danych, otrzymałby pełny wgląd w potrzebne mu dokumenty.

5. I co będzie dalej?

Z dużym zainteresowaniem oczekuję terminu kolejnej sesji RNMŁ, gdyż stają się one coraz ciekawsze. A wybory prezydenta — mimo wszystko — muszą się odbyć. To nawet powinno być bardzo ciekawe.

Z tej ziemi.

Kiedy na biegunach iskrzy

1.

Polska scena polityczna jest niewątpliwie niebywale interesująca dla zagranicznych komentatorów. Gorzej już przedstawia się dla komentatorów krajowych, a już zupełnie źle dla tych, którzy tu i teraz muszą przynajmniej starać się, aby normalnie funkcjonować. Chińczycy — jak się okazuje zupełnie słusznie — życzą swoim wrogom, aby żyli w ciekawych czasach i właśnie żyjemy w ciekawych czasach, co jednak na dłuższą metę staje się niebywale męczące. Na dodatek jeszcze odnoszę takie wrażenie, że komuś bardzo zależy na tym, aby w szczególnie dramatycznych momentach komplikować sytuację.

Wiadomo od lat, że mamy wadliwy system cen i płac, że — mimo licznych wezwań i zapewnień — nie zawsze i nie w pełni płacimy za pracę, że często o płacy decydują czynniki uboczne. W takiej sytuacji ruszenie jakiegokolwiek elementu tej wadliwej struktury powoduje natychmiastowe zakłócenia. W konsekwencji rodzi to galopującą inflację. Skoro tylko ruszy się ceny, natychmiast rusza fala strajków w walce o podniesienie płac. Strajki są bronią na tyle skuteczną, że takie podwyżki ludzie otrzymują, co musi w konsekwencji doprowadzić do nowych podwyżek cen.

Do niedawna mówiło się, że mamy 25-procentowe pokrycie towarami kursujących na rynku pieniędzy. Teraz zapewne to pokrycie będzie mniejsze. Ale od wyższych cen nigdy nie było więcej towarów na rynku. Ich ilość jest taka sama, co najwyżej mniej ludzi będzie je kupowało. Klucz do zmiany sytuacji gospodarczej kraju leży we wzroście produkcji, a wzrostu produkcji — szczególnie tej przeznaczonej na rynek — jak nie było, tak nie ma. Dowodem na to jest komunikat GUS o stanie gospodarki w maju 1989 roku.

Rząd Mieczysława F. Rakowskiego wśród trzech priorytetów zapowiedział priorytet dla rolnictwa. Mamy jednak sytuację wręcz odwrotną. Ludzie — i chyba słusznie — zrozumieli taki priorytet jako zmierzanie do poprawy zaopatrzenia rynku w artykuły spożywcze, a przede wszystkim w mięso. Skutek tego priorytetu jest taki, że nie tylko nie mamy możliwości pozbyć się kartek na mięso, ale nie mamy pokrycia na te kartki i przez to można na kartki czerwcowe kupować jeszcze do 5 lipca 1989 roku.

Wprawdzie minister Mieczysław Wilczek zapewniał w DTV, że obecny rząd **„jest chyba pierwszym rządem wiarygodnym za granicą"** i nawet Kisiel chwali go w „Tygodniku Powszechnym", to dla sporej grupy ludzi jest wręcz odwrotnie. Wprawdzie tenże minister Mieczysław Wilczek zwracał uwagę, że rząd działał jedynie 8 miesięcy, a w tym czasie trudno naprawić to, co psuto przez lat prawie 40, to jednak zapowiedzi w momencie przejmowania władzy były buńczuczne i pełne optymizmu. Rezultat jest taki, że rząd Mieczysława F. Rakowskiego odchodzi w sytuacji zbliżonej do tej, w jakiej odchodził rząd Zbigniewa Messnera. O obu trudno byłoby powiedzieć, że nic nie zrobiły, ale i trudno byłoby powiedzieć, że spełniły obietnice i... oczekiwania.

2.

Kilka dni temu byłem na zebraniu klubu dyskusyjnego „Jawność". Zebranie było burzliwe, zastanawiano się nad tym, co dalej? A to zawsze budzi emocje. Padło też pytanie: kto to jest polityk? Najprościej można byłoby odpowiedzieć, że człowiek zajmujący się polityką. Ale to jest odpowiedź wymijająca. Polityk — jest to taki człowiek, który umie znaleźć sposoby dla zrealizowania postawionych sobie celów. Oczywiście, żeby znaleźć takie sposoby, trzeba mieć bardzo dobre informacje, rzetelne i wyczerpujące, aby móc określić warunki, w których takie a nie inne cele można osiągnąć takimi a nie innymi sposobami. Gdy przyglądam się działaniu niektórych osób, których status społeczny i organizacyjny upoważnia do tego, aby uważać ich za polityków, to ogarnia mnie ogromne zdziwienie i... rozczarowanie. Ich działanie przypomina bowiem działanie po omacku, bez informacji, na wyczucie, wedle starych, dawno zapomnianych wzorów. I dlatego jest nieskuteczne.

Można wszystko zwalić na Krasnoludki, które jak wiadomo są istotami złośliwymi i na przykład siusiają urzędnikom do herbaty. Lubią też siusiać do mleka. Takie zasiusiane mleko czy zasiusiana herbata powoduje zaćmienie umysłu i powstają wtedy głupie pomysły. Ale większość Polaków nie wierzy w istnienie Krasnoludków i taki sposób wytłumaczenia błędnych posunięć — ku mojemu żalowi, bo lubię Krasnoludki — upada. Można zatem domniemywać, że wielu ludzi uważających się za polityków nie ma ku temu odpowiednich kwalifikacji.

Mieliśmy wyciągnąć odpowiednie wnioski z minionych wyborów. Wydawało się to oczywiste, że różni politycy siedzą nad tymi wnioskami i rozważają, jak tu rozegrać kolejną partię politycznego pokera. Cel wiadomy — wybór prezydenta. W takim okresie powinno się więc zawiesić wszelkie działania, które mogłyby wzburzyć opinię publiczną. Tymczasem robi się coś wręcz przeciwnego — wykonuje się ruchy, które wzburzają opinię publiczną, a rachunek za to płaci spodziewany kandydat na prezydenta, bowiem starym zwyczajem za wszystko zło obwinia się PZPR i jej władze.

Ostatniego prezydenta w Polsce mieliśmy w 1952 roku i być może różni ludzie nie wyobrażają sobie wagi i znaczenia tego urzędu. Sprawa jest tymczasem poważna i nikomu nie powinno zależeć na „prezydenckim kryzysie", a taki właśnie mamy. I zupełnie nie wiem, jak zostanie rozwiązany. Dla spokoju w Polsce i utrzymania jej pozycji na arenie międzynarodowej potrzebny jest człowiek o dużym międzynarodowym autorytecie. Prezydent powinien znaleźć się ponad partyjnymi i politycznymi sporami, przyjąć rolę mediatora, z czym w przeszłości zawsze były kłopoty. Może teraz by się wreszcie udało, ale Wojciech Jaruzelski zrezygnował z kandydowania, a Plenum KC PZPR nie zatwierdziło wysuniętej przez niego kandydatury Czesława Kiszczaka. Tego ostatniego poparł natomiast Lech Wałęsa.

3.

Wszyscy deklarujemy poparcie dla pluralizmu, choć podejrzewam, że niektórzy nieszczerze, ale na razie mamy dualizm: koalicję, która pęka i „Solidarność", która jest brzemienna wielością różnych sił politycznych. Jest to układ dla rozwoju sytuacji w Polsce wielce niekorzystny, bowiem jeśli są dwa tylko bieguny a między nimi powstaje napięcie, to musi iskrzyć. I iskrzy. Z chwilą otwarcia Sejmu i Senatu może jeszcze bardziej iskrzyć. To może być bardzo ciekawe, bowiem niektórym nowym posłom i senatorom może się wydawać, że już są politykami, a nie są. Ale w parlamencie powinno iskrzyć. Trzeba się do tego przyzwyczaić. Taki jest urok demokracji parlamentarnej.

Z korzyścią dla Polski byłoby, gdyby dualizm mógł jak najszybciej przerodzić się w pluralizm, gdyby powstały nowe partie i zyskały prawo legalnej działalności. Wtedy powstałaby szansa, aby ładunek nieufności i podejrzliwości, jaki powstał między obu politycznymi biegunami rozłożył się na inne bieguny i w ten sposób rozładował się. Inaczej będzie on przeszkadzał skutecznie we wszelkim porozumiewaniu się. Siły polityczne zgromadzone na obu biegunach patrzą na siebie bowiem podejrzliwie i z nieufnością, zastanawiając się, co przeciwnik — a powinno być partner — ukrywa za plecami lub za pazuchą!

Ta nieufność i podejrzliwość nie pozwala dostrzec, że siły polityczne zgromadzone na obu biegunach przez ostatnie 8 lat przeszły ewolucję i zmieniły się. I nie pozwala wyciągnąć z tego właściwych wniosków.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ze str. 1

Rozstrzelana nadzieja

licyjny została przejechana studentka z Uniwersytetu Pekińskiego.

W coraz bardziej napiętej atmosferze wszyscy z niepokojem oczekiwaliśmy na dzień pogrzebu Hu Yaobanga. W noc poprzedzającą ceremonię pogrzebową, siedząc w zacisznym pokoju akademika, popijając chińskie piwo i dyskutując z kolegami, dociekaliśmy czy milicja zaryzykuje rozgromienie około 350 tys. studentów, którzy zamierzali dotrzeć do placu około północy, aby tam oczekiwać porannej ceremonii.

Prawdopodobieństwo udziału sił porządkowych w demonstracjach uznaliśmy za wystarczająco duże, żeby nie nadstawiać karku i zostać w akademiku. Zamysłu tego nie udało się zrealizować, gdyż pięć minut później wtargnęły do pokoju dwie rozgorączkowane Angielki i niemal siłą wypchnęły nas na ulicę. Z początku nie wiedzieliśmy, jak się dostać na Plac Niebiańskiego Spokoju. Rowerów, jako środka transportu nie braliśmy pod uwagę, ponieważ obawialiśmy się blokad ulicznych, a taksówkarze nie chcieli jeździć w tym kierunku lub żądali za jeden kurs około 60 dolarów. Wreszcie zatrzymaliśmy ciężarówkę, która za symboliczną opłatą dowiozła nas do stacji metra. Czekając w metrze na pociąg, pomyślałem, co mogłoby się stać z prawie 400-tysięcznym tłumem, gdyby zaatakować go gazami łzawiącymi i... zrobiło mi się niewesoło. Zapytałem moją towarzyszkę:

— Becky, boisz się?

— Tak, ale muszę to zobaczyć — odpowiedziała.

Obserwowaliśmy z zainteresowaniem Chińczyków wsiadających na kolejnych stacjach. O dziwo, sprawiali oni raczej wrażenie kibiców, jadących na dobry mecz, niż „bojowników" oddanych sprawie walki o wolność i demokrację. Była 23.00, na placu zastaliśmy około 30 tys. ludzi (w tym połowa gapiów). Prawie w ogóle nie było milicji, jeśli nie liczyć garstki strzegącej gmachu parlamentu. Zaczęliśmy rozpytywać o to, gdzie jest reszta studentów. Czyżby zrezygnowali, obawiając się ostrzeżeń **premiera Li Penga**, które były transmitowane przez cały dzień? Okazało się jednak, że olbrzymia kolumna studentów (tak podobno było bezpieczniej) z ponad 40 uczelni pekińskich, miała przybyć na Tiananmen dopiero około 1—2 w nocy. Zdecydowaliśmy się czekać. Zaczęliśmy wypytywać demonstrantów o to, jakie są właściwie ich żądania, wysuwane pod adresem rządu? Zapytani, odpowiadali chętnie, biorąc nas za dziennikarzy. Jedna z rozmów przebiegała następująco:

— Czy wiesz czego chcą studenci?

— Sam jestem studentem, chcemy wolności i demokracji.

— No dobrze, ale co to znaczy?

— To znaczy, że nie chcemy, żeby okłamywała nas prasa, radio i telewizja mówiąc, że jest coraz lepiej, podczas gdy zwykłym ludziom żyje się z dnia na dzień coraz gorzej. Ceny rosną, nasze stypendia od lat są takie same, nie mamy żadnych perspektyw na przyszłość, nawet po skończonych studiach, bo trzeba mieć układy albo dawać łapówki. Synowie Zhao Zivanga i Li Penga mają miliony w bankach na Zachodzie. Chcemy, żeby prawo było jednakowe dla wszystkich, chcemy prawdziwego socjalizmu, a nie korupcji.

Zachowując anonimowość studenci wypowiadali wiele podobnych opinii, wielokrotnie podkreślając, że nie są przeciwko partii komunistycznej i że opowiadając się za rzeczywistą reformą, dają dowód miłości do swej ojczyzny.

Na plac zaczęły wkraczać kolumny kolejnych uczelni.

Dziesiątki tysięcy ludzi, skandując hasła, zwartymi grupami siadało na placu w oczekiwaniu rannej ceremonii pogrzebowej. Zaskakiwała doskonała organizacja tego olbrzymiego tłumu. Nie było ani śladu zamieszania. Wokół czuło się podniosłą atmosferę. Prawie świtało, gdy wreszcie zdecydowaliśmy się na powrót do Instytutu.

Uroczystości pogrzebowe minęły bez większych zakłóceń, jeśli nie liczyć tego, że studencka delegacja, bez powodzenia prawie godzinę klęczała przed gmachem parlamentu błagając o widzenie z którymś z członków rządu.

Strajk na uczelniach miał potrwać jeszcze do 4 maja 1989 r., ale nikt już nie wierzył, że stanowisko władz (tzn. kompletne zignorowanie wystąpień studenckich) może ulec zmianie.

Po dwóch tygodniach, tuż przed przybyciem przywódcy radzieckiego, na uczelniach aż wrzało. Studenci chińscy słusznie wnioskując, że w czasie wizyty **Michaiła Gorbaczewa**, rząd nie podejmie przeciwko nim żadnej akcji wojskowej, wybrali właśnie ten moment na kolejne akcje protestacyjne. W scenerii udekorowanego odświętnie Pekinu na ulice wyszły setki tysięcy ludzi. Wydawało się, że całe miasto oszalało i zmierza w kierunku placu. Zauważyłem zasadniczą zmianę w zachowaniach demonstrujących. Teraz wszyscy manifestowali poparcie dla protestujących studentów począwszy od robotników, a skończywszy na bezzębnych staruszkach, którzy żywo gestykulowali siedząc przy samej ulicy, na przyniesionych przez siebie stołeczkach.

Na Tiananmenie około 3 tys. studentów rozpoczęło głodówkę, domagając się rozmów z rządem.

Nie działała komunikacja. Całe centrum miasta wypełnione było tłumami do tego stopnia, że olbrzymia 6-pasmowa ulica była prawie nieprzejezdna na długości kilkunastu kilometrów. Zbierano pieniądze na żywność dla strajkujących studentów. Małe datki dawali prawie wszyscy przechodnie, w tym również obcokrajowcy, z pobliskich hoteli. Po ulicach bez przerwy krążyły ciężarówki z ludźmi skandującymi: **„Chcemy wolności"**, **„Niech żyje Gorbaczow"**, **„Precz z Li Pengiem"**. Zatrącało to nieco anarchią, lecz wszyscy wydawali się być szczęśliwi, mając okazję do wyrażenia niezadowolenia z działania rządu.

Zapytałem parę staruszków:

— Czy to co się teraz dzieje nie przypomina trochę „rewolucji kulturalnej"?

Gwałtownie zaprzeczyli mówiąc, że studenci są patriotami, których wszyscy popierają i kochają. Po chwili dodali:

— Oni na pewno mają rację, przecież tylu ich głoduje.

Przez kolejne dni miasto huczało od syren karetek pogotowia ratunkowego, ponieważ uczestnicy strajku głodowego nie wytrzymywali 35-stopniowego żaru lejącego się z nieba. Do Pekinu napływały tysiące studentów z innych miast. Niektórzy całymi gromadami przyjeżdżali na rowerach, innych bezpłatnie woziła kolej.

Amerykanie po cichu podśmiewali się, że obecnie oprócz „chińskiego muru", demonstracje są największą turystyczną chińską atrakcją. Anglicy z kolei pasjonowali się demonstracjami do tego stopnia, że natychmiast wykonali transparent: **„Studenci zagraniczni popierają was"** i wraz z Chińczykami pognali na plac, wzbudzając zachwyt gapiów.

Następnego dnia, słuchając wiadomości radiowych, nie wierzyłem własnym uszom. Ogłoszono stan wyjątkowy. Nie wolno było fotografować, filmować, rozmawiać z tubylcami i wychodzić na ulicę po 22.00. Stosunek Chińczyków do nowej sytuacji poznałem wieczorem, gdy jedna z portierek w naszym akademiku lekceważąco stwierdziła:

— Wiadomo, co oni mogą sobie zrobić z tym stanem wojennym!

Około 21.00 przed Instytutem zebrał się tłum studentów, robotników i nauczycieli, a już po półgodzinie ustawiono obok wcale przyzwoitą barykadę z rozebranych straganów pobliskiego rynku. Kontrolowano każdy przejeżdżający samochód i przepuszczano tylko te, w których znajdował się przedstawiciel studentów. Pozostałe były dokładnie przeszukiwane. Tego dnia na każdej ważniejszej ulicy Pekinu stanęły barykady z wyczekującymi na wojsko demonstrantami. Następnego dnia nastąpiło pierwsze zwycięstwo studentów — na rondzie (około 6 km od mojej szkoły) kilkutysięczny tłum zatrzymał kolumnę 14 ciężarówek z wojskiem. Widok był to dość egzotyczny. Ciężarówki ginęły w wielkiej masie ludzkiej. Przed każdą z nich studenci odczytywali przez megafon gazety, ulotki, wykrzykiwali wolnościowe hasła, agitując otumanianych żołnierzy. Po wielu godzinach jeden z wyższych rangą wojskowych — odczytał studencką odezwę, odśpiewał wraz z tłumem „Międzynarodówkę" i deklarując całkowite poparcie dla patriotycznych wystąpień demonstrującego ludu i studentów odjechał wraz z młodymi aktywistami na plac Tiananmen.

Rząd nadal zwlekał z odpowiedzią na postulaty demonstrantów, a setki tysięcy ludzi okupujących plac i koczujących do rana na ulicach były coraz bardziej zmęczone. Na cuchnącym, wypalonym słońcem Placu Niebiańskiego Spokoju wyraźnie topniała z dnia na dzień liczba okupujących go studentów. Nie zostało ich już więcej niż około 3—4 tysiące.

W niedzielę rano, 4 czerwca 1989 r. obudził mnie Wowa — kolega z Moskwy. Był cały roztrzęsiony, miał łzy w oczach, zaczął opowiadać:

— Ja tam byłem, oni strzelali do ludzi, do starców, do dzieci, do wszystkiego co żyje. Żołnierze siali seriami po spanikowanym tłumie, użyto czołgów, które rozjechały studentów zagradzających im drogę, a następnie te same czołgi rozmiażdżyły znajdujące się na Tiananmenie namioty wraz z przebywającymi w nich jeszcze studentami.

Z miasta wrócili również dwaj Anglicy. Byli przerażeni, na własne oczy zobaczyli działanie kul rozpryskowych. Setki ludzi umierało na ulicach od poniesionych ran. Żołnierze palili martwe ciała, aby nie można było ustalić tożsamości zabitych i liczby ofiar. Baliśmy się, że armia w każdej chwili może wkroczyć na uczelnie, aby „zrobić porządek z kontrrewolucją". Zbici w tłumek w maleńkim pokoju co godzinę słuchaliśmy wiadomości BBC. Za oknami grzmiały marsze pogrzebowe, puszczane przez radiowęzeł uniwersytetu.

Czekaliśmy na ewakuację.

PIOTR PAWEŁCZYK

MOSKWA: — Sprzeczności klasowe usunęły się w cień, ich miejsce zajęły konflikty narodowościowe. (2)

Powoli rozpadają się dogmaty

GRZEGORZ MATUSZAK

Proces, a właściwie zespół różnorodnych procesów, które najogólniej określa się jako pieriestrojkę wzbudza wiele wątpliwości i rozterek wśród radzieckich teoretyków — ekonomistów, socjologów, filozofów, prawników. Oto bowiem w ciągu krótkiego czasu okazało się, że dotychczasowy model kształtowania nowego ustroju, opisany w kategoriach naukowego komunizmu, który w ZSRR jest oficjalną dyscypliną w naukach społecznych, a nawet ich jak gdyby sumą i uogólnieniem, okazał się anachroniczny i nie dostosowany do realiów współczesnego świata oraz zachodzących w nim przemian.

Przez długie lata wydawało się, że wystarczy sięgnąć do tekstów Karola Marksa, Fryderyka Engelsa, a przede wszystkim Włodzimierza Lenina i wszystko jest jasne, znajdzie się tam gotowe recepty na teraźniejsze i przyszłe czasy. Tymczasem brak jest teoretycznego wyjaśnienia, dlaczego gospodarka, która miała być przodująca w świecie, jest marnotrawna i niewydajna, dlaczego scentralizowany, nakazowo-administracyjny system władzy, tak długo uznawany za najlepszy, okazał się niesprawny i nieefektywny. Brak odpowiedzi na pytania — jak rozwiązać w socjalizmie problem własności i uspołecznienia środków produkcji, jak szybko i skutecznie zaspokoić społeczne potrzeby, jak dokonać uspołecznienia władzy i zdemokratyzować życie zbiorowe, jakie uboczne zjawiska i procesy społeczne mogą towarzyszyć takim przemianom?

Prof. O. Fieofanow uważa, że myśl teoretyczna socjalizmu, a także ideologia określająca ten ustrój, znajdują się w Związku Radzieckim w głębokim kryzysie. Socjalizm w świadomości społecznej funkcjonuje jako szlachetny ideał, ale konstytutywne wartości tego ideału nie są realizowane w życiu, zaś szereg przewidywań klasyków, *między innymi o światowej rewolucji*, upadku kapitalizmu, czy postępującym nieustannie rozwoju sił wytwórczych i wzroście wydajności pracy w państwie dyktatury proletariatu, po prostu nie spełniły się.

W ZSRR wciąż w kategoriach ideologicznych postrzegana struktura społeczna ograniczona jest do wyróżnienia dwóch klas i jednej warstwy, co zresztą określiła stalinowska konstytucja z lat trzydziestych. A tymczasem zróżnicowanie społeczeństwa radzieckiego jest o wiele bogatsze, na przykład prof. Tatiana Zasławska wyróżnia około 80 różnych grup społecznych, mających różne interesy, różnie zorganizowanych i zajmujących różne miejsca w całokształcie życia zbiorowego. Obecnie okazało się, że nie absolutyzowane dotychczas sprzeczności klasowe są najważniejsze, bowiem pojawiły się w ZSRR inne dramatyczne konflikty: narodowościowe i kulturowe.

Już obecnie można dostrzec symptomy faktycznie istniejącego zróżnicowania społecznego poprzez pojawianie się nowych, nieformalnych stowarzyszeń, które de facto, w mikroskali są zwiastunami pluralizmu ideologicznego i politycznego radzieckiego społeczeństwa. W związku z tym pojawiają się pytania o rolę partii, jej miejsce w społeczeństwie, stosunek do nowych zjawisk społecznych.

Oficjalnie uczeni z Akademii Nauk Społecznych przy KC KPZR mówią o konieczności zmian w obowiązującej ideologii, między innymi podkreśla się potrzebę odejścia od orientacji na wielkie zbiorowości ludzkie, na masy, a dostrzeganie konkretnego człowieka, jego potrzeb i możliwości. Dogmatyczne skostnienie nauk społecznych spowodowało, że w wielu uczelniach studenci negatywnie odnoszą się do wykładanego powszechnie naukowego komunizmu.

Głównym problemem teoretycznym jest wypracowanie współczesnej koncepcji socjalizmu. W środowiskach akademickich mówi się otwarcie, że Włodzimierza Lenina nie można zamieniać w ikonę, ale na razie dramatyzm sytuacji polega na tym, że takiej koncepcji nie ma. Trwają dyskusje, między innymi nad problemem konwergencji, która to teoria jeszcze całkiem niedawno była jedną z najcięższych herezji w myśli komunistycznej. W kwestiach ekonomicznych cytuje się myśl — byłego już dziś — chińskiego przywódcy Deng Xiaopinga, że nie jest ważne, czy kot jest biały, czy czarny, ważne, aby łapał myszy.

Można wręcz zaryzykować tezę, że obecnie poszukuje się rozwiązań pragmatycznych, bez oglądania się na rozstrzygnięcia ideologiczne.

Jednocześnie dla wielu teoretyków, przyzwyczajonych do żonglowania cytatami z klasyków, przestawienie się na nowe myślenie jest wręcz niemożliwe, popadli w rutynę posługiwania się hasłami i stereotypami sprzed lat. Zapewne musi dokonać się zmiana pokoleniowa, muszą zostać zebrane wszechstronne doświadczenia empiryczne, aby mogły pojawić się poważne koncepcje teoretyczne. Na to trzeba czasu, a tego czasu w obecnym etapie pieriestrojki jak gdyby brakuje.

Socjologowie radzieccy mają znikomy, jak się wydaje, wpływ na sferę polityki, ale jednocześnie prowadząc badania opinii społecznej dysponują ciekawymi konstatacjami. Prof. W. Jadow z Instytutu Badań Socjologicznych Akademii Nauk ZSRR ocenia, że pieriestrojka wywołała zróżnicowane opcje w społeczeństwie. Od pełnego poparcia i zrozumienia programu Michaiła Gorbaczowa, które wyraża około 10 procent obywateli, przede wszystkim z kręgów inteligencji, poprzez emocjonalne poparcie dla pieriestrojki, jednak bez pełnego zrozumienia jej istoty i konsekwencji, deklarowane przez wysoko kwalifikowanych robotników i inteligencję; opcję mieszaną, czyli akceptację dla przebudowy gospodarki, ale bez reform politycznych i demokratyzacji życia zbiorowego, którą to postawę reprezentują nisko kwalifikowani robotnicy i duża część aparatu władzy, aż do artykulacji skrajnych tendencji nacjonalistycznych, jakie pojawiły się na Zakaukaziu, w republikach nadbałtyckich i w Uzbekistanie.

Można powiedzieć, że ukształtowała się wyraźnie wyodrębniona grupa liberalno-demokratyczna, przede wszystkim złożona z przedstawicieli intelektualistów, której rzecznikami są między innymi profesorowie A. Sacharow i D. Lichaczow, przed kilku laty represjonowani i pozbawieni możliwości publicznego działania. Jednocześnie wyodrębniła się też liczna grupa populistów, odwołujących się do nastrojów i rozbudzonych emocji społecznych, domagających się radykalnej demokratyzacji i rozliczania aparatu władzy. Typowymi reprezentantami tej drugiej orientacji są B. Jelcyn, T. Goljan i inni.

Interesujące wydają się wyniki mikrosondażu, przeprowadzonego w Moskwie na temat: czy potrzebny jest sąd nad Józefem Stalinem i stalinizmem. Większość odpowiadających akceptowała zasadność postawienia Józefa Stalina przed symbolicznym trybunałem, ale jednocześnie uznała, że sąd nad wieloletnim szefem partii i państwa radzieckiego będzie rozprawą i osądzeniem nie człowieka, ale systemu politycznego, a takiego wyroku nie trzeba, bowiem przyniesie on więcej szkód niż pożytku. Prof. I. Iwanow z Instytutu Badań Socjologicznych AN ZSRR uważa, że popularność Józefa Stalina systematycznie spada, choć warto także zauważyć, że pod murami Kremla świeże kwiaty leżą tylko na nagrobkach J. Gagarina i właśnie Józefa Stalina.

Milczącym obszarem jest wieś radziecka, odstająca ekonomicznie, cywilizacyjnie i kulturowo od obszarów zurbanizowanych.

Dramatycznym symptomem niskiego poziomu życia chłopów jest zjawisko wymierających wsi — młodzi uciekają do miast, starzy ludzie umierają i setki wsi w rolniczych terenach pustoszeje. Pieriestrojka dla milionów chłopów oznacza przede wszystkim szansę na wyartykułowanie swych elementarnych potrzeb bytowych. Dopiero po ich zaspokojeniu może przyjść, a i to nieprędko, zainteresowanie dla problemów ustrojowych, prawnych, ideologicznych i potrzeba podmiotowości obywatelskiej.

Ogólnie można powiedzieć a potwierdzają to socjologowie radzieccy, że nastroje społeczne są labilne, wahają się wolno zaczyna obniżać się stan poparcia dla pieriestrojki oraz uznanie autorytetu jej inicjatora. Szczególnie wpływa na to pogarszanie się poziomu życia i niskie oceny stanu gospodarki. Przynależność do partii nie wpływa na poglądy badanych podobne opinie wygłaszają członkowie KPZR i bezpartyjni. O wzrastającym krytycyzmie świadczą choćby wyniki sondażu zorganizowanego przez prof. Tatianę Zasławską na temat — czy obywatele są zadowoleni z wyborów do Rady Najwyższej ZSRR. pozytywnie *wypowiedziało się* 40 proc., a negatywnie 49 proc. *zapytanych*.

Wydaje się, że ponad 2100 uczestników Zjazdu Deputowanych Ludowych ZSRR jest dość reprezentatywną próbą radzieckiego społeczeństwa, a przynajmniej panujących w nim nastrojów. Emocje poglądy ujawniane na sali obrad, kontrowersje, szczególnie ostre na tle konfliktów narodowościowych, są odbiciem ogromnego zróżnicowania poglądów, opcji i orientacji, od skrajnie zachowawczych, dogmatycznych do hurrarewolucyjnych i radykalnie demokratycznych. Społeczeństwo przez dziesiątki lat formowane według jednego stereotypu, ujawnia swą ogromną różnorodność, a wraz z nią sprzeczne interesy i dążenia. Zapewne trzeba czasu, aby mogła dokonać się ewolucja od dogmatycznej koncepcji mas, realizowanej metodami nakazowo-administracyjnymi, które okazały się nieskuteczne, a sama koncepcja niemożliwa do osiągnięcia w praktyce, do normalnego życia społecznego, do sprawnej gospodarki, praworządności, demokracji, podmiotowości człowieka. Droga, którą trzeba przejść okazuje się być o wiele dłuższa i trudniejsza niż to się wydawało w pierwszych, wstępnych latach pieriestrojki.

Foto: Grzegorz Gałasiński

ze str. 1

Jak hitlerowcy namawiali ZSRR do współpracy

i poprawną... Nazbyt oczywiste są motywy zmuszające Niemców do zmiany tonu w stosunku do nas, by odnosić się do tego na obecnym stadium dość poważnie".

Rząd niemiecki niepokoiły w tamtym czasie przede wszystkim rozpoczęte rozmowy radziecko-brytyjsko-francuskie. Był on zainteresowany utrudnieniem ich pomyślnego zakończenia. Poprzez swoją agenturę w Londynie Niemcy byli doskonale poinformowani o tych rozmowach. Wiedzieli oni i o dążeniu rządu radzieckiego do jak najszybszego osiągnięcia porozumienia trzech mocarstw, i o nieszczerym stanowisku Londynu oraz Paryża.

W rozmowach radziecko-brytyjsko-francuskich wiele zależało od Polski.

Zastępca ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRR Władimir Potiomkin, który przybył do Warszawy 10 maja, zaproponował zawarcie układu radziecko-polskiego o pomocy wzajemnej. Jednakże następnego dnia rząd polski odpowiedział, iż inicjatywa Francji w rozmowach radziecko-brytyjsko-francuskich *„w sprawie gwarancji dla Polski nie odpowiada punktowi widzenia rządu polskiego"* i *„Polska nie uważa za możliwe zawarcie paktu o pomocy wzajemnej z ZSRR"*. Polskie koła rządzące budowały swoją politykę na nadziei, iż uda im się porozumieć w jakikolwiek sposób z Niemcami.

Rząd niemiecki zaczyna w tym czasie aktywizować swoje sondaże na temat możliwości unormowania stosunków z ZSRR. 15 maja 1939 r. J. Schnurre na zakończenie rozmowy z G. Astachowem, poświęconej bieżącym problemom handlowym, ponownie — jak stwierdza w notatce z tej rozmowy — *„porusza temat poprawy stosunków radziecko-niemieckich"*. Zgodnie ze wskazówkami z Berlina, 20 maja ambasador niemiecki w ZSRR Friedrich von Schulenburg złożył wizytę ludowemu komisarzowi spraw zagranicznych Wiaczesławowi Mołotowowi. Podjąwszy temat radziecko-niemieckich stosunków gospodarczych, ambasador poinformował o zamiarze rządu niemieckiego wysłania do Moskwy J. Schnurre'a na rozmowy poświęcone tej sprawie. Stanowisko, jakie zajął ludowy komisarz, jest widoczne z notatki z tej rozmowy.

„Powiedziałem ambasadorowi, iż o przyjeździe Schnurre'a do Moskwy słyszymy nie po raz pierwszy. Schnurre wyjeżdżał już do Moskwy, jednak jego podróż została mimo wszystko odłożona. Rozmowy gospodarcze z Niemcami zaczynały się w ostatnim czasie niejednokrotnie, ale do niczego nie doprowadziły. Powiedziałem dalej, iż odnosimy wrażenie, że rząd niemiecki zamiast rzeczowych rozmów gospodarczych prowadzi swojego rodzaju grę i że do tej gry należałoby poszukać sobie za partnera inny kraj, a nie rząd ZSRR. ZSRR nie zamierza brać udziału w tego rodzaju grze.

Ambasador zapewnił mnie, iż nie chodzi o grę, że rząd niemiecki żywi zdecydowane pragnienie uregulowania stosunków gospodarczych z ZSRR... Odpowiedziałem na to, iż doszliśmy do wniosku, że dla sukcesu rozmów gospodarczych winna być stworzona odpowiednia baza polityczna".

W niemieckim MSZ zaczęto opracowywać nowe warianty podejść do ZSRR, by spróbować skomplikować rozmowy radziecko-brytyjsko-francuskie. Jednakże E. von Weizsaecker wyrażał obawy, iż nowa inicjatywa pod adresem ZSRR jest związana z *„niebezpieczeństwem powtórnej odmowy"*.

Nowy sondaż stanowiska ZSRR — z akceptacji Adolfa Hitlera — postanowiono podjąć w Berlinie. Rozpoczęwszy 30 maja 1939 r. rozmowę z G. Astachowem od dyskutowania problemu otwarcia w Pradze filii radzieckiego przedstawicielstwa handlowego w Niemczech, E. von. Weizsaecker przeszedł następnie do problemów politycznych. Powiedział poruszając stosunki radziecko-niemieckie, iż w niemieckim „sklepie" jest dużo różnych towarów. Takiego towaru, jak narodowy socjalizm, nie proponuje. *„Jednak oprócz tego towaru jest wiele innych — rozwój handlu, dalsza normalizacja stosunków itp. — i dokonanie wyboru zależy od ZSRR"*. W swoim dzienniku E. von Weizsaecker zapisał tego dnia, iż rząd niemiecki zgłasza propozycję, jednakże Rosjanie po dawnemu *„przejawiają nieufność"*.

Kolejny sondaż podjął, po przyjeździe do Berlina Friedrich von Schulenburg w rozmowie z G. Astachowem 17 czerwca 1939 roku. On również poruszył na początek problemy gospodarcze.

„Przechodząc do zagadnienia stosunków politycznych — telegrafował do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych charge d'affaires — *Schulenburg powiedział, iż wszyscy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w tym również Ribbentrop, oczekują odpowiedzi na zagadnienie, poruszone przez Weizsaeckera w rozmowie ze mną, i liczą, że właśnie ja przekażę im odpowiedź. Schulenburg zapewniał, iż rozmowę Weizsaeckera ze mną należy rozumieć jako pierwszą próbę rządu niemieckiego wymiany poglądów na temat poprawy stosunków. Rząd niemiecki nie decyduje się na razie na dalsze kroki w tym kierunku, obawiając się, iż spotka się z negatywnym stosunkiem z naszej strony. Powołując się konfidencjonalnie na swoją rozmowę z Ribbentropem, Schulenburg zapewniał, że atmosfera do poprawy stosunków dojrzała... Schulenburg uporczywie podkreślał, iż Ministerstwo Spraw Zagranicznych oczekuje naszej odpowiedzi, zanim podejmie nowe kroki"*.

26 czerwca Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych (LKSZ) otrzymał telegram charge'd'affaires ZSRR we Włoszech o jego rozmowie z włoskim ministrem spraw zagranicznych Galcazzo Ciano.

Ten ostatni wspominał o istnieniu „planu" Friedricha von Schulenburga. Ciano powiedział, iż Schulenburg, przebywający w Berlinie, zaproponował *„wejście na drogę zdecydowanej poprawy stosunków niemiecko-radzieckich i w tym celu:*

1. Niemcy winny przyczynić się do uregulowania stosunków japońsko-radzieckich i likwidacji konfliktów przygranicznych.

2. Przedyskutować możliwość zaproponowania nam bądź zawarcia paktu o nieagresji, bądź — być może — wspólnie zagwarantować niezależność krajów nadbałtyckich.

3. Zawrzeć szerokie porozumienie handlowe".

Dwa dni później, powróciwszy do Moskwy, Friedrich von Schulenburg złożył wizytę ludowemu komisarzowi spraw zagranicznych. W notatce z tej rozmowy twierdza się:

„Rząd niemiecki pragnie nie tylko normalizacji, ale i poprawy swoich stosunków z ZSRR. Dodał on następnie, iż to oświadczenie, poczynione przez niego na polecenie Ribbentropa, zyskało aprobatę Hitlera. Zgodnie ze słowami Schulenburga, Niemcy dały już dowody swojego pragnienia normalizacji stosunków z nami".

Jako przykład ambasador wskazał na powściągliwość tonu prasy niemieckiej wobec ZSRR, na pakty o nieagresji, zawarte przez Niemcy w czerwcu 1939 roku z Łotwą i Estonią, na gotowość Niemiec wyjścia naprzeciw Związkowi Radzieckiemu w zakresie stosunków gospodarczych.

W odpowiedzi komisarz ludowy przypomniał o *„istniejącym do niedawna pakcie o nieagresji między Niemcami i Polską, który tak nieoczekiwanie utracił swoją moc"*. Komisarz ludowy zrobił aluzję do tego, iż pakt został anulowany przez Niemcy pod koniec kwietnia 1939 roku.

„Na moje pytanie — głosi zapis tej rozmowy — *jak ambasador wyobraża sobie możliwość poprawy stosunków między Niemcami i ZSRR, Schulenburg odpowiedział, iż należy wykorzystać każdą możliwość, by usuwać przeszkody na drodze poprawy stosunków. Jeśli ambasador również obecnie, po podróży do Berlina, nie proponuje niczego innego, to wydaje się — powiedziałem — uważa on, iż w stosunkach radziecko-niemieckich wszystko idzie pomyślnie i ambasador jest wielkim optymistą. W tym momencie Schulenburg przypomniał, że ZSRR i Niemcy są związane Układem Berlińskim o neutralności, zawartym w 1926 roku, który został przedłużony przez Hitlera w 1939 roku. Zauważyłem ironicznie, że dobrze jest, iż Schulenburg pamięta o istnieniu tego układu, i zapytałem, czy ambasador nie uważa, iż zawarcie przez Niemcy w ostatnim czasie układu, na przykład* „paktu antykominternowskiego" *i sojuszu wojskowo-politycznego z Włochami, nie znajduje się w sprzeczności z układem niemiecko-radzieckim z 1926 roku. Schulenburg zaczął zapewniać, iż nie należy wracać do przeszłości"*.

J. Schnurre, podkreślał w przygotowanej przez siebie 30 czerwca 1939 r. notatce, iż główną przyczyną powściągliwego stanowiska strony radzieckiej jest, jak się wydaje, niechęć do prowadzenia równolegle do odbywających się w Moskwie rozmów z Brytyjczykami i Francuzami takich samych rozmów z Niemcami. W ciągu całego miesiąca rząd niemiecki nie zdecydował się na ponowne zwrócenie się do rządu radzieckiego z jakimikolwiek rozmowami na tematy polityczne.

7 lipca 1939 r., ambasada niemiecka w Moskwie otrzymała polecenie wystąpienia z propozycjami w sprawach gospodarczych.

Berlin wyrażał gotowość udzielenia Związkowi Radzieckiemu kredytu w wysokości 200 mln marek dla złożenia zamówień radzieckich w Niemczech. Trzy dni później radca ambasady w Moskwie H. Hielger przekazał te propozycje ludowemu komisarzowi

handlu zagranicznego Anastasowi Mikojanowi. Prowadzenie rozmów w tej sprawie zostało powierzone zastępcy przedstawiciela handlowego ZSRR w Niemczech J. Babarinowi (przedstawiciela handlowego, podobnie jak i przedstawiciela politycznego Związek Radziecki nie miał w tym czasie w Berlinie). Z dokumentów niemieckiego MSZ wynika, iż rząd niemiecki zamierzał prowadzić rozmowy w duchu wyraźnej uprzedzającej grzeczności, ponieważ pragnął jak najszybszego zawarcia porozumienia.

Dla Związku Radzieckiego otrzymanie kredytu, w ramach którego mógłby zakupić w Niemczech urządzenia przemysłowe i inne towary, w tym również mające znaczenie obronne, było bardzo interesujące. Tym bardziej, iż spłacanie kredytu przypadłoby dopiero po 5—7 latach.

Pod koniec lipca 1939 r. dyplomacja niemiecka znowu się zaktywizowała. 24 lipca. J. Schnurre ponownie poruszył w rozmowie z G. Astachowem sprawę poprawy stosunków politycznych z ZSRR.

„Podkreślił on — mówi się w zapisie tej rozmowy — *iż uważa, że ma prawo mówić o tym, bowiem nie tylko zajmuje się gospodarką, ale jest również blisko Ribbentropa i zna jego punkt widzenia. Zgodnie z myślą rządu, pomyślne zakończenie rozmów handlowo-kredytowych winno być tylko pierwszym etapem na drodze do normalizacji stosunków. Drugi etap winien polegać na normalizacji stosunków na linii prasy i kontaktów kulturalnych, na zwiększeniu wzajemnego szacunku itp. Potem będzie można przejść do trzeciego etapu, stawiając kwestię zbliżenia politycznego. Należy z ubolewaniem stwierdzić, iż niejednokrotne próby strony niemieckiej podnoszenia tego tematu pozostały bez odpowiedzi. Niczego konkretnego nie powiedział również na ten temat Schulenburgowi W. Mołotow. Tymczasem wszelkie dane dla takiego zbliżenia są oczywiste...* (wielokropek w dokumencie). *Schnurre rozumie, rzecz oczywista, iż tego typu zmiana polityki wymaga czasu, ale trzeba coś robić. Jeśli strona radziecka nie dowierza powadze zamiarów niemieckich, to niech powie, jakie dowody są jej potrzebne. Sprzeczności między Niemcami i ZSRR nie ma. W rejonie nadbałtyckim i w Rumunii Niemcy nie zamierzają robić niczego takiego, co narażałoby na szwank interesy ZSRR"*.

Dzień później, 26 lipca 1939 r., J. Schnurre zaprosił G. Astachowa i zastępcę radzieckiego przedstawiciela handlowego J. Babarina na kolację. W tej sytuacji poszedł jeszcze dalej w swoich propozycjach odnośnie do poprawy stosunków. G. Astachow zapisał:

„Szefowie polityki niemieckiej, powiedział Schnurre, mają jak najpoważniejsze zamiary znormalizowania i poprawy tych stosunków. Zdanie Weizsaeckera o „sklepie", *w którym jest wiele towarów, należy rozumieć w ten sposób, iż Niemcy są gotowe przedstawić ZSRR do wyboru wszystko, co zechce — od zbliżenia politycznego i przyjaźni aż do otwartej wrogości... Niestety, jednak ZSRR nie reaguje na to. Nie odpowiedzieliśmy nic Weizsaeckerowi. Schulenburg, rozmawiając z Mołotowem, także nie otrzymał żadnej konkretnej odpowiedzi. Tymczasem on stawiał problem konkretnie, proponując — na przykład — przedłużenie bądź odnowienie radziecko-niemieckiego porozumienia politycznego, które — jeśli się w nie wczytać — zawiera wielkie możliwości zbliżenia"*.

G. Astachow zapytał J. Schnurre'a, czy jest w pełni przekonany, że wszystko, co powiedział, jest nie tylko jego osobistym punktem widzenia, ale stanowi również odbicie nastrojów wyższych sfer. Ze swojej strony J. Schnurre zauważył, iż nie mówiłby tego wszystkiego, gdyby nie miał ku temu bezpośrednich wskazówek odgórnych. Podkreślił, że *„właśnie takiego punktu widzenia trzyma się Ribbentrop, który zna dokładnie myśli fuehrera"*.

W odpowiedzi na wzmiankę radzieckiego charge d'affaires o ekspansji niemieckiej w rejonie nadbałtyckim i w Rumunii, J. Schnurre oświadczył:

„Nasza działalność w tych krajach w niczym nie narusza waszych interesów. Nawiasem mówiąc, gdyby doszło do poważnych rozmów, to twierdzę, iż wyszlibyśmy całkowicie naprzeciw ZSRR w tych kwestiach. Morze Bałtyckie winno być, naszym zdaniem, wspólne. Jeśli zaś idzie o kraje nadbałtyckie, to gotowi jesteśmy zachowywać się w stosunku do nich tak, jak wobec Ukrainy. Z wszelkich zamachów na Ukrainę całkowicie zrezygnowaliśmy".

Na zakończenie G. Astachow powiedział, iż treść rozmowy przekaże szczegółowo do Moskwy. Uprzedził jednakże, iż wszystkie myśli rozwinięte przez J. Schnurre'a — są tak nowe i niezwykłe w ustach niemieckiej osobistości oficjalnej, iż nie może *„z przekonaniem powiedzieć, że w Moskwie zostaną one potraktowane całkowicie poważnie"*.

Wraz z odpisami obu tych rozmów z J. Schnurre'em, G. Astachow wysłał 27 lipca również list do zastępcy ludowego komisarza spraw zagranicznych Władimira Potiomkina. Odnosząc się do uporczywego dążenia Niemców do poprawy stosunków z ZSRR, wypowiedział na ten temat pewne idee, prawda, zastrzegając się, iż nie jest na bieżąco poinformowany odnośnie do perspektyw rozmów ZSRR z W. Brytanią i Francją.

„Nie wątpię — pisał G. Astachow — *że jeślibyśmy chcieli, moglibyśmy wciągnąć Niemcy w daleko idące rozmowy, uzyskawszy od nich szereg zapewnień w interesujących nas kwestiach. Czego byłyby warte owe zapewnienia i przez jak długi czas zachowałyby swoją moc, to — oczywiście i inna sprawa. W każdym razie* — podkreślał — *ową gotowość Niemców do rozmowy o poprawie stosunków należy brać pod uwagę i, być może — należałoby ich nieco podgrzewać, żeby zachować we własnych rękach atut, którym można by było posłużyć się w razie konieczności. Z tego punktu widzenia byłoby, być może, celowe powiedzieć im cokolwiek, postawić szereg jakichkolwiek pytań, by nie stracić nici, którą dają nam w ręce i która, przy ostrożnym obchodzeniu się z nią, nie może nam raczej zaszkodzić"*.

Następnego dnia Wiaczesław Mołotow wysłał G. Astachowowi następujący telegram:

„Ograniczając się do wysłuchiwania oświadczeń Schnurre'a i obietnic przekazania ich do Moskwy, postąpił pan prawidłowo".

Telegram ten był, rzecz oczywista, zarówno oceną stanowiska G. Astachowa w trakcie przytoczonych rozmów z J. Schnurre'em, jak i dyrektywą na przyszłość. Ogólnie biorąc, była to pierwsza wytyczna ludowego komisarza dla chargé d'affaires w Niemczech w lecie 1939 roku w sprawach politycznych.

W ślad za tym telegramem Wiaczesław Mołotow posłał 29 lipca 1939 r. G. Astachowowi jeszcze jeden telegram, w którym zostały wypowiedziane również pewne konkretne myśli odnośnie do stosunków radziecko-niemieckich.

„Między ZSRR i Niemcami, oczywiście przy poprawie stosunków gospodarczych, mogą się również poprawić stosunki polityczne. Pod tym względem Schnurre, ogólnie biorąc, ma rację. Ale tylko Niemcy mogą powiedzieć, w czym konkretnie winna przejawiać się poprawa stosunków politycznych. Do niedawna Niemcy zajmowali się tym, że tylko wymyślali ZSRR, nie chcieli żadnej poprawy stosunków z nami i odmawiali udziału we wszelkich konferencjach, na których był reprezentowany ZSRR. Jeśli obecnie Niemcy szczerze zmieniają nastawienie i rzeczywiście chcą poprawić stosunki polityczne z ZSRR, to mają oni obowiązek powiedzieć nam, jak konkretnie wyobrażają sobie tę poprawę. Był u mnie niedawno Schulenburg i również mówił o potrzebie poprawy stosunków, ale niczego konkretnego bądź wyraźnego nie zechciał zaproponować. Sprawa zależy tu całkowicie od Niemców. Wszelką poprawę stosunków politycznych między obomą krajami powitalibyśmy, oczywiście, z zadowoleniem".

W Moskwie przygotowywano się do rozpoczęcia rozmów przedstawicieli wojskowych ZSRR, W. Brytanii i Francji.

Jednakże z Londynu i Paryża napływały sygnały wywołujące wątpliwość co do rzeczywistego zainteresowania W. Brytanii i Francji efektywną współpracą z ZSRR. Coraz to nowe fakty świadczyły o tym, że brytyjski premier Neville Chamberlain jak dawniej dąży do porozumienia z Niemcami, do nowego Monachium, tym razem kosztem Polski. Potwierdzały to przede wszystkim daleko idące propozycje, przekazane w drugiej połowie lipca 1939 r. przez Brytyjczyków rządowi niemieckiemu. Informacje o nich przedostały się do prasy brytyjskiej, w rezultacie czego stały się wiadome również rządowi radzieckiemu. Ze względu na niechęć W. Brytanii, Francji i Polski do współpracy z ZSRR w odparciu agresji zachowanie pokoju w całej Europie stawało się niemożliwe. Sytuacja ukształtowała się tak, iż Niemcy, zamierzając rozpocząć wojnę, były zainteresowane tym, by ZSRR pozostał poza tą wojną. Otwarło to przed naszą polityką zagraniczną pewne możliwości.

2 sierpnia 1939 r. J. Schnurre informował Friedricha von Schulenburga, iż *„problem Rosji jest tu rozpatrywany w planie politycznym w trybie wyjątkowo pilnym"*. Przez ostatnie dziesięć dni, pisał, codziennie rozmawiam z Joachimem von Ribbentropem i *„wiem, że on nieustannie wymienia poglądy również z fuehrerem"*. Joachim von Ribbentrop uważa za niezbędne *„w miarę możliwości jak najszybciej doprowadzić problem Rosji nie tylko w planie negatywnym (skomplikowanie rozmów radziecko-brytyjskich), ale również w planie pozytywnym (zrozumienie wzajemne z nami) do jakiegokolwiek rezultatu"*.

Tego samego dnia G. Astachow został zaproszony przez Joachima von Ribbentropa, który przez godzinę przedstawiał swoje poglądy na rozwój stosunków radziecko-niemieckich. Zauważył on, iż zakończenie prowadzonych rozmów kredytowych *„może stać się początkiem poprawy stosunków politycznych"*. Niemiecki minister powiedział:

„Uważamy, iż między naszymi krajami nie ma sprzeczności na całej przestrzeni od Morza Czarnego do Bałtyku. We wszystkich tych kwestiach można się porozumieć i jeśli rząd radziecki podziela te przesłanki, to można wymienić poglądy w bardziej konkretnym trybie".

Joachim von Ribbentrop prosił o doprowadzenie tego, co powiedział, do świadomości rządu radzieckiego i poinformowanie go, czy rząd ten uważa za pożądane bardziej szczegółowe omówienie tego tematu. W przypadku pozytywnej odpowiedzi *„można byłoby pomówić bardziej konkretnie"*.

Na polecenie Joachima von Ribbentropa J. Schnurre zaprosił następnego dnia G. Astachowa, by *„uściślić i uzupełnić"* odbytą rozmowę. Powiedział, iż rząd niemiecki chciałby poznać punkt widzenia Moskwy w następujących punktach:

„1) czy uważamy za pożądaną wymianę poglądów w sprawie poprawy stosunków, a jeśli tak, to 2) czy rząd radziecki może przedstawić konkretnie krąg zagadnień, których poruszenie byłoby pożądane. W takim przypadku rząd niemiecki gotów jest przedstawić również swoje wyobrażenia na ten temat"

Byłoby pożądane przeprowadzenie rozmów w Berlinie, powiedział J. Schnurre, ponieważ *„interesują się nimi bezpośrednio Ribbentrop i Hitler"*. W rozmowie tej zostały wyraźnie postawione te problemy, które E. von Weizsaecker poruszył już 30 maja, a na które rząd niemiecki nie otrzymał odpowiedzi w ciągu dwóch miesięcy.

(„Mieżdunarodnaja Żizn" nr 5 z 1989 roku).

C.D.N.

Co ma zrobić lekarz: ratować chorego wbrew jego woli, czy bezczynnie patrzeć, jak chory zgodnie ze swą wolą umiera?

Jak umierają wybrani przez Boga

EUGENIUSZ IWANICKI

Będzie to opowieść o śmierci. Z punktu widzenia fizjologii, wszystkie śmierci są jednakowe, gdyż ustają najważniejsze czynności ludzkiego organizmu. Filolog powiedziałby, że człowiek z czasownika „jest" przeszedł do czasownika „był". Natomiast ocena filozoficzno-moralna będzie zawsze odróżniać jedną śmierć od innej, bo każda jest przecież sprawą pojedynczego człowieka.

Ten wstęp posiada swoje uzasadnienie w historii, którą zamierzam przedstawić. A będzie to historia nie tyle niezwykła, co nietypowa dla naszych, ugruntowanych przez kościół i przez kulturę europejską pojęć i ocen. Nietypowa, a więc wymagająca zajęcia określonego stanowiska. Okazuje się wszakże, że jakikolwiek byłby nasz stosunek do niej, nie znajdzie on powszechnego potwierdzenia, gdyż nic tu nie jest jednoznaczne, jednowymiarowe ani oczywiste.

Aby nie urazić niczyich uczuć religijnych, ani nie sprawić nie zamierzonego bólu tym, których doświadczył los, zmieniłem imiona i nazwiska opisywanych tu osób, a także nazwę miasta i instytucji, w której wzięła początek tragedia. Nie podaję też roku, gdyż nie ma to większego znaczenia, natomiast zachowuję porządek kilku dni jesiennego miesiąca.

1.

Miejsce akcji: miasto wojewódzkie, warsztat naprawczy Przedsiębiorstwa Transportowego. Osoby dramatu: mechanicy Jan Kowalski i Józef Wiśniewski oraz dwóch innych, będących jedynie świadkami zajścia. Czas akcji: 16 października, około godziny 12.30.

Tego dnia w warsztacie był naprawiany układ hamulcowy w samochodzie marki „Nysa", będącym własnością Przedsiębiorstwa Transportowego. Praca mechaników wymaga nie tylko usunięcia usterki, ale i sprawdzenia, czy pojazd jest sprawny technicznie, a w tym przypadku, czy układ hamulcowy działa prawidłowo.

Józef Wiśniewski — rocznik 1962, żonaty, dwoje małych dzieci, z zawodu kierowca, ale po zatrzymaniu mu przez wydział komunikacji prawa jazdy za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym, „odrabia" jako mechanik — wsiada do samochodu i wyjeżdża z warsztatu. Niestety, hamulce nadal nie są sprawne. W tym czasie Jan Kowalski siedzi w głębi warsztatu przy stole montażowym i coś tam robi.

Józef Wiśniewski postanawia samochód wprowadzić ponownie na stanowisko naprawcze i w tym celu wjeżdża do warsztatu.

Wjeżdża. Trudno ustalić z jaką szybkością. Samochód z rozpędu uderza w Jana Kowalskiego i przygniata go do stołu montażowego. Później, już w śledztwie, Józef Wiśniewski będzie twierdził, że naciskał pedał hamulca, ale samochód nie reagował, toczył się w stronę Jana Kowalskiego.

Jan Kowalski nawet nie krzyknął. A kiedy Józef Wiśniewski odepchnął samochód Jan Kowalski zwalił się na podłogę. Był bardzo blady, ale przytomny.

2.

O godzinie 15,20 Jan Kowalski znalazł się w szpitalu wojewódzkim. Dla lekarzy sprawa jest jasna: należy natychmiast rozpocząć zabieg operacyjny, gdyż z badań wynika, że poszkodowany ma złamaną miednicę. Jak zwykle w takich przypadkach, lekarze proszą, by Jan Kowalski wyraził zgodę na zabieg. Jan Kowalski odmawia. Uzasadnia to tym że jest Świadkiem Jehowy i nie może przyjąć cudzej krwi.

Mijają godziny i stan chorego pogarsza się.

O godzinie 22.20 ciśnienie u Jana Kowalskiego wynosi zaledwie 30/60, a tętno 124 uderzeń na minutę.

O godzinie 23.40 — jest jeszcze gorzej. Sprowadzona żona Jana Kowalskiego potwierdza wolę męża.

O 1.15 Jan Kowalski pisze:

„Nie wyrażam zgody na przetoczenie krwi i płynów krwiopochodnych ze względów religijnych — Świadek Jehowy. Uwalniam szpital od odpowiedzialności prawnej za skutki mej odmowy".

Podobnej treści oświadczenie składa żona Jana Kowalskiego:

„Nie wyrażam zgody na przetoczenie krwi i płynów krwiopochodnych mimo krytycznego stanu mojego męża".

Lekarze naradzają się. Są to specjaliści i wieloletni praktycy. Zdają sobie doskonale sprawę, czym może się zakończyć upór Jana Kowalskiego. Jednocześnie pamiętają o artykule 17 ustawy o zawodzie lekarskim, który zabrania dokonywać jakichkolwiek zabiegów bez zgody chorego.

Personel szpitalny z bezradnością obserwuje zmaganie się życia ze śmiercią. Nikt nie wątpi czyje będzie zwycięstwo.

Tak mijają cztery kolejne dni, podczas których choremu podaje się dożylnie jedynie płyny Ringera, PWE, glukozę, cyclonaminy, fortal, hydrocortison, witaminę K, calcium Polfa, natrium bicarbonicum... Jednakże wszyscy zdają sobie sprawę, że są to namiastki, że bez operacji i transfuzji krwi, życie Jana Kowalskiego dobiega kresu.

3.

21 października w karcie choroby lekarze wpisują: *stan bardzo ciężki.*

Teraz życie Jana Kowalskiego mierzy się godzinami.

Godzina 12.15 — wystąpiło załamanie świadomości, temperatura podskoczyła do 39,4 °C. Tętno osiągnęło 140 uderzeń na minutę, ciśnienie krwi 160/0.

Godzina 13.00. Trójka lekarzy podejmuje decyzję o podaniu Janowi Kowalskiemu 300 ml masy erytrocytarnej. Upoważnia ich do tego ów artykuł 17 ustawy o zawodzie lekarskim, który dopuszcza ingerencję lekarzy w przypadku, kiedy chory utracił świadomość. Rozpoczyna się ostatni etap walki o życie.

Godzina 14.00 — stan prawie agonalny.

Godzina 16.20 — zatrzymanie czynności oddechowej i serca.

Natychmiast przystąpiono do czynności reanimacyjnych, które nie dały pożądanego skutku.

Godzina 16.35 — zgon Jana Kowalskiego.

4.

Śledząc walkę lekarzy o życie Jana Kowalskiego rodzi się pytanie: czy lekarze nie powinni byli, mimo odmowy chorego, przystąpić do zabiegu operacyjnego i podać mu krew? A więc, czy przebieg leczenia był zgodny ze sztuką lekarską? Bowiem jakbyśmy nie oceniali postawy Jana Kowalskiego, dla człowieka dobrem najwyższym zawsze pozostanie życie. Niestety, postawione powyżej pytanie nie znajduje jednoznacznej odpowiedzi ani w kategoriach prawnych, ani w filozoficzno-moralnych.

Prokuratura Rejonowa zwróciła się przeto do Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi z prośbą o dokonanie ekspertyzy. Otrzymany tekst stanowi ważny i ważki dokument, z którego przytoczę jedynie fragmenty, będące — moim zdaniem — częściową odpowiedzią na rodzące się wątpliwości.

„...pytanie... nie jest pytaniem jednoznacznym. Przez postępowanie „prawidłowe" czy „zgodne ze sztuką lekarską" rozumiemy bowiem postępowanie prawidłowe pod każdym względem, zgodne zarówno z wiedzą medyczną i potrzebami stanu pacjenta, jak też z normami i przepisami odnośnie jego zgody na leczenie. Najczęściej wola pacjenta zgodna jest z przedstawionymi mu przez lekarzy potrzebami jego stanu i wtedy ocena prawidłowości postępowania lekarskiego sprowadza się do tego, czy stan pacjenta został przez lekarzy prawidłowo oceniony, a więc do kwestii czysto medycznych".

W tym konkretnym przypadku tak nie było, bo Jan Kowalski odmówił zgody na zabieg i na transfuzję krwi. A więc powstał *„...problem: co stoi wyżej w hierarchii dóbr: życie i zdrowie pacjenta, czy jego wolność decyzji — któremu z nich należy się pierwszeństwo ochrony? Jest to problem filozoficzno-moralny i jego rozstrzygnięcie leży poza kompetencjami biegłego lekarza"* i dalej czytamy w ekspertyzie: *„rozstrzygnięcia prawne w tym zakresie nie ułatwiają bynajmniej lekarzom podjęcia decyzji. Z jednej strony bowiem zabrania się jakiejkolwiek interwencji medycznej bez — przynajmniej dorozumianej — zgody pacjenta, z drugiej zaś ustawowy przymus leczenia w pewnych sytuacjach wydaje się wskazywać, że mogą jednak istnieć wartości traktowane przez ustawodawcę wyżej niż jednostkowa wolność wyboru pacjenta".*

Najciekawszym bodaj fragmentem jest ten, który dotyczy różnych aspektów śmierci. Oto on:

„Z sytuacją nader zbliżoną do rozpatrywanej sprawy mamy na przykład do czynienia w przypadkach prób samobójczych, gdzie jednak ogólnie przyjęty pogląd nakazuje lekarzowi udzielanie pomocy nawet wbrew wyraźnie wypowiedzianej woli niedoszłego denata. (Co jest moralnie szczególnie wątpliwe, jeśli cierpi on na nieuleczalną chorobę, względnie jeśli ostatecznym celem ma być, dajmy na to, stracenie odratowanego skazańca w pełnym majestacie prawa!). *Jeśli idzie o przypadki nie objęte przymusem leczenia, sytuacja lekarza praktyka mającego podjąć decyzję jest tym trudniejsza, że poglądy wśród samych prawników są podzielone: część uważa, że wola przytomnego pacjenta wyrażona i podtrzymywana do chwili utraty przytomności wiąże lekarza również, kiedy pacjent straci przytomność; część zaś jest zdania, że po utracie przytomności lekarzowi wolno podjąć odmienne postępowanie. Ci pierwsi argumentują, że pacjentowi musi do końca przysługiwać prawo wyboru, np. między kalectwem a śmiercią; ci drudzy — że w ostatniej chwili przytomności pacjent zawsze pragnie zmienić swoją decyzję, lecz niestety już nie jest w stanie tego wyrazić".*

5.

Tak przedstawia się sprawa, która na długi czas zbulwersowała społeczność jednego z miast wojewódzkich i była przedmiotem sporów w środowisku lekarskim i prawniczym. Przypomniałem ją, bo do końca nie jestem przekonany, czy nie należało jednak — mimo wszystko — ratować życia Jana Kowalskiego. A co o tym sądzą nasi Czytelnicy.

■

W sporcie jak w życiu — częściej decydują układy niż interes sportu.

Na szczęście w ŁKS mam co robić

Rozmowa z LESZKIEM JEZIERSKIM – trenerem pierwszej drużyny piłki nożnej ŁKS.

— Dwa tygodnie temu w wywiadzie dla „Odgłosów" powiedział pan: „co do udziału w pracach Komitetu Wykonawczego, to będę w nim tak długo, jak długo nie nabiorę przekonania, że to nie ma sensu, że nic z tego nie wynika, że znów zaczyna się ugniatać kit". Minęły te dwa tygodnie i zrezygnował pan z pracy w Komitecie Wykonawczym PZPN i zrezygnował pan również z pracy przewodniczącego Rady Trenerów, choć funkcję tę pełnił pan niecałe dwa miesiące. Czy należy rozumieć to, że „znów zaczyna się ugniatać kit", czy też może były inne przyczyny? Może poniosła pana ambicja, pogniewał się pan, bo nie został trenerem reprezentacji?

— Nic podobnego. Nie obraziłem się. Zostałem tylko postawiony w takiej sytuacji, w której nie bardzo mógłbym pracować z tymi ludźmi, którzy postąpili tak, jak postąpili. Każdy mój ruch, każdy pogląd mógłby być tłumaczony jako „odgrywanie się". A po co mi to?

— Przyznaje pan jednak, że poniósł porażkę?

— Tak. Jest to moja porażka. Przyznam się, że przyjąłem ją tak spokojnie, że sam się memu spokojowi dziwiłem.

— To skąd decyzja o rezygnacji z pracy w PZPN?

— Decyzja jest stąd, że gdy już było po wszystkim, to pewne działania władz PZPN ułożyły mi się w taką całość, z której można było już wcześniej przewidzieć, że nie będę trenerem kadry. Po pierwsze — decyzja miała zapaść 19 czerwca, a zapadła 26 czerwca. Po drugie — czekano na finał meczu Legii i Jagiellonii w Pucharze Polski. Po trzecie — pod koniec rozegrano to wszystko praktycznie bez udziału Komitetu Wykonawczego PZPN, jako całości.

— Prezes PZPN — Jerzy Domański oświadczył publicznie, że Andrzeja Strejlaua wybrał Komitet Wykonawczy „wyraźnie, choć niejednomyślnie".

— Znam wynik: 5:4. W głosowaniu nie brałem udziału. Nie brał też udziału Marian Dziurowicz. Wyjechał za granicę, ale zostawił na piśmie głos na mnie i to pismo przywiózł do Warszawy szef okręgu katowickiego, członek KW — Edward Puszczewicz. Ale tego głosu nie uwzględniono.

— Głosowanie poprzedziły rozmowy z kandydatami. Słyszałem, że wypadł pan dobrze. Co zatem zadecydowało?

— Jerzy Domański oświadczył publicznie, że obaj kandydaci — bo początkowo było ich więcej — dobrze wypadli, przedstawili interesujące koncepcje. Słusznie pani podejrzewa, że zadecydowało zupełnie coś innego.

Komitet Wykonawczy PZPN spotkał się na posiedzeniu 18 czerwca. Na porządku obrad były dwie sprawy: — wybór selekcjonera był sprawą pierwszą. Już na początku Jerzy Domański oświadczył, że ma listę życzeń. To mi się zaczęło nie podobać, bo — jak wiedziałem — żadna taka lista nie była uzgadniana z Radą Trenerów, Wydziałem Szkolenia i Komitetem Wykonawczym. Prezes Domański zaczął ode mnie. Stwierdził, że prasa, radio i telewizja życzą sobie Leszka Jezierskiego na trenera. Potem szli inni: Zbigniew Boniek, Hubert Kostka, Ryszard Kulesza, Zdzisław Podedworny, Andrzej Strejlau i Władysław Żmuda. Następnie zapytał, czy nikt z nas nie ma swego kandydata, którego chciałby do tej listy dopisać. Wtedy zgłosiłem Janka Tomaszewskiego, co nie spotkało się z aprobatą członków KW PZPN. Jedynie Kazimierz Górski potraktował to poważnie i przypomniał, że Janek Tomaszewski brał udział w konkursie na trenera kadry.

— Czy prezes Domański wyjaśnił, czyje to były życzenia na liście?

— Nie. Zaproponował, aby dwie wyznaczone osoby odbyły rozmowy z kandydatami. Tymi osobami byli: Kazimierz Górski — wiceprezes do spraw kontaktów z zagranicą i Bogdan Zeidler — wiceprezes do spraw szkolenia. Komitet Wykonawczy obie te kandydatury zaakceptował.

W poniedziałek, 19 czerwca komisja ta odbyła ze mną rozmowę, jako z pierwszym z kandydatów. Rozmawiałem osobno z Kazimierzem Górskim i osobno z Bogdanem Zeidlerem. Zaraz po rozmowach wróciłem do Łodzi i byłem przekonany, że obaj moi rozmówcy zreferują wyniki rozmów członkom Komitetu Wykonawczego PZPN.

— Okazało się, że również prezes PZPN — Jerzy Domański chce was przepytać. Miał chyba do tego prawo?

— Nikt mu tego nie odmawia. Dowiedziałem się o tym w piątek, 23 czerwca. 26 czerwca, w niedzielę, miałem być o godzinie 10 w Warszawie, bo z kandydatami będą rozmawiać: Kazimierz Górski, Bogdan Zeidler, Jerzy Domański i szef szkolenia w PZPN Andrzej Zientara. Byłem już prawie pewien, że coś tu się zaczyna kręcić, bo skąd się wzięła nowa, czteroosobowa komisja? Tej komisji Komitet Wykonawczy PZPN nie zatwierdzał, bo gdyby tak było, to ja jako członek KW byłbym o tym wiedział. Utwierdził mnie w tych wątpliwościach Marian Dziurowicz, który też jest członkiem KW PZPN i który również nic o nowej komisji nie wiedział. Zawiadomił mnie tylko, że będzie głosował na mnie, ale wyjeżdża i swój głos zostawia na piśmie.

— Jak przebiegała druga rozmowa?

— Byłem pierwszym przepytywanym. Dowiedziałem się, że z listy siedmiu kandydatów pozostało nas czterech: ja, Andrzej Strejlau, Hubert Kostka i Ryszard Kulesza. Hubert Kostka nie przyjechał do Warszawy i miano się z nim skontaktować telefonicznie. Rozmowa była poważna, choć zdarzały się pytania humorystyczne, jak na przykład, czy za mecze reprezentacji będziemy płacili w złotówkach czy w dolarach? To było pytanie mało ważne, istotne brzmiało inaczej. Zadał mi je Andrzej Zientara. Zapytał: — jak sobie wyobrażam pracę z reprezentacją, skoro mieszkam w Łodzi?

— Antoni Piechniczek i Wojciech Łazarek też nie mieszkali w Warszawie. Co pan odpowiedział?

— Odpowiedziałem, że dla mnie to żaden problem. Z Łodzi do Warszawy jedzie się pociągiem 1 godzinę i 40 minut, mniej więcej tyle samo, co z Ursynowa do centrum Warszawy. Jeśli natomiast zajdzie potrzeba, to mogę zostać w Warszawie i skorzystać z tymczasowego lokum, jak to robił choćby Wojciech Łazarek.

Rozmowa trwała godzinę, nie skorzystałem z propozycji, aby do poniedziałku zostać w Warszawie i wróciłem do Łodzi.

— A w poniedziałek, 26 czerwca znów pojechał pan do Warszawy na obrady Komitetu Wykonawczego PZPN.

— Pojechałem. Było już nas tylko dwóch kandydatów: ja i Andrzej Strejlau. Kiedy więc zaczęto dyskutować o trenerze powiedziałem, że nie chcę krępować swoją obecnością KW i wyszedłem.

— Pozbawił się pan jednego głosu na siebie.

— Nie mogłem postawić się w dwuznacznej sytuacji.

W gmachu PZPN byli już dziennikarze, bo na godzinę 13 zapowiedziano konferencję prasową. Niektórzy zaczęli mi gratulować, ale ostudziłem ich w tym zapale, powiedziałem, żeby się nie spieszyli. Dyskusja trwała około godzinę. Można było się domyślać, że jest ostra. I miałem już pewność, że to nie o mnie chodzi. Na 5 minut przed 13 zaproszono mnie na salę i moje domysły okazały się prawdziwe. Na konferencję prasową już nie poszedłem.

— Czy ktoś wyjaśnił panu, co zadecydowało o pana przegranej?

— Tak. Prezes Jerzy Domański wyjaśnił mi, że był wielki dylemat, bo obaj mamy dobry warsztat trenerski, obaj przedstawiliśmy ciekawe koncepcje, ale zadecydował młodszy wiek Andrzeja Strejlaua i to, że na stałe mieszka w Warszawie.

— Powrócił więc pan do Łodzi.

— I napisałem dwa pisma. Pierwsze z rezygnacją z pracy w Komitecie Wykonawczym PZPN. Drugie z rezygnacją z przewodniczenia Radzie Trenerów.

— Trenerzy mogą mieć o to do pana pretensje.

— Takie wątpliwości miała też moja żona. Motywy mojego postępowania są następujące: nie mógłbym przecież działać tak jak do tej pory, bo moje postępowanie mogłoby być fałszywie tłumaczone, że się „odgrywam". Chciałbym tego uniknąć. Innego sposobu jak rezygnacja nie było.

— Mówiono, że Andrzej Strejlau miał być mianowany menedżerem w zawodowym zespole Legii. To znaczy, że nie mógłby w klubie zawodowym pełnić roli trenera?

— *Mnie też doszły takie słuchy.* Ale tylko słuchy.

— 21 czerwca w „Trybunie Ludu" ukazał się wywiad z prezesem PZPN — Jerzym Domańskim. Prezes nie krył, że to pan w imieniu Rady Trenerów zablokował wyjazd drużyny PZPN do USA, a on miał w tej sprawie raczej inne zdanie. Nie sądzi pan, że tym sobie mógł pan zaszkodzić, może ktoś się chciał zabrać do USA z reprezentacją?

— Występowałem w imieniu Rady Trenerów. Przeprowadziłem konsultacje z wieloma trenerami. Kilka razy mówiłem, co sądzę o szkoleniowej wartości takich wyjazdów. Mówiłem o tym również w ostatnim wywiadzie dla „Odgłosów". A poza tym o wyjeździe do USA decydował Komitet Wykonawczy PZPN.

— W „Piłce Nożnej" 20 czerwca ukazał się artykuł Pawła Zarzecznego pt. „Kto tu rządzi?", w którym autor charakteryzował członków KW PZPN. Przypominam, że ten artykuł ukazał się przed wyborami trenera. Paweł Zarzeczny tak pisał o panu: „We władzach w sumie przypadkowo, dzięki rezygnacji Ryszarda Kuleszy z przewodzenia Radzie Trenerów". Fakty są inne. Wybrano pana do Rady Trenerów jednomyślnie, a na Walnym Zjeździe Delegatów PZPN wybrano pana do władz 154 głosami na 160 głosujących. Miał pan tych głosów najwięcej.

— Zjazd wybrał mnie do Zarządu PZPN, do jedenastoosobowego Komitetu Wykonawczego powołał mnie prezes Jerzy Domański.

— Czy to znaczy, że do KW nie weszli ludzie, którzy w wyborach do władz PZPN otrzymali największą liczbę głosów?

— Też uważam, że do Komitetu Wykonawczego powinni byli wejść ci delegaci, którzy otrzymali największą liczbę głosów. Ale wtedy skład KW PZPN byłby trochę inny od tego, jaki jest teraz.

— Słyszałam, że w głosowaniu Kazimierz Górski zajął miejsce w drugiej dziesiątce. A o Zygmuncie Lenkiewiczu tenże Paweł Zarzeczny napisał, że „awansował z Wydziału Młodzieżowego do Komitetu prawdopodobnie z woli prezesa związku". Być może i tu zdecydował fakt, że obaj panowie mieszkają w Warszawie, gdzie znajduje się wszak siedziba PZPN.

— Długo można byłoby mówić o różnych sprawach. W piłce nożnej — jak w każdej dziedzinie życia — decydują różne układy personalne. Często przeważa dobro jednostki nad dobrem sportu. Nigdy tego nie kryłem. Proszę więc nie kojarzyć tego poglądu z moją porażką. Jest to moja i tylko moja porażka. Jest ona wyłącznie moją sprawą.

— Czy nie sądzi pan, że sobie na nią zapracował? Nigdy nie grzeszył pan nadmiarem dyplomacji. Rąbał pan ludziom prawdę prosto w oczy, a ludzie tego bardzo nie lubią.

— To już mi powiedziano. Ale należę do ludzi, którzy jeśli chcą wygrać, to muszą być przekonani, że wygrali tylko dlatego, że byli tego warci, że na to zasługują. Teraz wyleczyłem się z walki o wielkie sprawy, będę się przypatrywał, nie będę krytykował, nie będę zabierał głosu. Mam na razie co robić w ŁKS.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

■

W ciągu 10 lat od wyjazdu z Polski, w Nowym Jorku zrobił karierę — teraz wystawia w Łodzi.

Populacja Czesława Czaplińskiego

W jakim celu fotografują się ludzie? Popatrzmy na te rodziny podczas pikniku, roześmiane, ruchliwe, biegające za kolorową piłką, pochłaniające hamburgery i piwo, przyjrzyjmy się tej kwintesencji bezmyślnego, fizycznego życia, które nagle, jakby powiał zimny wiatr śmierci, zastyga przed okiem kamery, sztywnieje — oto gromadka nieboszczyków, pochowanych pionowo w pełnym słońcu, nawet oczu nikt im nie zdążył zamknąć. Oddychają, rzecz jasna, ale nawet oddech wstrzymują, kiedy spocony palec domowego kronikarza ma opaść brutalnie na spust migawki.

A przecież fotografują się w określonym, oczywistym celu — żeby uniknąć zapomnienia, żeby umknąć nicości. Stają na baczność w tym życiu, gotowi na przyjęcie osądu wieczności. **„To jest moja matka"**, powie staruszek za sześćdziesiąt lat, **„a to mój ojciec, a to ja". „To ty? nie żartuj! Ale świetnie wyszedłeś! Taki byłeś młody..."** I to właśnie jest sens tego, co setki milionów ludzi uprawiają podczas słonecznych dni. Trzeba umieć wchodzić na drzewa, jak Cartier-Bresson, żeby ocalać ich od śmierci w inny sposób, wbrew ich pospolitemu rozumieniu piękna, estetyki i prawdy. Trzeba wystrzelać im cały magazyn w plecy, w brzuchy i w łysiny, znienacka, kiedy nawet się nie domyślają, że ktoś ich obserwuje — wtedy dopiero, ze stu klatek ocali się jedna, na której życie sprzed stu lat będzie tak samo realne, jak dzisiaj.

Czesław Czapliński podchodzi bliżej do człowieka, ale dopiero wtedy, kiedy z jakiegoś swojego niewidzialnego drzewa naprzygląda się obiektowi do woli. Zeskakuje z drzewa wiedząc dokładnie, co się da z człowieka wyciągnąć, co trzeba wyciągnąć nawet wbrew jego woli. Fotografia ma to do siebie, że potrafi zmusić człowieka, jak doskonały sędzia śledczy, do przyznania się wbrew zamierzeniom. Przyznanie się — ale do czego? Każdy z nas chowa w sobie coś, do czego nie chciałby się przyznać. Coś, o czym może nawet sam nie wie, a to coś jest właśnie motorem jego działania, napędem jego życia. Aparat fotograficzny psychoanalitykiem? Owszem, ale tylko wtedy, kiedy za skomplikowaną konstrukcją precyzyjnie szlifowanych szkieł stoi człowiek, potrafiący posługiwać się ciemną tuleją obiektywu jak echosondą.

Czesław Czapliński potrafi do dna człowieka zmierzyć jego głębię. Podejmuje się zresztą zadania niesłychanie trudnego: fotografuje ludzi, o których wiadomo, że są głębocy, ludzi, z który każdy od wielu lat, a nieraz i od wielu dziesiątków lat, jest fotografowany przez zawodowców różnej rangi, niekiedy przez zawodowców, którzy mogą nosić miano artysty. Czapliński miał do pokonania największą przeszkodę, nim przystąpił do swego zadania: musiał pokonać siebie, swoją słabość, niewiarę we własne siły. Ileż bowiem razy fotografowana była Jane Fonda? Ile razy reprodukowano w milionach egzemplarzy znakomite fotosy Jessye Norman, Waltera Cronkite'a czy Petera Jenningsa? Pośród ludzi, których fotografuje Czesław Czapliński, są tacy, których zdjęcia widziałem na okładce magazynu „Time" już dwadzieścia lat temu, a trzeba wiedzieć, że „Time" ma nakład pięciomilionowy, przy czym okładkę bez wątpienia widzi sto milionów ludzi. I oto Czesław Czapliński wkracza w te zastrzeżone dla najlepszych rewiry, fotografuje te same twarze, nie zastanawiając się nad tym, czy poniesie klęskę. A ponieść klęskę zawodową, kiedy się jest fotografikiem, mieszkającym w Nowym Jorku, to znaczy ponieść bardzo dużą klęskę.

W Nowym Jorku żyje i działa aktywnie — bardzo aktywnie — ponad dziesięć tysięcy zawodowych fotografików, a Czesław Czapliński zajął się fotografowaniem najbardziej sławnych, najbardziej poruszających opinię publiczną osobistości. Zrobił sobie z tego profesję — na pewien czas przynajmniej, zanim jego zainteresowania nie zwrócą się ku innym dziedzinom sztuki fotograficznej — i w sposób niesłychanie naturalny, wydawałoby się: łatwy, osiągnął sukces. Tak to jest właśnie z sukcesami — kiedy się je osiągnie, wydają się łatwe. Nic bardziej mylącego.

Czesław Czapliński w każdy ze swoich portretów wkłada ogromny ładunek psychicznego napięcia, własnej przenikliwości. Nie trzeba mówić ile frustracji przysparza samo ustawienie sławnej osoby na sesję zdjęciową, nie jest to łatwe, pamiętajmy, że większość z tych ludzi ma kalendarz zamknięty na wiele lat naprzód, co do minuty. Ich czas jest drogi, bardzo drogi — czas znanej aktorki to tysiące dolarów podczas jednej godziny. Tyle też wart jest jej wypoczynek — i właśnie ten wypoczynek zamienia Czapliński tym ludziom w seans uciążliwej pracy.

Nie wiem, jak on to robi z innymi — ale kiedy fotografował mnie, obserwowałem go tak uważnie, jak on obserwował moje poruszenia i zmiany wyrazu twarzy. Wiem, że był tam ze mną, ale wiem też, że wcale go tam nie było. Pozornie przez cały czas rozmawialiśmy — ale jego pytania czy odpowiedzi dochodziły jak gdyby gdzieś spoza naszej sytuacji, jak z nagranej taśmy. Czapliński prawdopodobnie ukrył się na te dwie godziny we wnętrzu swojego aparatu i tam odprawiał swoje czary.

Uważam, że zrobił mi serię najlepszych zdjęć, jakie zdarzyło mi się mieć w życiu. Ciekawe, że bardzo wielu słynnych ludzi w Stanach „podaje" Czesława Czaplińskiego swoim przyjaciołom, równie sławnym i trudnym do uchwycenia — tak bardzo trafiają im do przekonania interpretacje tego fotografika. Ktoś mógłby wysnuć przypuszczenie, że efekt końcowy wysiłków Czaplińskiego schlebia modelom, pogłębia ich, wypięknia. Nic bardziej błędnego! Czesław Czapliński robi karierę dlatego właśnie, że jest sobą, i że wcale tego nie kryje. Zdarza się, że powodowany zainteresowaniem odbywa sesję z obiektem, ale w pewnym momencie zdaje sobie sprawę, że ten człowiek jest mu obcy, że nie da się go polubić... I wtedy widać to wyraźnie na zdjęciu! Na wystawie Czesława Czaplińskiego widziałem wiele zdjęć znanych ludzi, które nie budziły wątpliwości co do stosunku artysty do obiektu. A mimo to „poszkodowani" nie zgłaszali pretensji. Dlaczego? Dlatego, że nawet w swoim bezlitosnym, zimnym spojrzeniu na twarz nie lubianego człowieka Czesław Czapliński ani na chwilę nie odchodzi od prawdy. Nie zniża się do złośliwości, o którą tak łatwo, kiedy się sprawnie operuje kamerą — wręcz przeciwnie, jest to co najwyżej wymierzanie sprawiedliwości — z taktem, umiarem, dla prawdy.

Czesław Czapliński dokonał rzeczy bardzo trudnej: w ciągu dziesięciu lat od chwili wyjazdu z Polski, zrobił karierę w Nowym Jorku w jednym z najtrudniejszych zawodów, obłożonych nieprawdopodobną konkurencją na amerykańskim rynku. Zrobił karierę jako portrecista ludzi bardzo sławnych, znanych we wszystkich zakątkach globu, idoli, bogaczy, polityków. Fotografuje też polskich pisarzy, amerykańskich kardynałów, malarzy, aktorów i rzeźbiarzy. Czy ocala ich od zapomnienia? Kto wie, kto wie. Sława przemija, popularność umiera — zdjęcie pozostaje. Za sto lat, kiedy nikt już nie będzie wiedział, kto to był niejaki Trump (bogaty handlarz nieruchomościami, jeden z najbogatszych ludzi Ameryki), czy Zbigniew Brzeziński (politolog), czy nawet niejaki Andrzej Brycht; to wtedy zdjęcia Czesława Czaplińskiego mogą powiedzieć o tych ludziach wiele prawdy. Tak, to jest ocalanie od śmierci, ale trzeba wiedzieć, jak to robić. Czesław Czapliński wie.

ANDRZEJ BRYCHT

Witold Dederko

Nina Andrycz

Wanda Wiłkomirska

Teresa Wojtaszek-Kubiak

John Król

MIKOŁAJ KONCZALSKI

Ojcu

(w 40 rocznicę zapamiętania)

Ojcze mój
Któryś jest
W mojej pamięci
Wrzesień
W wojskowych butach
Maszeruje
W stronę serca
Słychać śpiew
I rżenie koni
Coraz dalej
Po śladach
Ciebie szukać
Jesień przeciąga
Ciężkie wozy pamięci
Jak karabinowy strzał
Przymrozek kaleczy stopy
A kwiatom głowy ukręca wiatr
Ale ty przyjdź
Po mego serca
Czerwoną grudę
I w tej pamięci
Wiecznie trwaj

(I nagroda w konkursie RSTK „Debiuty '89")

Ściany lęku

„Rozboleje mnie głowa. Kto komu umiera? Chwaliłem medycynę i trzy fiolki w szklance. Opowiadałem o słońcu i gasłem. (...) Szpitalna woń przyprawia mnie o mdłości". Rozpoczynam tę krótką recenzję fragmentem wiersza **Wisławy Szymborskiej „Relacja ze szpitala"** nie bez powodu. Cudze cierpienie możemy odczuć jedynie częściowo, niejednokrotnie w konwencjonalnym geście współczucia, najczęściej bezradni i zakłopotani, ale też z ukrywanym na ogół poczuciem ulgi, że nie nas ono dotknęło. Ale w jaki sposób przekazać cierpienie swoje, skargę z drogi „własnego krzyża" i czyż po lekcji „wstydliwości uczuć" nie znaleźliśmy się w sytuacji, iż wstydzimy się konfesyjnych aktów pozostając z bólem i lękiem w samotności, bowiem te doznania egzystencjalne oddzielają nas od gromady. Co prawda mądra Susan Sontag dowodzi w szkicu **„Choroba jako metafora"**, że możemy te sytuacje „obiaskawiać", że czyni to kultura bądź konwencja literacka wpisująca „chorobę" w literacki paradygmat („modne" choroby i literackie „mody" na chorobę). **„Ostry dyżur ciszy" Hanny Kacewicz-Sygidus** z tych możliwości wszakże nie korzysta. Choroba nie jest piękną metaforą, a cierpienie w swej prywatności doznaniem nie do przekazania. Zanurzone w ciszy, wyrastające wśród bieli szpitalnych sal takie doświadczenia przetransponowane są w dyskretne, powściągliwe „białe" zapisy. Przy spójności i krystaliczności obrazowania sama sytuacja — paradoksalnie — jest celowo niedookreślona: „chorobą" jest arytmia serca i „chorobą" jest przeglądanie (wyczekiwanych kiedyś długo) listów i nieobecność bliskiej osoby. Właściwie należałoby tę najdotkliwszą chorobę określić jako poczucie samotności i jedynym lekarstwem na nią jest zdystansowanie się wobec niej, trochę ironii, ale też czułości (wiersze dla syna). Można jeszcze przeglądać stare fotografie, można melancholijnie wspominać ten „świat zatrzymany", oswajać swoje demony. Zanurzeni w Heraklitowej rzece istniejemy przez chwilę. Istniejemy jako Osoba i jako niezbywalny element wspólnoty ludzkiej. „Dopóki jestem, płynę akordem krwi w tętno świata" — tak kończy poetka jeden z wierszy. Zwykło się przy utworach poetyckich mówić o aseryjności (szczerości) przekazu. Te mądre, piękne wiersze są nie tylko „szczere", ale i prawdziwe.

HENRYK PUSTKOWSKI

Hanna Kacewicz-Sygidus: „Ostry dyżur ciszy", WŁ Łódź 1987 ss 80 cena 100 zł.

„KLUB LAUREATÓW"

Antoni Szram proponuje

Panuje powszechny pogląd, że w dzisiejszych czasach najmniej szanuje się ludzi — ich wysiłek, ambicje, intelektualne możliwości, a nawet talenty. Wystarczy prześledzić losy laureatów wielu konkursów, nawet najbardziej prestiżowych, z dziedziny sztuki, kultury, aby ten pogląd znalazł potwierdzenie. Można to odnieść również do życia społecznego, zawodowego.

Przed rokiem np. w szranki wyborcze stanęło sporo bardzo aktywnych i godnych szacunku osób. Nie wszyscy zdobyli mandaty, lecz nie znaczy to, że mogą być mniej przydatni miastu, dzielnicy, gminie aniżeli ci, którzy zasiedli w radach, przydatni ze swoimi interesującymi nierzadko programami, podobnie jak kandydaci z ostatnich wyborów do Sejmu i Senatu. Nie zauważamy też organizatorów życia kulturalnego, którzy swój talent wykazali jakimś znaczącym wydarzeniem, po którym nikt już nie odwoływał się do ich pomysłowości i zaradności.

I oto w tym narastającym stanie zobojętnienia pojawiła się bardzo interesująca inicjatywa, z którą wyszedł — jak zwykle pełen werwy i pomysłowości — Antoni Szram, laureat Nagrody Miasta Łodzi, a wcześniej nagrody „Odgłosów".

— Uważam, że powinien powstać w naszym mieście „Klub Laureatów". Proszę pana, mamy liczne grono laureatów Nagrody Miasta Łodzi. Otrzymywali je ludzie za jakiś znaczący i konkretny dorobek — naukowy, artystyczny, kulturalny itd. Otrzymali nagrodę za coś znaczącego, skoro ich zauważono wśród tysięcy mieszkańców miasta i regionu. Nagrodzono, gdyż w tym, co robią byli widać najlepsi. Zauważono, nagrodzono i... na tym koniec? A przecież wielu nadal pracuje w swojej specjalności, nadal funkcjonuje, a skoro tak — to mogą również pracować na pożytek miasta, mogą być bardziej użyteczni. Wśród laureatów są wybitni naukowcy, wybitni twórcy, artyści, ludzie kultury, sztuki, którzy mogą być doskonałymi doradcami — władz miasta, rad narodowych. Trzeba tylko ten potencjał umiejętnie spożytkować, wykorzystać.

Jak sobie wyobrażam funkcjonowanie takiego klubu? Tu nie chodzi o jeszcze jedną instytucję, jeszcze jedną siedzibę, pokój. Takim miejscem z powodzeniem mogłoby być np. Muzeum Historii Miasta Łodzi, w którym ci ludzie spotykaliby się — nie wiem: raz na miesiąc, na kwartał, a może w zależności od potrzeby? — w związku z, powiedzmy, jakimś kompleksem spraw kultury, nauki, jakimś jednym tematem, inicjatywą, funkcjonowaniem bądź udoskonaleniem jakiejś instytucji, jakiegoś ogniwa. Spotykaliby się bezinteresownie i rozważyli problem, bądź temat, którego są wybitnymi znawcami. Rzecz w tym, aby liczno się z ich opinią. Muzeum Historii Miasta jest najbardziej nadającym się do tych celów miejscem, winno być czymś w rodzaju centrum intelektualnego miasta — po to było organizowane, aby żyło tym, czym żyje miasto i jego mieszkańcy... Tak jak krakowska „Kuźnica"...

Owszem, są w mieście najrozmaitsze kluby — „Realizm", „Postęp", „Jawność" i co? Mnie się marzy taka insurekcja laureatów miasta Łodzi. Wiem, że są chętni do działania w takim klubie. I to ludzie wybitni, znaczący. Każdy z nich inaczej funkcjonuje w swoim środowisku, a inaczej mógłby się znaleźć w klubie, w towarzystwie innych laureatów — specjalistów.

Dzisiaj idzie przecież o rewolucję świadomości, o rewolucję umysłową, bo ta tylko zostawia w ludziach ślad. Rewolucje polityczne są odwracalne — w lewo, w prawo, a rewolucja umysłowa zostaje w świadomości... To prawda, że nie mamy klubowych tradycji, choć tradycje nagrody sięgają kilkudziesięciu lat — że przypomnę Tuwima, Strzemińskiego. Ale skoro dziś mamy do czynienia z inną formułą i nagrodę otrzymał np. pan Sosnowski, to laureata, jako kogoś najlepszego w jego specjalności — albo raczej jego wiedzę i umiejętności — winno się właściwie wykorzystać, na rzecz miasta. Dlaczego ten akt ma się sprowadzać tylko do wręczenia nagrody? I na tym koniec? Przecież ten człowiek nadal jest najlepszy. Niech więc dzieli się swoją wiedzą, umiejętnościami...

Kiedyś z Andrzejem Makowieckim podjęliśmy sprawę łódzkich cmentarzy, aby ratować to, co było do uratowania. Oczywiście, nic z tego nie wyszło bo wtedy było to nie do pomyślenia. A jednak w niedługi czas podobną inicjatywę podjęła Warszawa, Jerzy Waldorff i — proszę popatrzeć na rezultaty! Czy zawsze musimy robić to, co robią inni — zawsze być drugimi, trzecimi? W Muzeum Historii Miasta organizowałem dawniej taką imprezę, którą nazwalibyśmy „Magiel". Był to rok 1980. Na jednym balkonie w rogu siedział Słowik z grupą „Solidarności", w drugim Czechowicz z grupą członków partii i... wszyscy się świetnie bawili. Rzecz w tym, aby robić coś, co jest potrzebne i pożyteczne, dla miasta, dla ludzi. Spożytkujmy wiedzę, umiejętności, pomysły, i, jeszcze! dobre chęci ludzi, którzy chcą robić coś pożytecznego...

Kto podejmie inicjatywę Antoniego Szrama?

MARIAN ZDROJEWSKI

Sesja w Łasku

W tym roku Łask będzie obchodzić trzydziestolecie powstania, pierwszej w historii miasta, grupy poetyckiej **„Grabia '59"**. Dziś ów odległy fakt stał się legendą, choć jeszcze żyją jego uczestnicy — założyciele.

Preludium do uroczystości jubileuszowych stała się sesja literacka zorganizowana w Liceum Ogólnokształcącym. Inspiratorem, a także promotorem, była **Jadwiga Kowalińska**, prowadząca bibliotekę licealną, natomiast referaty, opracowanie muzyczne, wystawę publikacji poświęconych „Grabi 59" oraz kiermasz wydawnictw o tej grupie literackiej i prezentację książek „Grabian" — przygotowały samodzielnie uczennice.

Podczas sesji wygłoszono następujące referaty: **Krystyna Płuciennik — „Wielobarwne spektrum tekstów Jana Janiszewskiego" i „Jan B. Fabisiak — publicysta ' emi Łaskiej", Joanna Sychniak — „Rafał Orlewski — nie zapominam...", Alina Pacholec — „Kazimierz Świegocki — twórca poezji o ambicjach metafizycznych", Wioletta Nowacka — „Eugeniusz Iwanicki — zwierciadło rzeczywistości".** Wprowadzenia i podsumowania sesji dokonała **Edyta Ignaczak.** Bardzo ciekawie, łącząc wszystkie wystąpienia w całość, prowadziła tę nietypową przecież sesję **Irena Kowalczyk.**

Tak więc, zanim władze administracyjne Łasku przygotują uroczyste obchody, uczniowie LO już rozpoczęli rok jubileuszowy. A że to uczynili sami, bez dotacji i bez akademickiego zadęcia, wspomniane przedsięwzięcie posiada wartość wykraczającą poza mury szkoły.

BERNARD KOWALSKI

PESTKI DYNI

„Mała Wiera" — radziecka aktorka **Natalia Niegoda**, która w ramach (czy za zgodą?) pieriestrojki i głasnosti biega goła po ekranach świata — pokazana w PLAYBOYU. Nie bardzo, co prawda, rozebrana — ale za to czyta „LITIERATURNUJU GAZIETU". Jedni wołają — Koniec świata komunistów! Inni — Poczekajcie, świństwa dopiero się zaczną!

W ubiegłym roku drukowana była w „AURORZE" powieść **Władimira Kunina „Interdiewoczki"**. Ta historia dewizowych dziwek z moskiewskiego hotelu „Inturist", wywołała falę aprobaty i bałwany protestu. Same zainteresowane „putany" pisały do redakcji i autora, że owszem, wszystko co opisane w książce — jest prawdą; wszystko jak w życiu. W jakiejś szkole pewna młoda nauczycielka odłożyła na bok Tołstoja i czytała z całą klasą Kunina, dyskutując problem... Ale były też wyrazy najgłębszego oburzenia z wciąż powtarzającym się pytaniem głupców: — K o m u i c z e m u to ujawnianie prawdy służy?!

Nowa, potężna moda — w całym Związku Radzieckim wybiera się Misski piękności. Jest Miss Moskwy, Leningradu, Rygi, Łotwy i Litwy, Miss Kubania, Miss Porohów Dnieprzańskich, Miss Czarnoziemu Ukraińskiego, Miss Bulwarów Odessy, Miss Bajkału, Miss Tajgi... Planuje się, w niedalekiej przyszłości, wybory Miss Tundry, Miss Koła Podbiegunowego i Miss Cieśniny Beringa. Wybory tej ostatniej będą imprezą międzynarodową — mają przyjechać delegatki Eskimosek z Alaski Póki co, wszystkie kandydatki na Misski, jak głosi cicha plotka, trenują pilnie w „szkole przetrwania" Jacka Pałkiewicza, bo bieganie w kostiumie kąpielowym po śniegu przy 50—60 stopniach Celsjusza poniżej zera, nie jest łatwe... A jak jeszcze dmucha...!

No i dobrze. Ludzie z przyjemnością patrzą na rewię wdzięku i piękna — piękna, jak wiadomo, nigdy dość. Ale oglądając te wspaniale zbudowane ciała — także męskie, bo odbywają się przecież konkursy piękności i dla nich — nasuwa się refleksja o człowieku w ogóle. Niejedna.

Jest taki ktoś, który od 25 lat powinien już nie żyć. A żyje i tworzy Myśli w swej niepojętej samotni i tworzy — być może największą teorię od czasów Izaaka Newtona... Stephen Hawking, brytyjski fizyk i kosmolog. W wieku 20 lat, jako student Oxfordu, zachorował na nieuleczalny zanik mięśni prowadzący niechybnie do śmierci.

„Mimo tej strasznej prognozy, w ciągu następnych 25 lat, niemy myśliciel na wózku wyróżnił się nadzwyczajnymi osiągnięciami życiowymi. Pionierskimi ideami wskazywał coraz to nowe etapy badań na drodze do nowej „formuły świata". Zyskał miano „króla czterowymiarowej przestrzeni".

Ci, którzy oglądają „Bliżej Świata", mogli go zobaczyć w niedzielę, 25 czerwca; zresztą i wcześniej pisały o nim gazety.

O cóż idzie temu geniuszowi, który zabrał się do „czytania myśli Boga"? W ogromnym skrócie: — Chce on odpowiedzieć, czy prawa przyrody istniały także przed narodzeniem wszechświata? Czy wszechświat dalej będzie, tak jak do tej pory, nieustannie rozszerzał się, czy też kiedyś znowu skurczy się do nieskończenie zagęszczonej bryłki materii? Czy w dniu śmierci kosmosu zaniknie także raz na zawsze strumień czasu?

I tak na jednym biegunie Piękno, a na drugim — Geniusz w powłoce schorowanej doszczętnie i pokracznej. To musi budzić refleksję.

Jacy będziemy za tysiąc, dwa tysiące lat? Autorzy literatury SF podnosili nieraz tę kwestię...

ANDRZEJ GRUN

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

POTRZEBNA DOZA SNOBIZMU

— Czy nie obawiam się posądzenia o snobizm? — mówi **Krzysztof Penderecki.** — Pewna doza snobizmu wydaje mi się niezbędna, w końcu muzyka zwłaszcza współczesna nie musi być dla wszystkich. Gdybym chciał przypodobać się ogółowi, to pisałbym piosenki... **„Polskie Requiem"** zamknęło etap wielkich oratoriów w moim dorobku. Najbliższe lata pragnę poświęcić przede wszystkim operze. Może wreszcie napiszę **„Króla Ubu"**, którego mam w planach od 20 lat, mam gotowe libretto do **„Austerii"** wg powieści **Juliana Stryjkowskiego**, jako kontynuacja **„Diabłów z Loudun"** pomyślana jest **„Matka Joanna od Aniołów"**... Za największego współczesnego żyjącego kompozytora uważam **Oliviera Messiaena**... Najbardziej cenię publiczność w RFN (tam nawet portier w hotelu ze znawstwem dyskutuje o muzyce), Austrii i ZSRR. W Związku Radzieckim panuje niemal kult ludzi sztuki, cieszących się tam nadzwyczajnym prestiżem. Niestety, my możemy tylko pozazdrościć radzieckim kolegom, bowiem w Polsce artysta jest w powszechnym odczuciu kimś prawie podejrzanym, kto może trochę więcej zarabia, a — nie daj Boże — ma lepszy samochód... Liczne zobowiązania zawodowe kolidują z moimi upodobaniami do domatorstwa: 10 miesięcy w roku spędzam poza domem. Ale mam jedną nienaruszalną zasadę: w porze kwitnienia magnolii i rododendronów oraz sadzenia drzew nigdy nie opuszczam Lusławic. Pragnę pozostawić po sobie coś trwałego w postaci tamtejszego parku, myślę też o wybudowaniu sali koncertowej, tak, aby mój dom stał się centrum życia muzycznego...

NA WŁASNY KOSZT

Od bieżącego roku wszyscy obywatele ZSRR mają prawo wydawania swoich książek na koszt własny, oczywiście, ci którzy wierzą w czytelniczy sukces swego utworu. Decyzja ta ma na celu odciążenie wydawnictw państwowych, nie będących w stanie zrealizować wszystkich zamówień na druk książek.

Jak informuje Państwowy Komitet ds. Wydawnictw dotychczas zgłosiło się z prośbą o zgodę na wydanie książek na swój koszt kilkadziesiąt osób, mieszkających w różnych rejonach kraju. Idea publikowania książek na koszt ich autorów narodziła się już dawno. Propozycje takie wysuwali pisarze zwłaszcza młodzi, naukowcy, różni specjaliści. Obecnie zezwala się na wydawanie książek wszystkich gatunków literackich, pod warunkiem, że nie podważają one podstaw ustroju socjalistycznego, nie są sprzeczne z ideologią i polityką partii oraz państwa radzieckiego, nie propagują wojen, przemocy, nietolerancji rasowej...

KSIĄŻKA TABU

Ze wszystkich tabu, dotyczących literatury zagranicznej, najbardziej rygorystyczne zakazy odnosiły się do powieści **George'a Orwella „1984"**, której druk zamierza rozpocząć wkrótce **„Nowyj Mir"**, a **„Litieraturnaja Gazieta"** opublikowała obszerny fragment tego utworu, poprzedzając go komentarzem redakcyjnym. — Konfiskowali ją celnicy — czytamy w komentarzu — a jeśli jakieś egzemplarze trafiały do bibliotek, tych największych, to dostęp do nich był praktycznie niemożliwy. Przypomnijmy, że książka ukazała się w 1949 r. i już na pierwszych jej stronicach pojawiał się wizerunek „człowieka z wąsami", o przenikliwym spojrzeniu. Niezamierzona przez autora aluzja przesądziła o losie dzieła.

Od ok. piętnastu lat można było powoływać się na Orwella, dyskutować o nim, ale w dalszym ciągu jako o „piewcy zimnej wojny". Kilkakrotne próby wydania książki spełzły na niczym. A przecież im wcześniej by ją wydano, tym szybciej wszyscy by się przekonali, że Orwell nie zamierzał rozniecać waśni politycznych ani szkalować socjalizmu, o co głównie go u nas obwiniano.

Orwell walczył z faszyzmem w Hiszpanii. Kiedy już nie mógł walczyć wręcz, przystąpił do walki słowem i piórem. Tak właśnie powstał zamysł powieści, będącej ostrą satyrą na władzę totalitarną, potępieniem antyhumanitaryzmu...

„Marica" czy „Tassilo"?

Przed 9 laty „Hrabinę Maricę" Emmericha Kalmana wystawił Teatr Muzyczny w reżyserii **Antoniego Majaka.** Tamtej inscenizacji nie oglądałem i na opracowane reżysersko przez **Włodzimierza Traczewskiego** wznowienie szedłem jak na „zwykłą" premierę.

Szedłem nie bez zaciekawienia, bowiem operetkę tę, reprezentującą postklasyczny nurt wiedeński, łączącą w harmonijną całość melodyjne walce z ognistymi motywami czardaszy, uważa się za pozycję atrakcyjną. **Witold Filler** na przykład w jednej ze swych książek zachwala nie tylko muzykę dziełka, ale również „zgrabne libretto wysławiające triumf prawdziwej miłości nad potęgą pieniądza". Mógłby nawet ktoś powiedzieć, że mamy tu do czynienia z rozrywką o swoistych, ukrytych walorach „katarktycznych", szczególnie w czasach, gdy z konieczności tak dużo i tak często mówi się u nas o pieniądzach.

Po zdecydowanie nieudanej, poprzedniej premierze na łódzkiej scenie operetkowej (musical **„Miss Natura"**), ta nowa propozycja repertuarowa sprawia, faktycznie, korzystne wrażenie. Sporo jest ładnego śpiewu, trochę dobrego tańca i okazji do uśmiechu. Lecz, niestety, pojawiają się także minusy. Otóż gdy reżyserię — jak w tym właśnie wypadku — obejmuje profesjonalny choreograf, spodziewać się należy chyba przede wszystkim interesującego zawsze ruchu scenicznego. A tak nie jest. Zbyt wiele sytuacji potraktowanych zostało statycznie, szczególnie, jeśli idzie o chór. Np na początku aktu II chórzystki przez moment tylko włączają się z wdziękiem do pląsów, jednak potem już przez długie sekwencje stoją nieruchomo niczym posągi.

Ożywia akcję balet. Rozpoczynający spektakl czardasz ukazuje w pełni urodę i temperament tancerek, wśród których główne zadania spełnia solistka **Anna Krzyżanowska.** Atoli podczas tańca samych panów (również akt I) efekt jest mizerny. Jakby odwrotnie proporcjonalny do... wyglądu niektórych, nie przestrzegających zapewne diety, tancerzy. W operetkowym zespole baletowym dostrzegam pęknięcie. Męska część odstaje, rażąc często ociężałością i brakiem precyzji.

Wspominając polską prapremierę „Hrabiny Maricy" w Warszawie w r. 1924, **Ludwik Sempoliński** napisał w **„Wielkich artystach małych scen"**, że rola rządcy Tassila w wykonaniu **Reda** zdecydowanie przyćmiewała inne, w związku z czym tytuł operetki winien brzmieć nie „Marica", lecz „Tassilo". Odtwarzający tę postać w Łodzi **Krzysztof Bednarek** również wybił się wyraźnie na plan pierwszy, przynajmniej pod względem wokalnym. Piękny, liryczny tenor współpracującego ze sceną przy ul. Północnej solisty Teatru Wielkiego wzbudził prawdziwe uznanie m.in. w najbardziej znanym przeboju — namiętnej arii „Graj, Cyganie!..." Partnerująca mu jako Marica **Elżbieta Ptak** śpiewała muzykalnie. Lecz artystka ta dysponuje głosem o nieco ostrym brzmieniu, do tej akurat roli jakby mniej odpowiednim. O tej, najbardziej eksponowanej, dwójce wykonawców nie mogę wszakże napisać, że w fragmentach mówionych wznieśli się na szczyty aktorskiej wirtuozerii. Jednakowo natomiast przekonująca jako śpiewaczka oraz emanująca osobistym czarem aktorka okazała się **Teresa Mulawa-Pabisiak** (Liza). Z kolei bardzo ładnie wykonała jedyną pieśń Cyganki Miny **Wiesława Wielemborek-Grobelna,** choć charakter postaci mógł być w geście jeszcze silniej podkreślony. Podobali się ponadto **Irena Harasim** (Księżna Cudenstein) i **Jerzy Nejman** (Koloman Żupan). Na osobne słowa uznania zasłużył w mówionej roli groteskowego birbanta Populescu **Jerzy Czapliński.** Dyskontując niewątpliwie praktykę w teatrze dramatycznym wykreował to arcyzabawne indywiduum brawurowo, na granicy farsy. W innych partiach mówionych ciekawie wypadli **Adam Koziołek** (baron Liebenberg) oraz **Zbigniew Bobowski** (Czeko).

Bogactwem kolorów oddziałały scenografia i kostiumy, natomiast nie tak urozmaicony pod względem kolorystyki (oczywiście instrumentalnej), a także dynamiki okazał się akompaniament orkiestry prowadzonej batutą Beaty Ambros. Temu niewielkiemu zespołowi trudno osiągnąć brzmienie bardziej samoistne, co już choćby w uwerturze byłoby pożądane. Aczkolwiek i tak dobrze, że miejsca niespójnej gry smyczków pojawiały się rzadko.

JANUSZ JANYST

E. Kalman: Hrabina Marica. Reżyseria, choreografia i ruch sceniczny — **Włodzimierz Traczewski,** kierownictwo muzyczne — **Beata Ambros,** scenografia — **Anna Bobrowska-Ekiert,** kierownictwo chóru — **Roman Paniuta.** Premiera w **Teatrze Muzycznym** 24 czerwca 1989 r.

„Hrabina Marica" — scena zbiorowa
Foto: Jerzy Neugebauer

Kronika

PO RAZ SZÓSTY ODBYWA SIĘ W ŁODZI BIENNALE MAŁYCH FORM GRAFIKI, impreza artystyczna o randze **międzynarodowej.** Rozpoczęło się 23 czerwca br. **uroczystym otwarciem,** w pałacyku BWA przy ul. Wólczańskiej 31, **wystawy obrazującej aktualne trendy światowe w tej dziedzinie twórczości plastycznej.**

Na tę retrospektywną ekspozycję złożyło się 813 wyselekcjonowanych prac 273 artystów z 42 państw.

W trakcie wernisażu, tradycyjnym już zwyczajem, **wręczono Honorowe Medale Małych Form Grafiki.** Z polskich artystów wyróżnieni nimi zostali: **Teresa Chelicka, Sławomir Grabowski i Maksymilian Snoch.**

W bogatym programie wystawienniczym składającym się na biennale, łodzianie będą mogli m.in. obejrzeć — w **Muzeum Historii Miasta Łodzi** ekspozycję **„Duże i małe formy grafiki";** w **Ośrodku Propagandy Sztuki** — w parku im. H. Sienkiewicza — **„Grafikę i rysunek ze zbiorów BWA w Łodzi"** powstałych głównie dzięki Państwowemu Funduszowi Zamówień Plastycznych).

Z zainteresowanie powinny spotkać się również **wystawy indywidualne: Małgorzaty Żurakowskiej,** laureatki pierwszej ekspozycji MFG (w Galerii Bałuckiej), **Igora Podolczaka,** artysty grafika z Lwowa (w Galerii Nowej), **Andrzeja Smoczyńskiego** (w „Desie", Galeria 113).

DWIE KSIĄŻKI SZOLEMA ALEJCHEMA — „Dzieje Tewji Mleczarza" i **„Z jarmarku",** otwierają — bardzo ciekawie się zapowiadającą — nową inicjatywę edytorską **Wydawnictwa Dolnośląskiego: „Bibliotekę Pisarzy Żydowskich".** Mają się w niej ukazywać najcenniejsze **utwory klasyków literatury jidysz.**

STARANIEM WYDAWNICTWA „RES PUBLICA" ukazało się pierwsze w Polsce wydanie, głośnej z edycji emigracyjnej, książki wspomnieniowej **Leopolda Tyrmanda „Dziennik 1954".**

NA II MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU FILMOWYM W GENEWIE pn. **„Gwiazdy jutra" — Olafowi Lubaszence** przypadła główna nagroda za rolę w **„Krótkim filmie o miłości" Krzysztofa Kieślowskiego.**

Cieszymy się z sukcesu artystycznego, odniesionego przez utalentowanego naszego młodego aktora.

NA RÓŻNICUJĄCYM SIĘ NASZYM RYNKU PRASOWYM pojawił się nowy miesięcznik: **„Słowo narodowe".** Wydawcą jest Spółka z o.o. **„Słowo i Czyn".**

Redakcja czasopisma, którą kieruje prof. **Maciej Giertych,** zamierza **nawiązywać do stuletnich tradycji Obozu Narodowego — myśli politycznej Romana Dmowskiego.**

Majowy numer ukazał się w nakładzie 20 tys. egzemplarzy. Pojawienie się tego miesięcznika z pewnością wywoła ożywioną dyskusję.

W NOWEJ GALERII SZTUKI BWA W SIERADZU (ul. Kościuszki 3) odbędzie się 7 bm., inaugurujący działalność, wernisaż malarstwa **Jerzego Dudy-Gracza.**

W MIĘDZYNARODOWYM KONKURSIE WOKALNYM, zakończonym w **Rio de Janeiro,** pierwsze miejsce zajęła **solistka Łódzkiego Teatru Wielkiego — Jolanta Bibel-Bednarek.**

Zdobywczyni prestiżowego **Grand Prix** — o które mogli ubiegać się wyłącznie śpiewacy będący już laureatami innych konkursów międzynarodowych — **serdecznie gratulujemy!**

W DWUDZIESTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI MARKA HŁASKI, Teatr Polski we Wrocławiu wystawił na Scenie Kameralnej **spektakl „Brudne czyny",** oparty na **„Opowiadaniach izraelskich".**

WIESŁAW ROGOWSKI, znany czytelnikom z publikowanych na naszych łamach utworów literackich, **został jednym z laureatów dorocznej nagrody Funduszu Literatury.**

Gratulujemy!

ŚWIATOWEJ SŁAWY skrzypek Yehudi Menuhin **odwołał** swoje **tournée** koncertowe po **Chińskiej Republice Ludowej** — w związku z tragicznymi **wydarzeniami w Pekinie.**

WYDARZENIEM KULTURALNYM W WIELKIEJ BRYTANII jest **druga edycja** dwudziestotomowego **oxfordzkiego słownika języka angielskiego.** Poszczególne tomy pierwszego wydania ukazywały się w latach 1879—1928 (sic!).

Słownik zawiera 29.500 haseł (najwięcej na literę „f").

W ZBIORACH BIBLIOTEKI IM. OSSOLIŃSKICH we Wrocławiu znajdują się **pamiątki literackie po Marku Hłasce.** Do najcenniejszych należą: **szkice nigdzie nie publikowanych opowiadań** oraz kartki z zapisami **rozmów prowadzonych z Jerzym Andrzejewskim.**

TEGOROCZNE WYBORY „MISS POLONIA NATURA" odbędą się 23 lipca w Dźwirzynie. Nagrodą dla zwyciężczyni konkursu będzie **wycieczka do Turcji,** wicemiss spędzi wczasy **w Bułgarii,** zaś Miss Foto otrzyma **100 tys. złotych w gotówce.**

REPERTUAR ŁÓDZKICH KIN UATRAKCYJNIŁ — odbywający się po raz pierwszy — **przegląd filmów tureckich** (od 29 VI do 3 VII br.). Zaprezentowano następujące obrazy: **„Szmaciana lalkę", „Jeszcze nie jutro, już nie wczoraj", Jedwabną lady", „Pełnię księżyca".**

W pokazie inaugurującym przegląd **wzięła udział delegacja filmowców tureckich,** z reżyserem **„Szmacianej lalki" — Enginem Ayca** i odtwórczynią głównej roli — **Hülya Koçyigit.**

Opracował: JAK

„Czas unosi wszystko"

Foto: Jacek Jóźwiak

Aleksander Wat znany jest jako współtwórca polskiego futuryzmu. Lata 1964-65 spędził w Berkeley w Kalifornii. Tam **Czesław Miłosz** rozpoczął nagrywanie rozmów z Watem, które złożyły się potem na dwa tomy „pamiętnika mówionego" pt. **„Mój wiek",** wydane w Londynie w 1977 roku. Po raz pierwszy w Polsce podjął się wystawienia tego utworu **TEATR STUDYJNY'83".**

Aleksander Wat dał w swych wypowiedziach świadectwo czasom i ludziom, ideom i systemom, książkom i rzeczom. Jest to swoisty rodzaj spowiedzi, gdzie biografia stanowi podstawę rozważań o świecie, biografia najeżona dramatycznymi zdarzeniami — podobnie jak i nasze stulecie pełne cierpienia i nieszczęść.

Reżyser wydobył z niej zdarzenia z okresu międzywojennego, najbardziej obrazoburczego w życiu Wata oraz bardzo ciężkie przeżycia z czasów wojny. Umieścił bohatera w dwóch płaszczyznach. Raz jako słuchacza i spowiednika, drugi raz jako jego porte-parole.

Młodego Aleksandra Wata kreuje Sławomir Olszewski, który z powodzeniem odsłania tajniki biografii autora. Najpierw futurystyczne ekstrawagancje publikowane w almanachu poezji zatytułowanym „Gga": zafascynowanie miastem i cywilizacją, występujące równolegle z coraz silniej wyrażanymi nastrojami katastroficznymi; następnie kłopoty związane z redagowaniem **„Miesięcznika Literackiego"** — nieoficjalnego pisma KPP, na którym wychowała się powojenna elita władzy. (Oprócz niego pismo redagowali m.in. **Władysław Broniewski, Jan Hempel, Andrzej Stawar).** Choć sam Wat nie należał do KPP, został aresztowany i w więzieniu spędził trzy miesiące. Były to pierwsze gorzkie doświadczenia więźnia. Aktorzy sugestywnie obnażyli rozterki i poglądy marksistowskich intelektualistów, którzy znaleźli się w więzieniach.

Najgorsze miało dopiero nadejść. W 1939 roku poeta przedostał się do Lwowa wraz z żoną Olą i synem. W styczniu został aresztowany razem z Broniewskim i innymi polskimi pisarzami. W więzieniach śledczych spędził dwa lata... Dla Wata był to czas straszliwej tułaczki więzienno-szpitalnej — osiem razy więziony, szesnaście razy umieszczany w szpitalach. Przekaz jakiego dokonują aktorzy odsłania straszliwą prawdę o czasach stalinowskich: metody tyranii, przyczyny aresztowań, przesłuchania w więzieniach we Lwowie, na Łubiance w Moskwie, stosunki między więźniami, zeznania, nieludzkie warunki w celach, tortury — wszystko to ukazuje koszmarny świat przepełniony bólem i cierpieniem. Przeżycia matek odrywanych od dzieci, strach i rozpacz oddają pieśni śpiewane przez aktorki. Okrucieństwo tego świata podkreśla także surowa, oszczędna scenografia. Czerń, ciemna tonacja wnętrz, nikłość świateł wywołują nastrój przygnębienia.

Doświadczenie drugiej wojny dotknęło bohatera podwójnie: jako Żyda z pochodzenia i jako Polaka z krwi i kości. Rodziły się pytania: skąd jesteśmy, dokąd idziemy, co to jest zło, kim naprawdę jestem? W sytuacji ostatecznej spowiedź osobista nabiera charakteru spowiedzi uniwersalnej.

Wiek XX Wat osadza w wieku żelaznym. Nazywa go wiekiem rozdarcia. Historia jako siły irracjonalne jawi się w postaci konwulsji i brzydoty czasów współczesnych. W doświadczeniach Wata stalinizm był jednym z najostrzejszych objawów totalnej alienacji władzy i jej irracjonalizacji, przez pozornie naukowe i propagandowe metody. Europa w pogoni za Pełnią wyzwala Chaos. Wyczuwa się klimat zmęczenia wojną i zagrożenia. „Mój wiek" jest pełen refleksji przebiegających na sprzecznych liniach: wiara — niewiara, Eden — Piekło, etyka — moralność, Bóg i Chrystus — bunt, kultura — upadek. Najczęściej są to refleksje przepełnione cierpieniem. Wyczuwa się, że wyrosły na naszym „czerniowym krzaku historii".

Pokrzepiające jest jednak to, że dojrzały Aleksander Wat — którego kreuje **Tadeusz Teodorczyk** — mimo tak ciężkich doświadczeń nie żałuje własnego życia. Jest to filozofia pełna nadziei i przekonania, że życie może być doświadczeniem kontemplującego, a nie obowiązkiem czy oszustwem. A czas i tak unosi wszystko.

Słowa uznania należą się TEATROWI STUDYJNEMU'83 za podjęcie próby inscenizacji jednego z dzieł tzw. literatury odzyskanej. Po **„Zapiskach sowieckich" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego** otrzymujemy kolejny, wstrząsający, literacki obraz epoki stalinowskiej.

DANUTA KONIECZNA-MALATYŃSKA

ALEKSANDER WAT: Mój wiek. Adaptacja i reżyseria — **Marek Mokrowiecki.** Scenografia — **Krzysztof Pankiewicz.** Muzyka — **Tadeusz Kocyba. TEATR STUDYJNY'83 w Łodzi.**

„OFTA '89"

W Polsce działa 3000 amatorskich trup teatralnych. Raz na 5 lat konkurują ze sobą na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Amatorskich „OFTA". Mamy już za sobą łódzkie eliminacje „OFTY'89", dające przegląd kapitału twórczego 52 zespołów, które stanęły w szranki. Tylko kilka teatrów zrezygnowało z rywalizacji.

W Dzielnicowym Domu Kultury na Bałutach odbyła się więc **„Dziatwa" — Festiwal Teatrów Dziecięcych;** w Sieradzu — **Przegląd Teatrów Klubów „Ruchu",** w Pałacu Młodzieży im. J. Tuwima — **Konfrontacje Sceny Szkolnej.** Wojewódzki pokaz 12 zakwalifikowanych grup odbył się w pięknej oprawie Sali Kolumnowej Łódzkiego Domu Kultury. W jury zasiedli: **Aleksander Benczak i Andrzej Głowacki, obaj reprezentujący Centralną Komisję Artystyczną „OFTY'89" oraz Tomasz Bieszczad.**

Wśród nagrodzonych znalazł się dziecięcy teatr „Próba" za interpretację „Ptaka" Ireneusza Iredyńskiego w reżyserii **Bożeny Jeśman.** Spektakl wyjątkowo dojrzały — o potrzebie marzeń, motywacji do życia. **Studio Teatralne „Słup" Marcela Szyfenchelma zademonstrowało** kontrowersyjne zdarzenie teatralne pt.: **„Orkiestra — Nabór"** zdobywając przychylność jurorów i... irytację publiczności, manipulowanej podstawionymi „widzami".

W grupie najlepszych znalazły się aż dwie pantomimy — z **Zakładowego Domu Kultury „Eskimo",** pod kierunkiem **Jerzego Moniaka** za spektakl **„Przechodzi mur"** i z **Łódzkiego Domu Kultury** (prowadzona przez **Krzysztofa Kubiaka**) za przedstawienie pt.: **„Zamiast jeźdźców Apokalipsy".** Piątkę zwycięzców zamknął teatr **„Dziewięciosił"** za realizację **„Posłuchaj, Eddie"** autorstwa **Andrzeja Czernego i Jarosława Grzelki.** Zimą będą uczestniczyć w centralnych eliminacjach „OFTY'89".

Wojewódzki przegląd pozwala postawić diagnozę ruchowi amatorskiemu w Łodzi. Otóż wraz z upadkiem imprezy o nazwie Łódzka Akcja Kabaretów Amatorskich, prowadzonej kiedyś przez Śródmiejski Dom Kultury, zaniknął kabaret szkolny. Nie ma tradycji teatru ulicznego — jedyny działa w „Energetyku". Pojawienie się clownów, biorących udział w happeningach, na ulicach i placach naszego miasta, powoduje niewybredne komentarze ze strony widzów. Na święto Piotrkowskiej organizatorzy musieli, z konieczności, „zaimportować" teatry uliczne z Karl-Marx-Stadt i Gdańska.

Cieszyć się można natomiast z braku teatrów „nalwnych", z ckliwym repertuarem, aktorami w kontuszach, pobrzękującymi szabelkami. Nawet dzieci odchodzą od bajek i sięgają po... Becketta. Mimo całej żywiołowości — ruch amatorski łączy dążenie do przekładania współczesnych problemów na język wypowiedzi scenicznej.

ANDRZEJ WERBIK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

KŁAMCA I PONURAK

„Robert Kennedy: In His Own Words" — tak zatytułowana została książka, której ukazanie się na rynku amerykańskim zapowiedziano na dwudziestą rocznicę zabójstwa brata prezydenta. Książka składa się z wywiadów, jakich udzielił R. Kennedy w latach 1964—67, a które nie były nigdy publikowane. Zawiera wiele poufnych, często niedyskretnych opinii o najbliższych współpracownikach Kennedych. M.in. o Johnsonie, który przejął urząd po zamachu na Johna F. Kennedy'ego, Robert Kennedy był jak najgorszego zdania: „zawsze gdy z nim rozmawiałem, kłamał — nawet wtedy, gdy nie musiał". Ponadto Johnson był „przeciętny, ponury, złośliwy".

SUKNIA MARILYN

Anonimowy kolekcjoner kupił na aukcji firmy „Sotheby" w Londynie manuskrypt ostatecznej wersji **IX Symfonii Beethovena,** wykonanej po raz pierwszy w Wiedniu w 1824 r. Zapis tego dzieła kosztował nabywcę 85 tys. funtów.

Nieco taniej, bo tylko na 19 tys. funtów, wycenili rzeczoznawcy innego londyńskiego domu aukcyjnego — „Christie" czarną suknię **Marilyn Monroe,** w której aktorka wystąpiła w filmie **„Pół żartem, pół serio".**

DZIEKI CELNIKOM

Nielegalny wywóz dzieł sztuki, bolączka wielu państw, nie omija też Francji. Niedawno na ścianach jednej z sal Luwru zawisły dwa wspaniałe XVIII-wieczne gobeliny o tematyce mitologicznej. Do muzeum przekazała je Generalna Dyrekcja Ceł, która zgodnie z przepisami, zatrzymuje dzieła sztuki po podjęciu przez sąd decyzji o ich konfiskacie. W tym przypadku gobeliny odkryto w przewożącej meble do Szwajcarii ciężarówce, której kierowca nie dysponował zezwoleniem na wywóz zabytkowych tkanin. Dzięki celnikom, w ciągu ostatnich dwóch lat udaremniono nielegalny wywóz dzieł sztuki wartości 10 milionów franków, wśród nich płócien **Tycjana i Van Gogha,** rzeźb **Rodina** itd.

FRANCISZEK PIECZKA

„Przyjęcie roli w serialu „Czterej pancerni i pies" wyłączyło mnie na ponad półtora roku z pracy teatralnej. Wcześniej zdążyłem zagrać tytułową postać w „Woyzecku" Büchnera w inscenizacji Swinarskiego i Benię Krzyka w „Zmierzchu" Babla, reżyserowanym przez Jarockiego. Nie żałuję jednak, że wystąpiłem w serialu Nałęckiego. Była to bardzo miła przygoda. Miałem tam sympatyczną, lekko komediową rolę i partnerów, którzy wówczas kształtowali swoje zawodowe losy, a później stali się wybitnymi aktorami: Romek Wilhelmi, Janusz Gajos. W mniejszych rolach wystąpiły takie znakomitości jak Barbara Krafftówna, Tadeusz Fijewski, Stanisław Jasiukiewicz... Tak, niektóre zarzuty brzmiały jak akt oskarżenia. Można tego serialu nie lubić, nie akceptować, jednak atak z pozycji rzekomo zagrożonych pryncypiów moralnych czy pedagogicznych były nieporozumieniem. Jak wobec tego oceniać w kategoriach moralnych, etycznych czy estetycznych obecny repertuar telewizji, kina i rynku wideo. Myślę, że to jedna z cech naszej mentalności: uwielbiamy patos, wzniosłą symbolikę a boimy się tego, co nazywamy dziś luzem, umiejętnością znalezienia dystansu, poczuciem humoru. Serial cieszył się chyba największą popularnością w dziejach polskiej telewizji i nie słyszałem, by spowodował jakieś deformacje u paru pokoleń młodzieży, która oglądała „Czterech pancernych"... („Film" nr 11).

Galeria pisarzy

EWA FILIPCZUK

Rys. Sławomir Arabski

Byli legendą — wspomnienia z najbliższej przeszłości (6)

Ballada o „Jędrusiu"

RYSZARD BINKOWSKI

Po półgodzinie Kulik i komendant białego pawilonu Kukawka zaprowadzili go w koniec korytarza. Zatrzymali się przed drzwiami piwnicy pod stolarnią. Za tymi drzwiami naczelnik Szymonowicz zorganizował komorę tortur. Ciemna piwnica, dwudziestocentymetrowy betonowy próg, a równo z progiem woda, której nadmiar wylewał się na zewnątrz przez otwór w ścianie, bo inaczej woda wydostawałaby się przez próg na korytarz. Jej głębokość zawsze wynosiła 20 cm.

Metr nad wodą znajdowała się drewniana podłoga, sięgająca do samych drzwi. Kiedy na rozkaz Kulika Wiącek rozebrał się do naga, polecono mu wejść do piwnicy. W pierwszym naturalnym odruchu chciał wsunąć się na deski podłogi. Wtedy otrzymał cios w głowę.

— Na dół, skurwysynu! — wrzasnął sadysta Kulik.

Był luty, woda lodowata, toteż zaczął się ostrożnie wsuwać pod deski podłogi, nogami do wody. Kulik i Kukawka odsunęli się, z tyłu wyszedł kapuś (skazany za kolaborację) i chlusnął z kubła zimną wodą. Więzień instynktownie wzdrygnął się i wjechał pod deski, do wody.

— Marsz do „Pluskiewnika!" — zarechotał Kulik. — Tu, bracie, twoja mogiła!

Nazywali to „Pluskiewnikiem", tak infantylnie, zdrobniale, bo więźniowie się tam pluskali. Ale oni na to nie patrzyli, zamknęli drzwi i poszli sobie.

Wiącek początkowo przytrzymywał się desek nad głową, bo w wodzie pływały kał, krew i plwociny po poprzednikach, ale z podłogi też skapywała woda, a on tracił siły, więc w końcu upadł na betonowe dno, w wodę. Nie było wyjścia, deski nad głową sięgały ścian i drzwi.

Co godzinę przychodził Kulik i nawiązywał się ten sam dialog.

— Namyśliłeś się?

— Tak.

— Podpiszesz?

— Nie.

— To gnij dalej.

Przed kolacją zabrano go z „Pluskiewnika" do karceru, gdzie pierwszą noc spędził normalnie — leżąc na betonie. Po śniadaniu do „Pluskiewnika". Na obiad przychodził Kukawka z miską, więzień zjadał, kładł się w wodzie i zamykano drzwi.

Zaczynał się kolejny etap powolnego umierania. Nawet ksiądz nie mógł pojąć, że człowiek mógł coś podobnego przetrzymać. A człowiek żyje.

Przez trzy lata czekał na rewizję procesu, aż wreszcie Sąd Najwyższy postanowił uchylić poprzedni wyrok i przekazać sprawę do ponownego rozpatrzenia przez właściwy okręgowy sąd wojskowy, co jednak mogło nastąpić dopiero po uzupełnieniu śledztwa przez Naczelną Prokuraturę Wojskową. Prokuratura umorzyła śledztwo z braku dostatecznych dowodów winy.

Nie było oficjalnej rehabilitacji. Samo umorzenie śledztwa równało się rehabilitacji. I tak już pozostało.

— W czasie rewizji procesu pokazano mi moją prośbę o ułaskawienie. Poznałem tę zatłuszczoną kartkę, te kulfony kreślone przeze mnie w 1945 r., stolarskim ołówkiem. Zdumiała mnie adnotacja pod spodem mojego podania...

— Co było w tej adnotacji? — pytam. — Co pana tak zdumiało?

— Tylko jedno zdanie. „Z prawa łaski nie skorzystam" I podpis...

— A więc zatwierdzony do wykonania wyrok! Czemu go nie wykonano?

— Nie wiem. Nie znam powodów. Zresztą, niech pan sam pomyśli...

No cóż, przy zatwierdzonym wyroku nie można było czekać na cud. Ani na to, że więzień zmięknie, zacznie śpiewać i pójdzie na współpracę z UB. Należało szybko wykonać wyrok. Może więc ta kartka zawieruszyła się gdzieś w bałaganie? Za najbardziej prawdopodobne należy jednak uznać takie wyjaśnienie, że w warszawskim urzędzie siedział ktoś, kto znał Stanisława Wiącka. Ten ktoś ukrył zatwierdzony wyrok na dnie szuflady, ponieważ doskonale orientował się, że wkrótce ogłoszona zostanie amnestia...

Ten cud mamy już za sobą. W Rawiczu cudów raczej nie było. Były za to wymyślane pieszczoty, o jakich erotomanom się nie śniło. Stanisław Wiącek wstaje, aby zademonstrować jeden z numerów. Wyciąga rękę nad głowę i mówi:

— Następnej nocy w karcerze nie spędziłem już na betonie. Wpierw przykuto mi jedną rękę do kraty, na takiej wysokości, by stopy sięgały posadzki, a potem drugą. Nie wyglądałem jak Chrystus, ale byłem ukrzyżowany... Innym razem zastosowano mi ćwiczenia na kółkach...

— To znaczy?

Podchodzi do ściany i wskazuje dwa miejsca na wysokości piersi i w odstępie równym mniej więcej szerokości barków.

— W ten sposób — wyjaśnia — wmurowane były w ścianę dwa kółka.

Następnie pokazuje, jak od zewnątrz wkładał ręce przez kółka, tak że schodziły się dłońmi. Wygląda, jakby obejmował pień drzewa. Odchodzi od ściany, siada na kanapie i oświadcza.

— Przykucie do kółka było gorsze od ukrzyżowania na kracie.

— A ja myślałem, że odwrotnie.

Uśmiecha się drwiąco.

— Niech pan sobie wyobrazi, że taki numer trwał całą noc. Na kracie człowiek zdrzemnął się, zawisł i jakoś przetrzymał. Rozwolnienie po podłym żarciu, okropne przeziębienie, więc przykuty do kółka więzień musiał cały czas stać i robić pod siebie. Ze mnie lało się jak z cebra...

Któregoś dnia przy obiedzie w komendancie Kukawce odezwały się niespodziewanie resztki sumienia, coś niepojętego, ludzkiego. Może przeraził się, że sam trafi kiedyś do „Pluskiewnika"? W każdym razie odprawił z pustą miską asystującego mu więźnia i po raz pierwszy wdał się z Wiąckiem w niemal przyjacielską rozmowę.

— Ty gnoju — zasunął tak z poznańska — ty się poddaj, nie podskakuj, bo ony cie wykończą. Ty się skończysz i tylko żona i dzieci będą płakać.

— Dzięki Bogu nie zdążyłem się jeszcze ożenić.

— To ojce zapłaczą, gnoju.

— Ojca żeście już wykończyli. A ja na śmierć jestem przygotowany. Dla mnie ona niestraszna, patrzyłem jej w oczy walcząc z Niemcami.

— Um... A czego ony od ciebie chcą?

— Kto?

— No, te ubeki ze „Spec".

— Żebym został kapusiem.

— Na onych ni ma rady. Ty się zgódź, bo umrzesz.

— Nie, komendancie! Nie zrobię tego, choćbym zdechł.

— Taa — mruknął Kukawka. — Wiesz, to ty jesteś porządny chłop. Palisz?

— Tak.

— Masz, pociągnij se — rzekł Kukawka i poczęstował go papierosem.

Odtąd, gdy tylko znaleźliśmy się sam na sam, zawsze tak robił. A na koniec zakurki mówił jakby na usprawiedliwienie:

— No dobra, gnoju, ale ja muszę cię zamknąć.

— W porządku, ja to rozumiem. Rób, co do ciebie należy, komendancie.

Ale nawet odruch litości Kukawki nie był w stanie ulżyć cierpieniom. Stanisław Wiącek tracił wzrok, widział jak przez mgłę, dręczyły go omamy, zjawy, wpadał w przedziwnie błogi nastrój, jakby szybował w przestworzach. Czuł osaczające go szaleństwo i śmierć... Postanowił skończyć z sobą...

— A nie pomyślał pan wtedy o bracie? O księdzu Janie?

Głowa opada na pierś. Milczenie. Ociera grzbietem dłoni łzy i mówi zduszonym głosem:

— Proszę pana, ja w „Pluskiewniku" spędziłem 9 dni. Zimą. Inny więzień siedział tam 27 dni. Latem, niby w lepszych warunkach. I zwariował... A ja nie miałem zamiaru łamać przykazań boskich...

— Rozumiem. W warunkach „Pluskiewnika" i karceru nie sposób było się zabić.

— Tak, nie było warunków do popełnienia samobójstwa. Zaplanowałem więc, że gdy Kulik przyjdzie z kolejnym pytaniem, odpowiem, że zgadzam się na wszystko. Kiedy wypuści mnie z „Pluskiewnika" na korytarz, wpakuję mu palce w oczy i podgryzę gardło. Zatłuką mnie na miejscu, ale uwolnię więźniów od sadysty. Miałem to zrobić następnego dnia...

Stanisława Wiącka nie zatłuczono na korytarzu, a Kulik nie stracił oczu i nie dał gardła. Bo rankiem Wiącek nie poszedł z karceru do „Pluskiewnika". Około dziesiątej zjawił się Kukawka, odemknął karcer i mówi dziwnym tonem:

— No, wyłaź, gnoju!

— Do wody?

— Nie. Zmiana naczelnika. Ten nowy anuluje wszystkie kary.

Jezus Maria, nareszcie! Trzy lata męki pod rządami Szymonowicza, który specjalizował się w wykańczaniu więźniów. I już go nie ma, i nie będzie.

Stanisław Wiącek trafił do pojedyńczej celi, w której przez 2 tygodnie dochodził do siebie po rozkoszach karceru i „Pluskiewnika". Przeniesiono go do wspólnej celi w czerwonym pawilonie. Tutaj zupełnie inna atmosfera. Oddziałowi także bali się kapusiów, ponieważ gdy doniesiono, że zbyt dobrze traktują więźniów, przenoszono ich na budki wartownicze.

Naczelnikiem był starszy pan o nazwisku Mardal. Ostry, surowy, karał za wykroczenia, lecz nie stosował bezprawia. Zabrano z Rawicza Kulika ze „Spec", zlikwidowano kapusiów. Ale po pół roku Mardal odszedł.

Nowym naczelnikiem został kapitan Rokicki. Nie był takim sadystą jak Szymonowicz, ale też dawał się we znaki. Co rusz urządzano nocne rewizje. Więzień rozbierał się do naga i stał boso na betonie, a funkcjonariusze wyrząsali sieczkę z sienników.

Wiąckowi na skutek zrostów pooperacyjnych utworzyła się na brzuchu znacznych rozmiarów fałda, przypominając torebkę. A rewidenci szukali „ołówecków" do pisania grypsów. Jeden przyjrzał się tej fałdzie podejrzliwie i pyta:

— Co tu masz, hę?

— Ach, to pamiątka po rawickim szpitalu.

Pokiwali głowami i poszli sobie. Nazajutrz Wiącek trafił do karceru. Za narzekania na brak opieki więziennej.

Za Rokickiego wymyślono izolatki dla tych, co nie chcieli być kapusiami. Wiącek nie chciał być kablem ani kapustą, jak mawiają dziś recydywiści, toteż pozbawiono go wszelkiego kontaktu z otoczeniem. Obostrzony rygor, osobne spacery, łaźnia też. Na szczęście po miesiącu zrezygnowano z tych przyjemności.

Po 7 latach Stanisław Wiącek został przeznaczony do transportu. Było mu wszystko jedno, gdzie jedzie, byle dalej od złych wspomnień, od tego piekła w Rawiczu. Jechał do Centralnego Więzienia w Sztumie.

— Wie pan — rzuca z uśmiechem — że z Rawicza mogłem wyjść spokojnie na wolność?

— Jakim cudem?

— W transporcie do Sztumu poznałem nowego więźnia, naczelnego prokuratora wojskowego. Był to pułkownik Szpondrowski, do którego wcześniej dotarł mój brat, ksiądz Jan. I wie pan, co on mi powiedział?

— No?

— W więzieniach siedziało sześciu Stanisławów Wiącków. Ich akta były tak pomieszane, że nie wiadomo, kogo dotyczyły. Płk. Szpondrowski zamierzał je dokładnie posegregować i ustalić, kto jest kto. Gdyby aresztowano go parę dni później, ja byłbym na wolności.

Sztum to olbrzymie więzienie i w pierwszym zetknięciu sprawia ponure wrażenie. Ale żeby mieć jakieś porównanie, trzeba było przeżyć Rawicz. Po Rawiczu to niemal więzienny raj, o ile w ogóle można użyć takiej metafory. W Sztumie nie było terroru psychicznego ani katowania. O niebo lepsze jedzenie, no i podłogi w celach.

— Czułem, że zapla się we mnie nikły płomyk nadziei, powraca chęć do życia. Teraz może dotrzymam końca, wyjdę... Postanowiłem zlikwidować przepuklinę i liczne schorzenia, jakich nabawiłem się w Rawiczu i Kielcach. Napisałem podanie, które rozpatrzono pozytywnie, i wkrótce przewieziono mnie do szpitala więziennego w Gdańsku.

Po wyleczeniu Stanisław Wiącek wrócił z Gdańska do Sztumu. Widział skazanych na śmierć oficerów marynarki wojennej. Umierali i rehabilitowano ich pośmiertnie.

Warunki w Sztumie znośniejsze, ale 9 lat w celi bez jakiegokolwiek zajęcia odciskało się czarnym piętnem na psychice. Bez książek, gazet, bez kontaktu ze światem. Co słabsi tracili zmysły w pojedynkach...

I wtedy znalazł się ten nieznany więzień, który po latach miał się stać sławny. Pracował w księgowości w Sztumie.

— Wkrótce kończył mu się wyrok, chciał więc mieć zastępcę na swoje miejsce. Nauczył mnie księgować i pracowałem jako księgowy do zwolnienia. Tym więźniem był Kazimierz Moczarski, autor „Rozmowy z katem"...

Stanisław Wiącek został zwolniony 7 października 1954 roku. Czas mierzy się w latach, dekadach, wiekach. Za murami liczy się każdy dzień i godzinę. Stanisław Wiącek spędził w celach 9 lat, 9 miesięcy i 7 dni.

Ale w tym miejscu nie kończy się ballada o „Jędrusiu". Bo na wolności za „zbrodniarzem" wlecze się smuga czarnego cienia. Dręczą go zmory, boi się wyjść na ulicę, bo w bramie czekają „oni". Takie czasy, że do księdza przychodzi człowiek z UB, wyciąga ankietę i pyta o stosunek do rzeczywistości. A wypuszczonemu na wolność wrogowi ludu proponuje się zakładanie kołchozów...

— Przed zwolnieniem wypytywano mnie, gdzie się udam po wyjściu z więzienia. Odpowiedziałem, że najbliżej mam do brata, który był dyrektorem gospodarstwa szkoły mechanizacji rolnictwa w Kwidzynie. Majątek nazywał się Obory. No i wyszedłem wreszcie... Nie, tego się nie da opisać... Straszne uczucie, za murami, na wolności... Marzyłem o tym latami, a teraz poraził mnie ogrom przestrzeni.

„Plejady to gwizdozbiór jest październikowy", jak pisał Jarosław Iwaszkiewicz. Romantyk patrzy w niebo i modli się do gwiazd. A co robi zwolniony więzień, który ląduje w nocy na dworcu w Kwidzynie? Nie zna terenu ani ludzi, wreszcie ktoś mu wskazuje kierunek i pociesza, że do Obór tylko 2 kilometry. Więc idzie w noc, przez pola, pod rozgwieżdżonym niebem. Idzie zuchwały i nieulękły „Jędruś", który czuje się teraz jak mysz wypuszczona z klatki... Bo w więzieniu wiele razy opowiadano, że zwolniony więzień nie zawsze docierał do domu. Ginął w drodze, zabity przez nieznanych sprawców... Tak, nie na darmo przed zwolnieniem tak usilnie wypytywali, gdzie więzień się udaje. Strach gasi radość wolności...

Wraca „Jędruś" z 10-letniej katorgi, jaką ludzie zgotowali ludziom, swoi swoim, i to w ustroju, który miał być szczęśliwością dla wszystkich. Idzie przez noc, środkiem szosy, modli się do Boga, a zimny pot spływa po jego wychudzonym ciele. Wreszcie nocny stróż wskazuje mu dom, którego szuka i słyszy pierwsze słowa brata: „Mój Boże, dziesięć lat!"

— Rano zameldowałem się na posterunku MO, a następnej nocy pojechaliśmy do najstarszego brata w Warszawie. Potem w trójkę udaliśmy się do brata księdza w Koprzywnicy. I po dziesięciu latach jest nas czterech. Dziś mam jeszcze jednego brata i siostrę w Londynie...

Na plebanii w Koprzywnicy musiał spędzić rok czasu, aby się jakoś podleczyć. Było już po śmierci Józefa Stalina, ale księża nie czuli się pewnie, bo więziono przecież samego kardynała Stefana Wyszyńskiego. W Koprzywnicy do księdza Jana przychodził z ankietą człowiek z bezpieki i pytał o pochodzenie. Bogacz wiejski — odparł ksiądz — a tamten po namyśle wpisał do rubryki „kułak". Gorzej było ze stosunkiem do władzy i rzeczywistości. Przyjazny, obojętny czy wrogi? Ksiądz wyznał, że przyjazny. Niedowierzanie, kręcenie głową, bo jakże to tak? Ano tak, mówi ksiądz Jan, bo ja buduję kościół i daję klasie robotniczej pracę za godziwą opłatą. Zapisano przeto, że stosunek przyjazny, ponieważ buduje kościół. Ale z zawodem i wykształceniem były kłopoty, gdyż Jan podał: „Ksiądz doktor kanonik". Urzędnik nie wierzył w tego doktora, więc Jan podał nazwiska kilku znanych radomskich lekarzy. Dopiero wtedy funkcjonariusz zapisał z czystym sumieniem: „ksiądz kanonik, doktor medycyny".

W Koprzywnicy Stanisław Wiącek znalazł dach nad głową, wikt i opierunek. Był nagi i bosy, lecz na ubranie musiał sam zapracować, ponieważ brat Jan odbudowywał kościół. W gminie znali Wiącków z partyzanckiej działalności, prezes GS był mocno partyjny i nie chciał Stanisława zatrudnić, bo dla takich nie było pracy. W Komitecie Powiatowym PZPR stanęłą ta sprawa, gdyż nieżyjąca już pani Łopatkowa z poczty była członkiem egzekutywy. Przyszła ona do księdza z dobrą wiadomością, że prezes GS dostał partyjne polecenie, aby natychmiast zatrudnił Stanisława Wiącka.

— Wyjaśniono mi, że jestem bardzo popularny na wsi, mam posłuch u chłopów, więc łatwo ich przekonam do socjalizmu i świetlanej przyszłości. Miałem etatowo zakładać kołchozy. Podziękowałem... Prezes sam zaczepiał mnie na ulicy, prosił, żebym się zgodził na płatne stanowisko, a ja, że się jeszcze namyślę. I do dziś się namyślam. A potem były wybory i znalazłem się na liście wyborców. Zgłosiłem się do UG w Koprzywnicy i mówię, że chyba nie zagłosuję. Dlaczego? Ano, jestem pozbawiony praw publicznych i obywatelskich, nie mam rehabilitacji. Urzędnik oświadczył, że da mi odpowiedź po konsultacji w KP PZPR. Dowiedziałem się, że mam iść do głosowania. Mój głos przeważył i wybory zostały wygrane...

C.D.N.

Panorama

ALBANIA

Albania zerwała stosunki ze Związkiem Radzieckim w 1961 roku, a z Chińską Republiką Ludową w 1978 roku. Od 1985 roku na czele partii albańskiej stoi Ramiz Alia. Od 30 lat w Tiranie nie gościł żaden przedstawiciel państw Układu Warszawskiego. Ostatnio Albanię odwiedził minister spraw zagranicznych NRD — Oskar Fischer. Komentując tę wizytę agencja Reutera przypomina, że tak NRD, jak i Albania odżegnują się od reform w stylu radzieckiej pieriestrojki.

Ramiz Alia skierował przesłanie do kongresu Demokratycznego Frontu Albanii, w którym stwierdza, że reformy dokonujące się w Polsce, na Węgrzech i w ZSRR otwierają drogę do powrotu do kapitalizmu. Powiedział on między innymi: — *„Dzisiejsza polityka cofania się byłych krajów socjalistycznych jest dla nas potwierdzeniem, że polityka naszej partii jest słuszna i zachęca do dalszego odważniejszego postępu na świetlanej drodze, zapoczątkowanej przez rewolucję"*. Reuter, komentując to przesłanie, przypomina, że Albania prowadzi nadal politykę stalinowskiego socjalizmu, tym niemiej ostatnio zmieniono podejście do sztuki i propagandy. Rozszerza się kontakty z zagranicą. Przesłanie to — stwierdza Reuter — jest jednocześnie ostrzeżeniem elementów reformatorskich w albańskiej partii, że w Albanii nie ma szans na takie reformy.

BUŁGARIA

Przebywający w Wiedniu przywódca emigracyjnej Bułgarskiej Partii Socjaldemokratycznej — Stefan Tabakow poinformował dziennikarzy o aresztowaniu popa Christofora Sabewa, który założył w marcu 1989 roku Komitet na rzecz Wolności Religijnej i wystąpił o jego zalegalizowanie. Popa Christofora Sabewa aresztowano w Weliko Tyrnowo.

Tenże Stefan Tabakow poinformował też o aresztowaniu wiceprzewodniczącego Związku Intelektualistów „Podkrepa" („Poparcie") — Todora Kabałewa, który usiłował dowiedzieć się o losach aresztowanego przewodniczącego „Podkrepy" — Kostadina Trenczewa. Wraz z Kostadinem Trenczewem aresztowani zostali Anton Zaprianow i Nikołaj Kolew. Podpisali oni petycję domagającą się zaprzestania prześladowania mniejszości tureckiej w Bułgarii.

NRD

Martin Nesirky — korespondent agencji Reutera w NRD — przeprowadził rozmowy z dyplomatami przebywającymi w Berlinie. Zwracają oni uwagę, że w ciągu ostatnich 2 tygodni władze NRD:

— poparły stanowisko władz ChRL w stosunku do demonstracji studentów w Pekinie i dalsze postępowanie wobec ruchu nieformalnego studentów i robotników chińskich;

— *negatywnie oceniły pogrzeb szczątków* Imre Nagy'a i rozstrzelanych wraz z nim polityków, nie wspominając ani słowem o ich rehabilitacji;

— szeroko poinformowały o antyradzieckich demonstracjach w Polsce, do minimum ograniczając informacje o wyborach w Polsce i ich rezultatach;

— wyraziły zadowolenie z wizyty Michaiła Gorbaczowa w Bonn i oskarżając jednocześnie polityków zachodnioniemieckich o wszczęcie kampanii na rzecz zjednoczenia Niemiec;

— poparły stanowisko Bułgarii wobec jej mniejszości tureckiej.

Zdaniem zachodnich dyplomatów, na których opinie powołuje się Martin Nesirky, NRD szuka nowych sojuszy z państwami przeciwnie nastawionymi do reform, jakie przeprowadza się w Polsce, na Węgrzech i w ZSRR. Stąd bardzo skąpe informacje o wydarzeniach w Polsce i na Węgrzech oraz selektywne o wydarzeniach w ZSRR.

JUGOSŁAWIA

W prasie jugosłowiańskiej toczy się burzliwa dyskusja na temat warunków życia Jovanki Broz — wdowy po Josipie Broz-Tito. Dyskusja ta toczy się przy całkowitym milczeniu zainteresowanej. Musiała się ona przenieść z willi przy ulicy Użickiej 15, w której mieszkała z Josipem Broz-Tito. Przeprowadziła się do willi przy Bulwarze Rewolucji Październikowej 75. Fakt ten niektórzy oceniają bardzo negatywnie, gdyż uważają, że rezydencją Josipa Broz-Tito był Biały Dwór, a przy ul. Użickiej 15 było tylko jego mieszkanie, zatem Jovanka Broz nie powinna była tej willi opuszczać.

Otrzymała ochronę osobistą, z której nie jest zadowolona, nie posiada paszportu, a kiedy przeprowadziła się do willi przy Bulwarze Rewolucji Październikowej 75 straciła swoją biżuterię i podarki, jakie otrzymała od męża. Zostały one złożone w muzeum „25 maja". Koszty utrzymania willi, rachunki za czynsz, gaz, elektryczność, wodę, telefon, pensję dla kucharki, ogrodnika, szofera i pracownika służby bezpieczeństwa pokrywa Federacja. Nie przyznano jednak Jovance Broz emerytury, jaką miał jej mąż.

Dobrze poinformowany dziennikarz z Rijeki — Ujenceslav Cenczicia przypomina, że wdowy po innych jugosłowiańskich działaczach politycznych mają po pięć willi i nikt im nie odbiera biżuterii.

Opracował:
WITOLD BOROWY

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

28

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Rano wyznała mu, że za kilka dni, w najbliższy piątek, obchodzi urodziny.

— Licz się z tym, że może przyjechać mój ojciec — powiedziała. — I nie chcę żadnych prezentów, żadnych kwiatów.

— A czego chcesz?

— Ciebie, pod warunkiem, że nie uderzysz mnie już nigdy.

— Nie uderzę. — Wyszedł, zamknął drzwi i dodał na schodach: — Jeśli nie dasz mi powodu.

9.

Bernard siedział przy stole i patrzył na Jacka ponuro.

— Wiem już — powiedział.

— Co?

— Że kombinujesz z Gejszą.

— Ja z nią nie kombinuję, ja ją kocham — oświadczył zimnym ze wściekłości głosem chłopak. — I nie mów mi tylko, że jest kurwą. Już ktoś wczoraj dostał za to w mordę.

— Wspaniale! A co z naszym wyjazdem do Meksyku? Nie rozmyśliłeś się przypadkiem?

— Nie.

— No to nie ma w ogóle żadnej sprawy — rzekł z fałszywym entuzjazmem starszy brat, poskromiwszy gniew i uśmiechnąwszy się z wysiłkiem. — Każdy może wpaść.

— Jasne!

— Ważne tylko, żebyś w porę z tym skończył.

— Nie zamierzam niczego kończyć.

— To jak wyjedziesz?

— Z nią!

— Raczysz sobie oczywiście żartować? — Poskromiony gniew napływał siedmioma drzwiami tak, jak siedmiu diabłów zajmuje miejsce kamrata przegnanego na chwilę ze skruszonej duszy. — I ona została już o tym radosnym fakcie powiadomiona?

— Wolałem poczekać na twoją akceptację.

— Bardzo ładnie! — Bernard zapalił i drżał z hamowanej furii. — Akurat teraz potrzebna nam baba!

— Dama!

— Kula u nogi i zdrajca!

— Partner, z którym można zrobić każdy skok.

— Nie będzie już żadnych skoków.

— Kto wie? Tak czy inaczej, Gejsza ułatwi przemyt. Kiedy ona zlikwiduje konto i sprzeda mieszkanie, będzie równie bogata, jak każdy z nas. — Sięgnął po papierosy brata, zaciągnął się i mówi z dymem: — Spokojnie, Bernard, spokojnie. Nie puściłem farby, nie tknąłem pieniędzy, nie palnąłem żadnego głupstwa. Zakochałem się po prostu! Powiesz oczywiście, że jest to miłość szczeniaka.

— A nie jest?

— Nie. Miłość szczeniaka, to jedyna prawdziwa miłość na tym świecie, ale ja przestałem być szczeniakiem. Ja myślę, Bernard!

— Wyobrażam sobie!

— Polubisz ją!

— Na pewno!

— Nie drwij. — Dopiero teraz Jacek odsunął krzesło od stołu i usiadł. — Gdzie babka?

— Śpi.

— To dobrze. — Zbliżył do brata twarz zmęczoną i pobladłą, z sinymi podkowami pod oczyma, które były zaczepne i złe. Mówił tonem rozkazującym, tak, jakby nie istniała między nimi różnica wieku i jakby zwierzchność Bernarda przestała się liczyć. — Napiszesz do ojca, żeby przysłał jej prędko zaproszenie.

— Na razie jeszcze my nie mamy zaproszeń.

— Nie odpowiedział?

— Nie.

— Odpowie. Wytłumaczysz mu, że jest moją narzeczoną i że ożenię się z nią, jak skończę osiemnaście lat.

— A jeśli tego nie zrobię?

— To polecisz do Meksyku sam. Zrozum, Bernard, jesteś moim starszym bratem i kocham cię, ale Baśka jest w tej chwili najważniejsza. Takiego mieszkania, jakie ona posiada w tej pieprzonej kamienicy, nie znajdę w żadnym Meksyku, w żadnej Kalifornii czy Londynie.

— Dla mieszkania się w niej zakochałeś?

— W każdym razie, gdybym musiał tu zostać, nie będę cierpiał.

— Rzuci cię wcześniej czy później!

— Akurat!

— Pohula trochę z tobą i odejdzie.

Pięści chłopca zwinęły się odruchowo.

— Tego, to bym jej nie radził.

— Nie znasz kobiet.

— Znam. Przerzuciłem kilka. Przyjrzałem się matce i twojej żonie, no i przyjrzałem się Gejszy.

— Ideał?

— Prawie. Powinneś ją poznać.

— Z przyjemnością.

Jacek zmierzył brata uważnie. Guu, guuu, ku! Guu, guuu ku! — gruchał gołąb. Było już po dziesiątej i nieznany klarnecista ćwiczył gamy. Promienie słońca wstrzeliwały się ukośnie do pokoju; wiało i kiedy Bernard podszedł z papierosem do okna, trzepotał mu u szyi warkocz dymu. Warsztat Gustawa był jeszcze zamknięty; na wprost wysokich, pociągniętych zieloną farbą drzwi stał pochylony motocykl z wykręconym przednim kołem i zablokowaną kierownicą. Syn dozorcy siedział na zrębie gazonu i trzymał między nogami łopatę dowodząc, że gdyby tylko usłyszał przyjazne słowo, wziąłby się do roboty.

Może to rzeczywiście nie będzie złe? — medytował Bernard. Miał przykre, nieuświadomione wrażenie czyjejś natarczywej obecności. Coś błysnęło pod dachem. Klarnecista rozegrał już wargi i zamruczał cichutko bluesa. — Czym ja się w zasadzie denerwuję? Dziewczyna jest mądra i zdecydowanie piękna; da sobie radę z każdym celnikiem, jeśli jednak trafi na celniczkę, babsko z rozkoszą wypruje z niej flaki. Tak czy owak, wezmę dane Gejszy i prześlę je ekspresem ojcu. Niewykluczone, że naprawdę zakochała się w gówniarzu, chociaż lepiej by było, żeby zakochała się we mnie!

Mężczyźni: koledzy, przyjaciele, bracia, dziadek i wnuczek, ojciec i syn potrafią być wobec siebie bezwzględnie uczciwi, bezwzględnie lojalni i wierni w takich sferach jak honor, interesy, pieniądze, a nawet śmierć, lecz gdy wpakuje się między nich atrakcyjna kobieta, wtedy z miejsca zaczynają wariować, z miejsca uderza im do głowy samcza krew, i takie rzeczy, jak honor, interesy, pieniądze czy śmierć przestają mieć jakiekolwiek znaczenie. Bernard zaprzeczał sobie w duchu, że zazdrości trochę Jackowi, i że na samą myśl o pięknej, znanej i równocześnie nieznanej Gejszy czuje w lędźwiach słodki, nie kontrolowany skurcz. Do diabła z tym! Trzeba tylko przykazać szczeniakowi, aby pod żadnym pozorem nie wspominał dziewczynie o banku. Owszem, są pieniądze, jest wielki szmal, ale skąd, to już ich sprawa! Jej też nie będzie nikt pytał, jak dorobiła się majątku. Znowu ten skurcz! I ten przeklęty, drążący serce niepokój!

Wszedł do ustępu, przekręcił klucz, wyciągnął ze ściany kafel-mydelniczkę i sprawdził, czy kiełbasa jest na swoim miejscu. Lżej byłoby mu, mimo wszystko, gdyby ten konwojent nie kropnął w kalendarz!

10.

Może on tylko sprawdza, czy nie cieknie z rur? Kukuryk wyraźnie widział ugrzęzłe w ścianie ramię Bernarda i był z lekka rozczarowany — nie lornetką, która spisywała się znakomicie, lecz wynikiem obserwacji. Doniesienie, że ktoś grzebie w rurach, nie wystarczy, aby zmobilizować milicję. To, że Jacek romansuje od kilku tygodni z Gejszą, też o niczym nie świadczy, chociaż trudno uwierzyć, iż dziewczyna daje za darmo. Przyczajony w kuchni, z daleka od okna Kukuryk był cierpliwy: godzinami nie odrywał lornety od oczu, w związku z czym zesztywniał mu kark i rozbolały go ramiona.

Przerwa! Herbata, cygaret! Bernard opuścił ubikację, aby w kilka minut później w ogóle wyparować z kamienicy. Dobra, ale za to wlazł do ustępu młodszy brat! Zapomniał Kukuryk o herbacie i cygaretach, i znowu dźwignął lornetę do góry. Co ten drań będzie robił? Pochyli się nad sedesem, czy też usiądzie na nim? Kwestia ta nie obchodziła Kukuryka specjalnie, jako że sedes i tak był niewidoczny, o wściekłość natomiast przyprawił go fakt, że ostrożniejszy od Bernarda chłopiec ważył się rozwiązać firankę i zasłonić okno. Knuje coś bez wątpienia! Wytężał grubas wzrok, manewrował pokrętłami, lecz niewiele to dało; zeissowskie szkła nie przeniknęły tkaniny, za którą majaczył niewyraźnie jakiś cień — chyba jednak w okolicach umywalki i tego miejsca, gdzie poprzednio urzędował Bernard?

Onanizm? Samokontrola medyczna? Rączki mógłby przecież opłukać w łazience! Kwadrans minął, nim Jacek pokazał się z powrotem w pokoju, odsłoniwszy przedtem firankę w ubikacji. Zakłada kurtkę, startuje do wyjścia! Instynkt myśliwego podszepnął grubasowi, że trzeba podążyć za chłopcem. Zgarnął ze stołu papierosy i wyskoczył na klatkę schodową. Dojrzał Jacka na ulicy, ale w mieście o godzinie jedenastej, w powszedni czerwcowy dzień panował duży ruch — jezdnia była zatłoczona i zatłoczone były chodniki, chłopak zaś poruszał się żwawo, raz po raz ginął grubasowi z oczu.

Znużony, ociekający potem Kukuryk dopadł naroża al. Tadeusza Kościuszki, lecz Jacek skręcił już w ulicę Piotrkowską. Może do Grandu idzie albo do Pewexu? Trza sprawdzić jego kontakty! Przyśpieszył grubas zapominając, że skończył niedawno czterdzieści lat; jako że nie wiedział jednak nic o zawałach, nie przerażał go ucisk za mostkiem.

Główna łódzka arteria jest w południe niebywale przeciążona; nawet gość z sokolim wzrokiem nie zawsze upilnuje kochankę czy przyjaciela. Spojrzał Kukuryk w lewo i w prawo; stanął pod Grandem, wszedł do Pewexu, odwiedził Hortex, Orbis i Ratuszową, i jego sterane serce zasnuł cień wątpliwości.

11.

— Miała tu pani niedawno złote, indyjskie klipsy.

— Niedawno, to ja miałam tu wszystko — odpowiedziała przyjaźnie ekspedientka w sklepie jubilerskim nie opodal Orbisu. — Dla dziewczyny czegoś szukasz?

— Tak.

— Weź zegarek.

— Który?

— Ten. — Puknęła palcem w gablotę. — Zgrabny, skromny, w sam raz dla panny w twoim wieku.

— Wolałbym raczej jakiś drobiazg ze złota.

— To zupełnie tak samo jak ja. — Chłopak podobał się ekspedientce, nie była więc zniecierpliwiona. Poczęstowała go uśmiechem i wyjaśniła: — Złoto momentalnie wykupują: trzeba polować. Są pozłacane łyżki, chcesz zobaczyć?

— Nie, dziękuję pani. Spróbuję innym razem. — Jacek odszedł od kontuaru z miną zawiedzioną i smutną.

Co teraz? Wrócić do domu i włożyć pięćset tysięcy do worka, czy też udać się jeszcze do Jubilera przy placu Wolności? Tutaj nie wolno już nigdy przychodzić! Gdyby zobaczył mnie Bernard, byłaby ciężka awantura. Braku tych pieniędzy to on nie powinien raczej wykapować, chyba że opróżni wór i zacznie liczyć.

Nie wziąłem ani grosza i już! — Jacek ruszył do drzwi z postanowieniem, że nigdy nie przyzna się bratu do kradzieży, która w gruncie rzeczy nie była kradzieżą. — Prowadziłem motocykl, strzelałem, zarobiłem swoje. Należy mi się połowa!

Tarmosił włosy. Swędziała go skóra na czole. Nerwy. Oby jak najszybciej był wieczór! Oby jak najszybciej znaleźć się w ciepłych, kochanych ramionach Gejszy!

Pulchna, wymalowana kobieta, która wymknęła się za nim na ulicę, szepnęła cicho:

— Chodź pan.

— Gdzie?

— Do bramy.

— Po co?

— Jest trochę złotej biżuterii: łańcuszki, pierścionki, znaki zodiaku. Kiedy urodziła się pańska dziewczyna?

— W czerwcu. Siedemnastego.

— Bliźnięta — oświadczyła dama bez namysłu. — Doskonały materiał na matkę i żonę.

— Ja nie wierzę w te bzdury — powiedział bez przekonania chłopak.

— To źle. W Boga też pan nie wierzy?

— Wierzę.

— Chodź pan, chodź, bo będzie afera!

Na półpiętrze kamienicy dama otworzyła torebkę, wyjęła płócienne zawiniątko i rozsupłała je na parapecie.

— O, tu jest znak Bliźniąt. Pasuje?

— Nie.

— A kolczyki?

— Moja dziewczyna nie ma i nigdy nie będzie miała dziurek w uszach.

— Każda dziewczyna powinna mieć jakąś dziurkę.

— Pani daruje sobie trywializmy! Ile ten pierścionek?

— Dwadzieścia.

— A bransoletka?

— Sto. To nie jest bransoletka. To jest wężyk przynoszący szczęście.

Był piękny, utkany misternie z delikatnych złotych nitek, i tworzył idealny komplet z pierścionkiem bez oczka — subtelnym, uplecionym z podobnych, krągłych, zmatowiałych włosków kruszcu. Gejsza nie posądzi go o zły smak! Wlepił w damę chmurne, wrogie oczy. Handlarka! Z Istambułu pewnie przyleciała. Czerwone, podkrążone brudem paznokcie; duszący odór perfum i ckliwy, słodkawy zapach szminki. Źrenice jak u sowy, blisko nosa, cwane, zezujące i bezwzględne, wyzywające na swój sposób i odważne. Poznała się na nim. Wyczuła, że nie udaje, że naprawdę chce coś kupić.

Muszę popełniać jakieś błędy — pomyślał. I powiedział:

— Dam pani za jedno i drugie dziewięćdziesiąt.

— Dziewięćdziesiąt to ja mogę dostać za jedno i drugie u Jubilera, ale wolę nie zwracać na siebie uwagi.

Masz rację! Ja też wolę nie zwracać na siebie uwagi. Pod tym względem trafiłem dobrze!

— Sto dziesięć.

— Bierz pan.

Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni w wiatrówce i zerwał kciukiem banderolkę z paczki banknotów. Wyciągnął odliczoną po omacku kwotę.

— Proszę.

Przeliczyła raz, a potem drugi, i dopiero wtedy zaprotestowała:

— Tu jest sto.

— Nie mam więcej — skłamał. — Oddam pani przy okazji, słowo dżentelmena.

— Przy okazji lepiej żebyśmy się już nigdy nie spotkali. — Wręczyła mu wężyk i pierścionek; lustrowała go bacznie. Broń mnie, Jezu, przed takimi typami! — Wyjdę pierwsza.

— Do usług.

— Mógłby pan przynajmniej nie pajacować.

Wsparta o poręcz zdreptała na parter i zginęła w bramie. Ciągle jeszcze czuł zapach perfum. Zapuścił wzrok w studnię nieznanego podwórka, okolonego wzdłuż trzech ścian warsztatami krawców, kuśnierzy i optyków. Wróble harcowały na parapetach, jęknął w oknie wiatr; wysoko na schodach ktoś strzepywał obrus czy serwetę.

Wrócił z papierosem w zębach na Piotrkowską. Upał! Trzeba pozbyć się szybko wiatrówki i wcisnąć do worka pieniądze. Wcisnąć czy nie wcisnąć? Zobaczył Kukuryka, lecz nie przejął się tym. Mało ludzi w mieście przejmowało się Kukurykiem.

12.

Kupił coś od tej baby! W mózgu Kukuryka starły się dwie sprzeczne koncepcje: biec za Jackiem czy też porozmawiać z babą? Jacek jest ważniejszy! Ale baby może już więcej nie zobaczyć.

— Szanowanie.

— Czego?

— Chodzi o tego chłopaka, z którym była pani na schodach — zaśpiewał ciepło Kukuryk.

— Jakiego chłopaka?

— No, blondyn, wysoki w ciemnej kurtce...

— Nie widziałam żadnego blondyna.

— Utrudniacie mi prowadzenie sprawy, obywatelko!

Umalowana sześćdziesięciolatka otaksowała skromny ubiór grubasa i szybko doszła do wniosku, że jeśli on nawet współpracuje, to nie na etacie. Taki żynch! Nie ma mowy!

— Czep się, łachu! — wrzasnęła — bo zawołam milicję!

— Niech pani woła — powiedział leniwie Kukuryk.

— Chcesz?! Chcesz?! No to proszę! — Odeszła energicznie. Nie była wcale spokojna i nie zależało jej specjalnie na pogawędce z władzą.

C.D.N.

Nie tylko kronika towarzyska

Zwierzałem się już publicznie, że uwielbiam lekturę różnego rodzaju informatorów, roczników statystycznych, kronik i przeglądów. Właśnie ukazał się „INFORMATOR POLSKI '88/89". Wydały go: Polska Agencja Prasowa i Krajowa Agencja Wydawnicza. Wydawcy zastrzegają się, że stan informacji odpowiada obrazowi z 1 grudnia 1988 roku. Zastrzeżenie to jest ze wszech miar słuszne i potrzebne, bo istotnie życie poszło tak szybko do przodu, że żaden wydawca nie jest w stanie temu sprostać. Tym niemniej „Informator Polski" jest wydawnictwem ze wszech miar potrzebnym i choć kosztuje 1000 złotych za egzemplarz, polecam i radzę kupić. A teraz będzie o szybko zmieniającym się życiu.

„Informator Polski" informuje nas o stanie władz, rządu, partii i organizacji, wydawnictwach, prasie, radiu, telewizji, teatrach, naszych placówkach za granicą i zagranicznych w Polsce oraz o kościołach i związkach wyznaniowych i wielu innych dziedzinach życia społecznego, kulturalnego i naukowego w Polsce.

Po pierwsze — nieaktualny jest już skład władz najwyższych PRL. Mamy bowiem Senat PRL i będziemy mieli prezydenta. Nie będziemy mieli natomiast Rady Państwa. Również skład Sejmu PRL jest już nieaktualny. Ale trudno w grudniu 1988 roku przewidzieć, co stanie się 4 czerwca 1989 roku. O tym najśmielej myślącym ludziom nawet się nie śniło. Trudno więc mieć o to pretensje do autorów „Informatora Polskiego". Ale nawet taki spis byłych posłów Sejmu IX kadencji może się kiedyś przydać jako dokument minionej epoki. Zresztą takich dokumentów w „Informatorze Polskim" jest więcej.

Przykładem skład władz Stronnictwa Demokratycznego, skład Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR i wiele innych. W Skierniewicach nie ma już Leszka Millera, a w Słupsku Zygmunta Czarzastego. Włodzimierz Mokrzyszczak nie jest przewodniczącym CKKR a jest ambasadorem PRL w Pradze. Jego miejsce w CKKR zajął Kazimierz Cypryniak. „IP" próbuje uchwycić te zmiany, ale wszystkich nie jest w stanie odnotować.

„Informator Polski" nie jest w żadnym wypadku kroniką towarzyską, ale można się z niego dowiedzieć, gdzie kto ze znanych swego czasu ludzi przebywa obecnie. I tak Tadeusz Grabski w NRD w Berlinie, gdzie pełni rolę radcy handlowego jako minister pełnomocny. Stanisław Kukuryka jest ambasadorem w Libii. Zdzisław Krasiński — któremu do dziś Polacy nie mogą zapomnieć chrupiących buleczek — jest radcą ekonomicznym w ambasadzie polskiej w USA jako minister pełnomocny. Również w randze ministra pełnomocnego Ryszard Strzelecki-Gomułka pełni w Londynie rolę radcy handlowego. Natomiast Bolesław Kapitan jest konsulem generalnym w Leningradzie.

Z „Informatora Polskiego" możemy się dowiedzieć nr telefonu w Paryżu korespondenta Polskiego Radia i Polskiej Telewizji — byłego szefa Łódzkiego Ośrodka TVP w Łodzi — Michała Walczaka. Mamy też spis innych korespondentów polskiej prasy, radia i telewizji w stolicach Europy i świata. No i wiele innych informacji, które bywają niekiedy bardzo ciekawe, a na wspominanie których nie mam już miejsca.

Chciałbym tylko na zakończenie przypomnieć autorom „IP", że redakcja nasza już od lat mieści się w wieżowcu Centrum Prasowo-Telewizyjnego w Łodzi przy ul. Henryka Sienkiewicza nr 3/5. Na XII i XIII piętrze — jakby ktoś chciał wiedzieć dokładnie.

A poza tym wszystko w porządku.

WITOLD BOROWY

Wideonotes

FILM TV WIDEO

„Powrót wabiszczura"

Szeroki rozgłos zdobyła wśród czytelników książka **Andrzeja Makowieckiego pt. „Powrót wabiszczura"**. Nic więc dziwnego, że wzbudziła także zainteresowanie filmowców. Ekranizacji powieści podjął się reżyser — **Zbigniew Rebzda**, którego wraz z autorem i odtwórczynią głównej roli — **Janą Švandową**, aktorką z Pragi, spotkałem w wytwórni podczas przedpremierowego pokazu filmu.

— Jak pan znajduje swoją książkę w filmie? — zwracam się do Andrzeja Makowieckiego.

— Jest to bardzo wierna ekranizacja książki, aczkolwiek rozbudowany został w scenariuszu los muzyka — Plowego. Świat został wpleciony w dramat na linii: kobieta — mężczyzna, mąż — żona i dramat dziecka, które spina ich dramatyczne losy. Poza tym wątkiem i poza wątkiem mordercy — Pastucha, który w pierwszej sekwencji filmu morduje córkę Plowego i tej Niebieskookiej — Švandowej, wszystkie elementy filmu są wierną replika powieści.

— Jak więc odbiera pan film?

— Film jest świetnie obsadzony. Wspaniała rola Tadeusza Paradowicza — Plowego i Leona Niemczyka, który jest niby taki sam jak w innych filmach, a przecież — rzecz niespotykana! — w końcowej sekwencji reżyser zdołał wydusić z niego łzy. Znakomite epizody **Romana Kłossowskiego, Kotysa, Ronczewskiego, Stańkówny**, no i **Švandowa** — jest wiarygodna w swojej kreacji głównej bohaterki dramatu.

— Znane są już pierwsze oceny filmu?

— Młodzież i widzowie, mniej więcej do 40 lat, a także ci z branży filmowej i artystycznej, są filmem zafascynowani. **Anna Mironowicz-Iżykowska** na przykład twierdzi, że jest to wspaniały film festiwalowy...

— Widać słusznie skoro już został zaproszony na festiwal do Tokio.

— Tak. Jednocześnie muszę uczciwie powiedzieć, że w czasie kolaudacji został zdecydowanie zaatakowany przez stare pokolenie twórców. Szczególnie przez **Kazimierza Koźniewskiego i Jerzego Jesionowskiego**. Koźniewski powiedział dokładnie: Znakomita robota filmowa, świetnie się ogląda, ale jest to kompletne zero moralne — z czym w czasie dyskusji pozwoliłem sobie polemizować. Jest to bowiem moralitet, jest to film o walce o władzę; jest to film o potędze sztuki, a konkretnie — muzyki. Jest to wreszcie film o konflikcie pokoleń, a w pierwszym rzędzie — wstrząsająca kronika obyczajów i zachowań młodzieżowych końca XX wieku. Śmiałe sceny erotyczne, golizna i seks już wcześniej bulwersowały czytelników powieści (dwa wydania), nic więc dziwnego, że mogą również budzić sprzeciw u starszych widzów w trakcie projekcji filmu.

— Co pana zafascynowało w książce Makowieckiego? — zwracam się do reżysera, Zbigniewa Rebzdy.

— Plenery.

— Co udało się z nich pokazać w filmie.

— Udało się dużo. Zdjęcia kręciliśmy w ZSRR, w pobliżu granicy afgańskiej, tam znalazłem wspaniałe plenery. Oczywiście, trudno mówić o wiernym przekazie książki. Bardzo starannie budowaliśmy scenariusz. Ważne były w nim dwie rzeczy: muzyka, zatem aby udało się nam namówić **Czesława Niemena** do jej napisania. Kiedy udało się — właściwie była to już połowa sukcesu. Potem plenery — to dla mnie było najważniejsze. Równie ważne było skompletowanie ekipy. Z Plowym miałem największy kłopot, ale przypadkowo — jak zawsze w filmie — trafiłem na **Tadeusza Paradowicza**, który stworzył znakomitą rolę. W pierwszej wersji miał grać znakomity aktor węgierski, ale ponieważ zdjęcia opóźniły się o dwa tygodnie na skutek tego, że w Bułgarii nie mogliśmy kręcić zdjęć (koszty!) i zdecydowaliśmy się na ZSRR, Węgier nie mógł w tym czasie wziąć udziału w filmie. Była to dość dramatyczna sytuacja, nie mieliśmy głównego aktora. No i trafił nam się Tadeusz Paradowicz i... zagrał wspaniale. Były też kłopoty z główną rolą kobiecą. Chciałem, aby wystąpiła mało znana aktorka, ale dobra!, stąd gra w tym filmie świetna czeska aktorka Jana Švandowa. W gruncie rzeczy są w tym filmie dwie główne role kobiece — Hanki Stańkówny i Jany Švandowej, reszta to role męskie, gdyż jest to raczej męski film.

Czy jestem zadowolony z filmu? Wie pan, koledzy z którymi robiłem ten film są zadowoleni. Jednakże moja wyobraźnia jest znacznie bogatsza niż to, co mogłem pokazać na ekranie. Na to składają się różne okoliczności, wielu rzeczy nie można wykonać, tego znów nie ma — jak w kinie, i niestety, to co widać na ekranie nie satysfakcjonuje wyobraźni twórcy. Człowiek, który tworzy jest do końca niezadowolony z tego, co zrobił. Podam panu taki przykład: Kiedy już zgrywaliśmy film, Czesław Niemen pisał jeszcze muzykę, nad głową stał mu kierownik produkcji i wreszcie któregoś dnia o 23.00 zabrał dzieło, które następnego dnia mieliśmy zgrywać. Rano dzwoni Niemen i powiada, że pracował do 6.00 rano i napisał nową wersję, lepszą. I to było naturalne, bo w tym przypadku można było z tej lepszej wersji skorzystać. Ale ja nie mogę sobie pozwolić, aby nakręcić film w nowej wersji. Poza tym nie jestem od oceny filmu jestem człowiekiem, który to robi. Wie pan, w pewnym momencie nadchodzi coś takiego, co się nazywa twórczym zmęczeniem. Nie wolno doprowadzać do pełnego zmęczenia, gdyż popełnia się wówczas błędy. Myślę, że jestem właśnie u kresu — tak bym to nazwał. Za jakiś czas, kiedy popatrzę na film chłodnym okiem, dopiero wtedy będę mógł coś powiedzieć. Sobie. Reszta należy do widzów...

— Dziękuję.

MARIAN ZDROJEWSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

„Sztuka kochania"

Najnowszy film **Jacka Bromskiego („Zabij mnie glino")** jest komedią, anonsowaną przez twórców jako komedia erotyczna, co — wydaje się — powinno wystarczyć do przyciągnięcia rzesz kinomanów przed kasy kinowe. Ba, w dniu pokazu premierowego dało się zauważyć „koników" oferujących bilety w długim tunelu wiodącym do „Bałtyku", co jest sporym sukcesem, przynajmniej jeśli idzie o film polski.

Cała zabawa opiera się na dość prostym pomyśle (i chyba nienowym, co jest jednak bez znaczenia), wystarczającym jednak do zbudowania dowolnej ilości sytuacji mniej lub bardziej zabawnych.

„Sztuka kochania", to historia popularnego seksuologa doktora Pasikonika **(Piotr Machalica)**, który kojarzy się wielu jego entuzjastkom z ideałem prawdziwego mężczyzny, a jest — jak się okazuje — prawdziwym impotentem. Po prostu nie może. W końcu może, a droga od niemocy do mocy, to wielowątkowa treść filmu, której jednak nie będę opowiadał, żeby nie spalić dowcipu. Jak na komedię przystało, jest w niej mnóstwo zabawnych gagów, scenek obyczajowych i skeczy, a silniejszą stroną filmu są znakomite, błyskotliwe dialogi, co nie jest codziennością w polskim kinie. Miłośnicy erotyzmu mają zapewnioną strawę dla oczu i reszty zmysłów (poza dotykiem, chyba że siedzą obok pulchnej blondynki), występują bowiem dziewczyny atrakcyjne z całym dobrodziejstwem efektownych darów natury. Kapitalnie sparodiowana jest grupowa terapia seksualna prowadzona przez bohatera w jego klinice, gdzie pacjenci odstresowują się, wyzbywają kompleksów i zahamowań, obnażając dosłownie i w przenośni swe ciała i dusze. Nie brakuje mocnych scen zwanych „momentami", a pokaz osiągania pełnej gotowości seksualnej w trzy sekundy przez Japończyka goszczącego w klinice doktora Pasikonika jest imponujący, godny zazdrości i podziwu.

Co ciekawe, reżyser poprowadził intrygę pomiędzy seksuologiem a jego „odtrutką" na zanik męskości, bez podtekstów erotycznych, bowiem między nimi rodzi się prawdziwa miłość, a tej nie trzeba łączyć od razu z seksem. Mimo iż **Joanna Trzepiecińska**, odtwórczyni roli Anny (owej „odtrutki"), to zgrabna i piękna dziewczyna i warta obejrzenia „bez osłonek". Znając jednak upodobania polskich reżyserów, mamy pewność, że niebawem zostanie nam to dane.

Aktorzy odtwarzający główne role tworzą niezłą galerię postaci, grając momentami wręcz brawurowo. Nie brakuje bardzo celnych obserwacji obyczajowych, kpiny i szyderstwa z przywar czy słabostek pojedynczych ludzi i większych grup obywateli zebranych z różnych powodów do kupy. W epizodach pojawiają się równie znani i świetni aktorzy: **Bogusław Linda, Olgierd Łukaszewicz, Jadwiga Jankowska-Cieślak, Bożena Dykiel**, co dodatkowo podnosi walory filmu. Szczególnie zapada w pamięć świetny **Tomasz Lengren**, jako filozofujący na tematy życiowe dozorca.

Przypuszczam, iż film będzie miał powodzenie u publiczności, choć sugestii tej nie wysuwam — jak to zrobiła odwrotnie przewidując recenzentka łódzkiego „Expressu" — w imieniu kinomanów, bowiem gusty oglądaczy filmów są nierozpoznane i często wprawiają w osłupienie rzekomych znawców tematu. Wyrażam wyłącznie swoją opinię, co powinno wydawać się oczywiste.

MAREK KOPROWSKI

A może do kina?

Proponujemy dziś radziecką komedię obyczajową (bardzo gorzką!), pt. **„Grzesznik"** w reżyserii **Władimira Popkowa.** Bohater filmu, tokarz, z powodu swych umiejętności, solidnej pracy, ma nieustanne kłopoty. Z kolejnych zakładów pracy jest wyrzucany, gdyż zamiast opalać się — solidnie pracuje. Koledzy go nie lubią, żona ma ciągle pretensje, w końcu jednak... Ale to już trzeba zobaczyć.

Główną rolę kreuje wybitny aktor litewski **Juczas Budrajtis** („Nikt nie chciał umierać", „Wspaniałe słowo — wolność", „Blokada", „Życie jest piękne" i in.).

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

6 lipca — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

13 lipca — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z REPORTERSKIEGO DYŻURU Z DNIA 29 CZERWCA 1989 ROKU

Dyżur reporterski zaczął mi się „pod psem". Zadzwoniła bowiem nasza stała Czytelniczka — **Zofia T.** (nazwisko i adres do wiadomości redakcji), która z najwyższym oburzeniem opowiedziała zdarzenie sprzed urzędu paszportowego w Łodzi przy ulicy Ciesielskiej. W upalny dzień, w samo południe w pełnym słońcu stał mały fiat, a w nim zamknięty był duży pies owczarek. Pies niemal gotował się w tym blaszanym „opakowaniu". Zofia T. weszła więc do urzędu i zapytała, czyj to pies? Właściciel psa musiał wyjść na ulicę i otworzyć psu okno w samochodzie, aby ten miał czym oddychać. Zofia T. powiedziała mi, że 2 lata temu przed „Centralem" zdechły w zamkniętym samochodzie dwa długowłose jamniki. Ich właściciel też zamknął je w samochodzie, który postawił w pełnym słońcu.

Najlepiej byłoby nie wozić psów w upał samochodami i nie zostawiać ich w blaszanych pudłach, które na słońcu rozgrzewają się, a temperatura wewnątrz takiego postawionego na słońcu samochodu przekracza 50 stopni C.

Pan **Sergiusz Górski** ostro zaprotestował przeciw jawnej niesprawiedliwości, do której zamierza dopuścić Polska Poczta Telefon i Telegraf wprowadzając w jednych centralach liczenie rozmów co trzy minuty, a w innych nie. W tych drugich ma się to stać po 2 latach. Zdaniem pana Sergiusza Górskiego nie wolno tak dzielić ludzi.: Nie widzi on bowiem żadnego powodu, dla którego jedni mają płacić za każde 3 minuty rozmowy, a inni nie. Albo system taki ma obowiązywać wszystkich, albo nikogo.

Pan Sergiusz Górski uważa również, że jeśli miałoby się tak stać, to powinna istnieć granica czasu. Na przykład do godziny 16 obowiązuje taryfa po 9 złotych za 3 minuty, ale po godzinie 16 powinna być niższa. Telefony posiada wielu ludzi chorych, ułomnych, inwalidów, emerytów i rencistów, dla których telefon jest często jedynym łącznikiem ze światem. Oni muszą korzystać z telefonu na innych zasadach niż ludzie pełnosprawni. Mają poza tym ograniczone możliwości finansowe.

Ze swej strony mogę dodać, że na ostatniej sesji RNMŁ radni również wystąpili z interpelacją w tej sprawie. Jaka będzie decyzja PPTiT, nie wiem. Uważam jednak, że inwalidzi, renciści i emeryci powinni mieć zniżkę przy korzystaniu z telefonów. Do tego nie potrzeba żadnych urządzeń technicznych poza odpowiednio zaprogramowanym komputerem.

Na pytanie pana Sergiusza Górskiego: kiedy będziemy mieli nowego prezydenta? — nie umiem odpowiedzieć. I chyba nie tylko ja.

Pani **Regina Martulewicz**, która wierzy jeszcze w potęgę prasy, zapytała, kiedy wreszcie w Łodzi będziemy mieli nową książkę telefoniczną? Przyłączam się do tego pytania. Dokonano w Łodzi wielu zmian numerów telefonicznych. Stara książka jest nieaktualna, nowej nie ma, a do informacji dodzwonić się nie sposób. W krajach cywilizowanych takie książki ukazują się co roku, a telefonów tam kilka razy tyle, co u nas.

Pan **Zygmunt Rusek** przyznał, że szlag go trafił. A to dlatego, że 28 czerwca kupił w prywatnym sklepie przy ul. Jaracza w pobliżu Wschodniej kiełbasę, która była całkowicie niejadalna. Zapłacił za kilogram 2800 złotych. W sklepie był świadkiem jak dwoje ludzi zwracało pasztetową. Poprzednio na placu Norberta Barlickiego kupił kaszankę, której nawet kot nie chciał jeść. Czy nie ma w Łodzi nikogo, kto interesowałby się jakością produkowanej wędliny? A co zatem robi Cech Rzeźników?

Grozą powiało z opowieści pana Z. mieszkańca jednego z bloków na Manhattanie, ale dotyczy to sytuacji w innych blokach tego osiedla również. Na 7 piętrze ma swoje pomieszczenia „Inwestprojekt". Po pracy korytarze przylegające do biur „Inwestprojektu" okupuje nieletnia młodzież, która zachowuje się gorzej niż skandalicznie. Piją alkohol, załatwiają swoje potrzeby fizjologiczne bądź w windach, bądź w korytarzu, psują windy. Pan Z. (ze zrozumiałych powodów nie podajemy ani nazwiska, ani adresu) próbował interweniować, wtedy młodzieńcy wyciągnęli brzytwę i jeden z nich powiedział: — No, chodź tu ojciec! Sytuacja ta znana jest administracji osiedla. W pobliżu znajduje się RUSW Śródmieście, ale nie ma to żadnego znaczenia. Okolice RUSW Śródmieście opanowane są przez młodociane bandy. Na próbę zwrócenia milicji uwagi, że ludzie wieczorami boją się wychodzić z mieszkań, padła odpowiedź: — Przecież jeszcze nic się nie stało. — Milicja zatem czeka aż coś się stanie. Kto zatem wyzwoli łódzki Manhattan spod panowania młodocianych band?

Pani **Anna Gałkiewicz** zwróciła uwagę, że na rogu ulicy Teresy i ul. Traktorowej przez dwa lata był wykop. Wreszcie prace skończono, ale wiaty dla przystanku autobusowego linii „84" nie postawiono. Leży ona nadal na ziemi.

Pan **W.O.** (nazwisko i adres do wiadomości redakcji) buduje sobie dom, co należy pochwalić. W tym celu wystąpił o kredyt na wykończenie domu. Wniosek złożył we wrześniu 1988 roku. W maju 1989 roku przybyła na budowę komisja, aby ocenić stan jej zaawansowania. Wyrażono zgodę na udzielenie kredytu, ale miałby on wysokie oprocentowanie, bo wynoszące aż 60 procent. Pan W. O. miałby pierwszą ratę zapłacić już w styczniu 1990 roku, a wyniosłoby to 300 000 złotych. Obawia się, że nie będzie miał tylu pieniędzy na jej zapłacenie. Zastanawia się więc, czy tak wysokie oprocentowanie kredytu sprzyja rozwojowi budownictwa prywatnego?

Swoistym strajkiem grożą mieszkańcy bloku 480 przy ul. Tuszyńskiej 107/109. Dotyczy to 60 rodzin. Blok ten wybudowano w dołku. Z faktu tego należałoby wyciągnąć właściwe wnioski. Ale jak nas poinformował pan **Henryk P.** (nazwisko znane redakcji) wniosku tego nie wyciągnięto. Teraz przy każdym ulewnym deszczu piwnice bloku 480 są zalewane i woda wyrządza lokatorom poważne szkody. Na przykład pan Henryk P. stracił co najmniej 300 000 złotych na zalanych wodą i zniszczonych przez nią książkach. Mieszkańcy bloku 480 chętnie zajęliby się uporządkowaniem terenu wokół bloku, ale wszelkie propozycje pod adresem SM „Chojny" nie przynoszą żadnych skutków. Pracownicy administracji tej spółdzielni odnoszą się w sposób arogancki do interesantów, nie odpowiadają na pisma, nie interesują się sprawami mieszkańców administrowanego przez siebie osiedla. Mieszkańcy bloku 480 zastanawiają się więc nad tym, czy nie zaprzestać płacić czynszu. Bo niby za co płacą?

Od 9 do 11 czerwca 1989 roku odbywały się Dni Bełchatowa. Pani Anna W. z Bełchatowa nawet nie jest temu przeciwna. Nic podobnego. Chce tylko, aby organizatorzy zdobyli się na odrobinę wyobraźni i pomyśleli również o mieszkańcach Bełchatowa. Pani Anna W. mieszka na Osiedlu Dolnośląskim w bloku 33. W niewielkiej odległości od tego budynku znajduje się amfiteatr z muszlą koncertową. W dniach 9-11 czerwca rano w muszli grała orkiestra dęta, a wieczorem odbywała się dyskoteka. Trudno było wytrzymać. We wrześniu odbywają się w Bełchatowie Dni Energetyka. Może być podobnie. Wszelkie interwencje — w tym w milicji i Wydziale Kultury UM — nie przyniosły skutku.

W czasie Dni Bełchatowa — mówiła dalej pani Anna W. — odbywał się kiermasz. Wisiał tam wielki transparent: „Warszawa mieszkańcom Bełchatowa". Otóż Warszawa mieszkańcom Bełchatowa ofiarowała... ryby i konserwy rybne. Ludzie się nawet cieszyli, bo mogli te konserwy kupić. Ale brzmiało to głupio. Bo niby, dlaczego Warszawa oferuje... ryby? Gdyby to zrobił Szczecin, Gdańsk czy Gdynia — to byłoby zrozumiałe.

Pan **Zbigniew Zatorski** (adres do wiadomości redakcji) mieszka na Radogoszczu. Jego żona otrzymuje alimenty. Na Radogoszczu — nowa poczta przy ul. Zgierskiej w pobliżu Helenówka nie ma listonosza, który roznosiłby listy i przekazy. Z poczty przy ul. Marcelego Nowotki wyszły już 3 przekazy na łączną sumę *24 000 złotych*. Do adresatki nie dotarły. Poczta przy ul. Zgierskiej nic o tym nie wie i radzi udać się na ul. Zgierską 2, gdzie może przekazy leżą i czekają na odbiorcę. Żona pana Zbigniewa Zatorskiego nie ma czasu, opiekuje się małym dzieckiem. Sytuacja robi się nienormalna. Poczta przyjmuje pieniądze i poczta nie dostarcza ich adresatowi. Nie wywiązuje się z zobowiązania. Adresat musi więc biegać po mieście i szukać swoich pieniędzy. Co w końcu klienta poczty obchodzą jej kłopoty z zatrudnieniem listonoszy?

Żona pana Zbigniewa Zatorskiego stanęła w kolejce dla uprzywilejowanych w sklepie mięsnym przy ul. Ziołowej z dwoma podstemplowanymi kartkami, które uprawniają ją do zajęcia miejsca w takiej kolejce. Ale to okazało się za mało. Dziecka z sobą nie miała, więc kazano jej iść do domu po książeczkę zdrowia dziecka. Poszła. Gdy wróciła z książeczką, w sklepie nic już nie było. Czego to ludzie nie wymyślą, aby sobie utrudniać życie?

Pan **Mariusz G.** telefonował to redakcji 15 czerwca 1989 roku, podczas dyżuru Pawła Tomaszewskiego. Skarżył się na Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami UD Śródmieście, który nie odpowiadał mu na podania złożone w sprawie działki budowlanej. Pan Mariusz G. — jak teraz przyznał — złożył podania na kilka konkretnych działek, licząc się, że któreś z podań „wypali". Stało się inaczej. Otrzymuje teraz odpowiedzi i wszystkie są jednobrzmiąco odmowne. Dowiedział się jednak, że otrzymują takie działki ludzie, którzy mieszkają oddzielnie, trzeba więc im pomóc w zbudowaniu własnego domu. Założenie słuszne, ale pan Mariusz G. podejrzewa, że w kilku przypadkach jest to tylko inne miejsce zameldowania i to fikcyjne. Zatem sposobem na otrzymanie działki jest fikcyjny meldunek? — pyta rozgoryczony. Nie potrafię na to odpowiedzieć.

BOGDA MADEJ

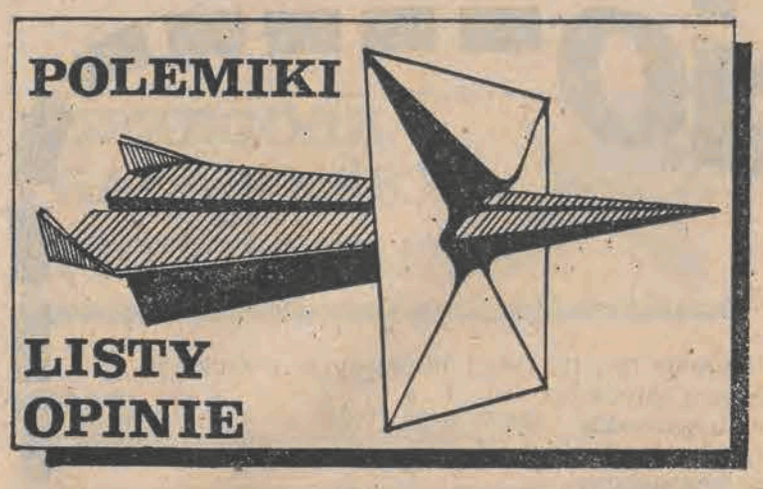

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

A PO WOJNIE DO PRACY W OJCZYŹNIE

W nr 22 (1626) „Odgłosów" z 28 maja 1989 r. przeczytałem, nie bez radości i satysfakcji anons, że w najbliższych numerach Waszego poczytnego pisma ukazywać się będą w odcinkach wspomnienia ppor. Stanisława Wiącka zam. obecnie w Pabianicach. Temu wspaniałemu partyzantowi Ziemi Kieleckiej z OP „Jędrusie" należy się, po dokonanej już przed laty przez Sąd Najwyższy rehabilitacji, także i tego rodzaju prasowa rehabilitacja.

Jestem (b. partyzantem „Jędrusia" i b. podkomendnym ppor. Stanisława Wiącka ps. „Inspektor". W ostatniej fazie działań partyzanckich (1944 r.) był on moim d-cą I plutonu „Jędrusiów", ja zaś w jego plutonie, jako kpr. pchor. d-cą I drużyny. Pod jego rozkazami przeszedłem cały ówczesny szlak bojowy „Jędrusiów", byłem ranny, ale wojnę na szczęście przeżyłem. Miałem pseudonim „Tadek Łebek" vel „Łebek". Kiedy w 1943 r. na wiosnę dołączyłem do Oddziału, byłem najmłodszym partyzantem i stąd mój pseudonim. W organizacji „Odwet" założonej w Tarnobrzegu przez Władysława Jasińskiego „Jędrusia", w której znalazłem się już w 1940 roku, a z której narodził się „Jędrusie", miałem pseudo „Mały Tadek".

Trochę zaskoczyło mnie w anonsie zdanie, że „Stanisław Wiącek jest ostatnim żyjącym żołnierzem oddziału legendarnego „Jędrusia". Mój serdeczny przyjaciel i towarzysz broni ppor. Stanisław Wiącek ps. „Inspektor" (a nie jak wydrukowano w I odcinku: „Imperator") jest rzeczywiście ostatnim żyjącym partyzantem, ale spośród tych, którzy w maju 1941 r. dokonali akcji bojowej na nadleśnictwo pod zarządem niemieckim w Szczecu. Wtedy oddział liczył już kilkunastu ludzi m. in. należeli do niego także Józef Wiącek „Sowa" (starszy brat Stanisława), Andrzej Skowroński „Andrzej — Konar", Zdzisław de Ville „Zdzich", Marian Gorycki „Polikier" i wielu innych. Ale na tę pierwszą akcję „Jędruś" wyznaczył tylko ośmiu. Byli to, prócz Władysława Jasińskiego (poległ 9.I.1943 r.): Franciszek Kasak „Mały Franek", Józef Kasak „Duży Franek", Franciszek Motyka „Franek" (wszyscy trzej zginęli w 1942 r. w Oświęcimiu), Antoni Toś „Antek" (poległ z „Jędrusiem" 9.I.1943 r.), Józef Gorycki „Józek" (zginął 11.IV.1944 r.), Franciszek Stala „Kuwaka" (zmarł po wojnie) i Stanisław Wiącek „Inspektor", który — mimo ran odniesionych w walkach partyzanckich i piekła na ziemi, które przeszedł po wojnie — żyje jako jedyny z tej ósemki.

W miarę upływu czasu Oddział rozrastał się, przybywali nowi ludzie, zwłaszcza młodzież harcerska i gimnazjalna należąca do „Odwetu".

A miał wówczas „Odwet" zasięg ogromny: od Tarnobrzega, poprzez Mielec, Dąbrowę Tarnowską, Tarnów i Kraków aż do Nowego Sącza, od Rzeszowa po Przemyśl, od Niska aż na Lubelszczyznę, od Sandomierza poprzez Opatów, Ostrowiec Świętokrzyski do Kielc i Iłży. W tej chwili żyje jeszcze w kraju i poza jego granicami kilkudziesięciu „Jędrusiów". Niektórzy cieszą się dobrym zdrowiem, działają jeszcze zawodowo, współpracują z harcerzami, upamietniają miejsca, gdzie polegli ich koledzy, wznoszą pomniki, fundują tablice pamiątkowe (głównie z własnych składek, działając na polu kulturalnym, społecznym i politycznym. Są to w większości jeszcze ludzie energiczni. Kiedy przychodzili do lasu mieli po 16 i 17 lat. Niektórzy jeszcze mniej! Np. „Konus" liczył sobie 15 lat, gdy niemiecki pocisk rozerwał mu staw łokciowy...

Ich dewizą była ostatnia zwrotka z pieśni, ułożonej w 1942 roku:

„Gdy bój się już skończy, gdy padnie już wróg,
z nas żaden nie spocznie zmęczony,
do pracy w Ojczyźnie rzucimy swój zew!
My, szare „Jędrusia" plutony..."

Wielu za walkę z wrogiem zapłaciło kazamatami, wielu ukrywało się, podobnie jak inni żołnierze Armii Krajowej, aż do amnestii w 1947 r.

Reportaż red. Ryszarda Binkowskiego o Stanisławie Wiącku „Inspektorze" daje nam pewnego rodzaju satysfakcję. Ale, jak to bywa w reportażach zdarzają się autorom potknięcia. Więc chciałbym wyjaśnić, że najpierw było rozbicie więzienia w Opatowie (12.III.1943 r.), a dopiero później w Mielcu (29.III.1943 r.), skąd „Jędrusie" wyzwolili mego ojca, prof. Zygmunta Szewerę ps. „Cyklop", z-cę Komendanta Obwodu AK Tarnobrzeg, najbliższego współpracownika Władysława Jasińskiego, autora wielu artykułów w tajnej gazecie „Odwet".

I jeszcze jedno: Autor reportażu pisze, że „Rada Państwa nadała mu (Stanisławowi Wiąckowi) odznaczenie po 22 latach w 1965 r. — Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari". Wyjaśniam, że nie nadała, a zweryfikowała odznaczenie nadane w 1943 r. przez Kapitułę PSZ w Londynie. Wówczas i mnie zweryfikowano nadany w 1944 r. przez D-ctwo AK Krzyż Walecznych. Tekst legitymacji brzmi:

„Zaświadcza się, że Obywatel (tu jest nazwisko) *za udział w walkach z hitlerowskim okupantem w latach 1939—1945 został przez kompetentne władze odznaczony Krzyżem Walecznych".*

Wielu z nas szczyci się wysokimi odnaczeniami państwowymi, nadanymi nam za pracę w Polsce Ludowej. Ale chciałoby się mieć w legitymacji weryfikacyjnej adnotację, że *„kompetentne władze w latach wojny"*, to było D-ctwo Armii Krajowej. Ale tego już nie zmienimy tak, jak nie zmienimy wpisów w książeczkach wojskowych: „szeregowy" mimo, że uzyskaliśmy przeróżne stopnie.

TADEUSZ SZEWERA

DLA DZIECI W ZGIERZU

„Myślałyśmy, że dzień będzie smutny i ponury, że będziemy w swoich pokojach na białej pościeli wśród białych fartuchów pielęgniarek... Okazało się, że mimo bolesnych zastrzyków, tęsknoty za mamą — był dniem bardzo uroczystym i wesołym".

Jest to fragment wypracowania Renaty — uczennicy klasy VI Szkoły Podstawowej przy ZOZ Szpitala im. M. Skłodowskiej-Curie w Zgierzu, który sprowokował mnie do napisania listu.

Ogromnym przeżyciem dla uczniów szkoły była wizyta władz i przekazanie przez nie telewizora do odbioru programu w kolorze, ufundowanego przez „Pewex", który dokonał wpłaty na Narodowy Fundusz Czynu Pomocy Szkole. Szkoła otrzymała również wiele gier stolikowych i zabawek dla przedszkolaków od Członków Zgierskiego Klubu Honorowych Dawców Krwi i ZM TPD w Zgierzu. Dzieci otrzymały drobne upominki.

mgr JANINA MAJOREK

MY, IGNORANCI PRAWA I... ŻYCIE

Kolejna fala dyskusji dotyczy problemu już poczętego, ale jeszcze nie narodzonego — ustawy o prawnej regulacji dziecka poczętego (ale jeszcze nie...). W tonacji tej dyskusji przeraża jedno: z jaką łatwością chcemy rozwiązać nasze moralne rozterki za pomocą uregulowań prawnych. Głównym argumentem przeciwników nowej ustawy jest twierdzenie, że prawo nie powinno tak daleko ingerować w sferę prywatności życia, że kwestia przerwania ciąży to kwestia intymnego życia człowieka i winna być pozostawiona jego własnej decyzji. Słysząc te argumenty nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest to jedyny przypadek unicestwiania życia (zabójstwa?) potraktowany tak wyborczo.

To prawda, że nie ma środków antykoncepcyjnych, że edukacja seksualna jest niewystarczająca, że, wreszcie, brak jest żłobków, przedszkoli, szkół, wyprawek dla niemowląt, książek dla dzieci i czasu na wychowanie tychże dzieci. Ale jest to zupełnie inna, końcowa droga, czy raczej odcinek drogi. Przede wszystkim sami (same?) musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, od którego momentu w naszym ciele narodził się, począł człowiek. Czy „to" co ma dwa, trzy, cztery tygodnie — to już dziecko, człowiek, czy jeszcze nie. Jeśli nie, więc co?

Prawo wkroczyło już w sferę pewnych przejawów życia w łonie matki: tak więc np. dziecko poczęte, ale jeszcze nie narodzone ma prawo do dziedziczenia (tzw. nasciturus). I co do tego rozwiązania wszyscy są zgodni — w tej materii nie ma sporu — czy dziedziczy człowiek czy...?

Fakt ciąży kobiety uprawnia ją do otrzymania 4-kilogramowej kartki na mięso (takie jest życie, wszak nie żyjemy w abstrakcyjnej czasoprzestrzeni, tylko tu i teraz!). A np. fakt posiadania psa, kota czy złotej rybki — nie.

Fakt ciąży stanowi także podstawę do żądania przydziału dodatkowej powierzchni mieszkaniowej — a zatem kolejny raz wyrażony jest pogląd, że będzie z „tego" człowiek, człowiek mający prawo do wykorzystania tej powierzchni. Czy zatem nie ma on prawa do życia? Żąda się, aby decyzję o przerwaniu ciąży pozostawić moralnemu wyborowi kobiety. A fakt podjęcia decyzji o poczęciu? Czy podjęcie współżycia fizycznego (pomijam sprawę gwałtu) nie ma być decyzją przemyślaną, a tylko głosem natury? Czy możliwość i prawo do zabijania ex post ma usprawiedliwić brak wspomnianych środków antykoncepcyjnych i zaplecza socjalnego?

Z pewnością błędem proponowanej ustawy jest przesunięcie punktu ciężkości na kwestie odpowiedzialności karnej matek, a więc eksponowanie prawnych regulacji. Myślę, że nie w tej płaszczyźnie należałoby szukać generalnych rozwiązań, choć niewątpliwie sprawa codziennego zabijania nie narodzonych dzieci w Polsce musi znaleźć polskie rozwiązanie, także w sferze prawnej. Nie można tylko powoływać się na rozwiązania w systemach prawnych innych państw, gdyż ich sytuacja jest zwykle inna (tak gospodarcza, jak i polityczna, społeczna, kulturowa). Choć i w krajach daleko bardziej zamożnych niż my, decyzji o poczęciu i narodzinach dziecka nię podejmuje się w oparciu o dostatek dóbr na rynku. Wiadomo, że najniższy odsetek urodzin jest w RFN, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii...

Mam wrażenie, że my, Polacy (Polki?) ciągle otoczeni jesteśmy świętoszkowatymi ignorantami prawa, tak, że znienawidziliśmy i świętości, i prawo. Jesteśmy nazbyt dumni, żeby zabiegać o uznanie własnych rozwiązań, i nazbyt próżni, aby satysfakcjonować się rozwiązaniami innych. Jesteśmy trzeźwymi realistami zabłąkanymi wśród uduchowionych mentorów, tak, że stajemy się antypapiescy, nie przeczytawszy ani „Biblii" ani „Kapitału".

BARBARA KEMPA

CO DZIEJE SIĘ Z DOKUMENTAMI O ZHP

Jako były członek „Szarych Szeregów" (ule Kominy i Rady) i długoletni instruktor ZHP chciałbym ustosunkować się do treści tej wypowiedzi. Sprawa ukierunkowania kształcenia i wychowania polskiej młodzieży harcerskiej nie jest dyskutowana po raz pierwszy. Mimo zmian w postaci numeracji Zjazdu ZHP, roty i prawa, i przyrzeczenia harcerskiego nie zadowala w pełni ludzi pragnących podniesienia rangi harcerstwa jako ruchu, a nie organizacji kierowanej przez narzucone władze i setkami pracowników zawodowych, którzy sądzą, że posiedli wszystkie stopnie wtajemniczenia i mają prawo sami decydować o tym, co dla harcerstwa jest dobre, a co złe. W ostatnim 50-leciu przewinęło się przez związek szereg osób, którym wydawało się, że stanowią fundamenty odnowionego ruchu harcerskiego.

Na początku lat siedemdziesiątych byłem jednym z tych, którzy protestowali przeciwko ówczesnej polityce Jacka Kuronia, pracownika GK ZHP, któremu wydawało się, że wynaleziona przez niego metoda zdobywania „mian", „sprawności zespołowych" jest jedyną słuszną metodą dążącą do rozpowszechniania ruchu.

Od tego właśnie się zaczęło. Zdawało się, że będąc przeciwnikiem tej „słusznej" metody jestem wrogiem „nowego" wychowania harcerskiego. Jaka była ta metoda, pokazały przyszłe lata, które wykazały załamanie się tej doktryny. Sprawności zespołowe zdobywali na równi ci, którzy pracowali nad nimi, ale i ci, którzy nic nie robili, lecz uzyskiwali je z pozycji uprzywilejowanych, dzięki różnym układom.

Ta „sprawiedliwość społeczna" doprowadziła do tego, że harcerstwo przestało zyskiwać zaufanie społeczeństwa, które teraz zastanawiało się nad tym, czy powierzyć mu opiekę i bezpieczeństwo swoich dzieci. Tracono zaufanie do wychowania „harcerskiego" lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a i dzieci coraz częściej kombinowały, taby nie silić się na „społeczne" przedłużanie metod szkolnych w pracach zastępów i drużyn.

Obstawanie przy „kuroniowskich" metodach powodowało, że coraz więcej młodzieży szkolnej przymuszanej do pracy harcerskiej uważało ją za „dopust Boży", a wykonywano tę pracę bez zastanowienia, czy przyniesie ona jakiś pożytek, porzucając ją kiedy zadecydowano, iż staje się ona dobrowolną, a nie przymusową.

Na początku lat osiemdziesiątych w drużynach harcerskich kształtowały się tendencje do wychowania patriotycznego za pomocą tradycji sięgających „Szarych Szeregów", co nie zawsze spotykało się z aplauzem harcerskiej „góry". Harcerski szczep im. Jędrusiów z Łodzi walczył przez kilka lat o zezwolenie na zatwierdzenie swojej nazwy, zanim łaskawie na nią pozwolono. Utarła się wtedy opinia, że nawet i patriotyzm młodzieży dzielono na ten lepszy i ten gorszy, z których w pierwszym pojęciu „góry" należało w pierwszym rzędzie eksponować. Tak więc udział harcerzy-kombatantów w pracach „Szarych Szeregów", WISS i AK był niemile widziany.

Przez całe lata pozbawieni możliwości uczczenia towarzyszy broni wmurowaliśmy tablice pamiątkowe w mury i filary kościołów różnych miast i miasteczek (Gniezno, Szydłowiec, Przysucha, Radom itp.). Było to w onych czasach groźnym wystąpieniem zagrażającym socjalizmowi. Czy spotkania przy tych tablicach pod murami kościołów nie będą w dobie „świeckości" związku uznawane za „poważne naruszenie statutu"?

Z przykrością musze stwierdzić, że harcerskie pisma instruktorskie nie mogą lub nie chcą udzielać odpowiedzi na takie pytania.

Obchodzimy w 1989 r. 50-lecie napaści hitlerowskiej na Polskę. Harcerstwo łódzkie ma olbrzymi wkład w pomoc wojsku polskiemu. Wiele jednak dokumentów przechowywanych w instytucjach harcerskich, dokumentów, które potwierdziły ten udział po prostu „wyparowało". Nikt z lokalnych władz harcerskich o nich nie wie. Czy obecnie da się przekonać nieufnych świadków tamtych wydarzeń do podzielenia się swoimi wspomnieniami z kadrą ZHP?

Kto zapewni, że nasze bogate zbiory historyczne skompletowane w Izbie Historii KCH nie zostaną ponownie „zarekwirowane" i ukryte w imię „naprawy historii", jak to czyniono dawniej?

MIECZYSŁAW KOZAK

JEST NA CHOJNACH SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA

Mój dobry znajomy, wyposażony w materiały otrzymane na Walne Zebranie Przedstawicieli SM „Chojny" stawił się tam punktualnie. Wszakże jego spółdzielnia obchodziła mały „Jubileusz" — X-lecie istnienia i przez ten okres zmieniło się kilku dyrektorów, ale trzon aktywu spółdzielczego pozostał ten sam.

Walne Zebranie Przedstawicieli, jako najwyższej władzy spółdzielni w zasadzie niczym się nie różniło od zebrań poprzednich. Nawet czterostronicowego protokołu z poprzedniego zebrania przedstawicieli nie raczono odczytać. Po co? Protokół był wyłożony do wglądu w biurze spółdzielni na 14 dni przed zebraniem.

Na sali dało się zauważyć większość etatowych pracowników spółdzielni. Statut tego nie zabrania. Widocznie odnowa życia polityczno-gospodarczego utknęła gdzieś na peryferiach Pabianic i nie dotarła do Łodzi. Mój znajomy nie lubi głosować w ciemno i słusznie. Miał chyba nosa. Na poprzednim zebraniu poruszył sprawę sprzedaży działek przy ul. Błękitnej. W protokole żadnej wzmianki nie było, aczkolwiek w sprawie tej zapadła uchwała.

W myśl statutu SM „Chojny" co roku następuje wymiana 1/3 składu rady nadzorczej. Myliłby się członek spółdzielni, który oczekiwałby ujrzenia nowych twarzy spośród zgłoszonych kandydatów do rady.

Jubileusz X-lecia SM „Chojny" nie może przesłonić mieszkańcom osiedla spraw i problemów z jakimi borykają się na co dzień. Oni to widzą i odczuwają na własnej skórze. Jeżeli nie da się załatwić od ręki bodaj najmniejszej sprawy w zarządzie spółdzielni, radzie nadzorczej, czy radzie osiedla, to członek spółdzielni automatycznie traci zaufanie. W rezultacie czego, ubolewamy nad małą frekwencją na corocznych zebraniach środowiskowych, gdzie na 800 członków spółdzielni na zebranie przychodzi raptem 30 członków. Już to samo daje wiele do myślenia. Ludzie dziś patrzą na czyny i fakty, nie puste słowa bez pokrycia w rzeczywistości.

A cóż znaczy zarząd spółdzielni, rada nadzorcza, rada osiedlowa, jeżeli nie ma poparcia wśród członków spółdzielni? Nic! Absolutnie nic! Potrzebny jest silny zarząd spółdzielni, silny samorząd i rada nadzorcza, zatwierdzająca nie tylko kolejne podwyżki czynszów.

Członkowie spółdzielni chcieliby wiedzieć na co wydawane są pieniądze, pochodzące z ich kiesy? Kto instytucjonalnie i imiennie odpowiada za istniejący bałagan i marnotrawstwo materiałów budowlanych niszczejących na budowie, czy też w magazynie pod gołym niebem na placu Zespołu Wykonawstwa Własnego, w postaci zlasowanego wapna i cementu? Czy ten zespół daje zyski czy przynosi straty? O tym nie wspomina się w materiałach, oprócz wykonywania planów. Ale takie pytania padały z trybuny Walnego Zgromadzenia Przedstawicieli, chociaż była to jubileuszowa uroczystość. Jak zwykle, nikt konkretnie nie mógł na nie odpowiedzieć. Ale uchwałę o premii podjęto jednogłośnie.

JAN WIŚNIEWSKI

„RUBINOWA HORTENSJA" PO RAZ 24

W Piotrkowie Trybunalskim po raz 24 ogłoszono Ogólnopolski Konkurs Literacki o **„Rubinową Hortensję"**. Kto chce wziąć udział w tym konkursie musi nadesłać do Piotrkowa Trybunalskiego do **31 sierpnia 1989 roku** nie publikowane do tej pory utwory poetyckie lub prozę.

Warunki konkursu są takie:

1. Trzeba nadesłać 3 utwory poetyckie bądź prozę do 15 stron maszynopisu.

2. Proza i poezja muszą być w 5 egzemplarzach!

3. Konkursowe utwory muszą być podpisane godłem, a w kopercie tym godłem oznaczonej, dokładne dane autora.

4. W konkursie nie mogą uczestniczyć członkowie ZLP. (Podobne zastrzeżenie powinno się odnosić również do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich — Red.).

5. Konkursowe prace należy nadsyłać pod adresem: **Zarząd Wojewódzki ZSMP, al. 3 Maja 4, 97-300 Piotrków Trybunalski.**

Dodatkowych informacji udziela **Longin Mazik**, jego telefon w Piotrkowie Trybunalskim: **47-45-70.**

Nagrody: w dziale poezji od 40 do 15 tysięcy, a w dziale prozy od 50 do 20 tysięcy złotych.

PGM-y — WYJAŚNIAJĄ

ŁÓDŹ-GÓRNA: — W sprawie zameldowania przy ul. Suwalskiej 1 nie można udzielić wyczerpujących wyjaśnień z powodu braku dokładnych danych.

— Należność za zimną wodę w lokalu 72 przy ul. Pabianickiej 74/76 była naliczaną według danych o zameldowaniu. Po skorygowaniu liczby zamieszkujących osób — opłatę zmniejszono, a zainteresowanych powiadomiono.

ŁÓDŹ-POLESIE: — Do 30 lipca ROM I na Kozinach naprawi chodnik i trawnik przy ul. Ossowskiego na rogu ul. Jana Długosza.

— Zwłoka w naprawie stolarki w oknach w mieszkaniu Andrzeja Piątczaka w domu przy ul. 22 Lipca 56 m. 9 powstała z powodu braku tarcicy. Zainteresowanemu zaproponowano załatwienie tej sprawy we własnym zakresie (u prywatnego stolarza) i zwrot poniesionych kosztów na podstawie rachunków.

ŁÓDŹ-ŚRÓDMIEŚCIE: — Jest już dokumentacja dla remontu domu przy ul. H. Sienkiewicza 61, jest wykonawca — Spółdzielnia „Centrum", ale nie ma lokali zastępczych dla 12 lokatorów.

— Istotnie pracownik zachował się arogancko wobec petenta, ale była to reakcja na chamstwo tegoż petenta. Tym niemniej pracownikowi zwrócono uwagę i przy okazji wszystkim innym, aby nie dali się prowokować i zachowywali się grzecznie wobec petentów. Byłoby też wskazane, aby petenci ze swej strony zachowywali się podobnie.

SPROSTOWANIE

W drugim akapicie „Przeglądu prasy" (nr 27) wkradł się nie z mojej winy absurdalny błąd. W rzeczywistości 96 proc. młodych małżeństw zamierza mieć dzieci, a nie — jak wydrukowano — aż trzy dzieci. W hierarchii wartości młodzieży liczna rodzina znajduje się na ostatnim miejscu.

E.L.

POLMOZBYT

ogłasza

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż niżej wymienionych pojazdów w trybie I na zasadach ustalonych Uchwałą nr 3, Rady Ministrów z dn. 23.01.1989 r., § nr 5.

Lp.	Marka samochodu	rok prod.	nr silnika	nr podw.	cena wywoł.
1.	FSO 1,5 C	1988	328653	2407233	3.854.200,—
2.	FSO 1,5 C	1987	1078363	2339344	2.817.300,—
3.	FSO 1,5 L	1989	378044	2430385	4.001.600,—
4.	FSO 1,5 L	1988	331111	2403887	3.231.047,—
5.	FSO 1,5 L	1988	335466	2407893	3.557.500,—
6.	FSO 1500 L	1988	335217	2407462	3.069.502,—
7.	Polonez 1600	1988	10071	283132	6.677.491,—
8.	Polonez 1600	1988	10985	287302	6.298.945,—
9.	Polonez 1600	1988	11208	288439	6.729.800,—
10.	Polonez 1500	1988	346328	294948	6.936.800,—
11.	Polonez 1500	1988	344200	286547	6.374.300,—
12.	Polonez 1600	1988	9958	282760	7.417.800,—
13.	Polonez 1500	1988	383834	329121	7.333.732,—
14.	Polonez 1500	1989	3807681	326283	7.227.802,—
15.	Polonez 1500	1988	354062	300430	6.917.223,—
16.	Polonez 1600	1988	10761	287169	7.083.300,—
17.	Polonez 1600	1988	11180	288394	7.158.686,—
18.	Polonez 1600	1988	12166	295095	6.915.500,—
19.	Polonez 1500	1988	330370	283734	6.989.100,—
20.	Fiat 126p FL	1987	9887635	19242836	1.246.800,—
21.	Fiat 126p FL	1987	6020736	9210353	1.654.356,—
22.	Fiat 126p FL	1988	996950	9321332	1.514.600,—
23.	Fiat 126p FL	1988	9964062	9316778	1.600.600,—
24.	Fiat 126p Bis	1988	3009618	3009463	2.533.200,—
25.	Fiat 126p Bis	1988	3012791	3012970	2.197.060,—
26.	Fiat 126p Bis	1988	3010533	3010548	2.238.800,—
27.	Fiat 126p FL	1987	9778973	19144940	1.352.436,—
28.	Fiat 126p E	1987	9777036	19137907	1.171.050,—
29.	Fiat 126p FL	1988	9934154	9287603	1.678.977,—
30.	Polonez 1600	1988	10303	284319	7.417.000,—
31.	FSO 1500 ME	1988	347207	2416809	4.100.000,—
32.	Fiat 126p FL	1988	9879139	9259555	1.646.000,—
33.	Polonez 1600	1988	11221	288577	7.347.000,—

Przetarg odbędzie się 10 lipca 1989 r. o godz. 8 w Łodzi przy ul. Brukowej 16.

Pojazdy oglądać można w dn. 7 lipca 89 r. w godz. 8—11 i 12—14 w Łodzi przy ul. Puszkina w Stacji Obsługi nr 8 od poz. 1 do 29.

Natomiast poz. 30 do 33 oglądać można w Łodzi przy ul. Brukowej 16.

Protokoły wraz z ocenami technicznymi dotyczącymi stanu technicznego pojazdów będą udostępnione przy oględzinach. Przystępujący do licytacji winien wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywołania w kasie przedsiębiorstwa przy ul. Przybyszewskiego 195 w dniu 7 lipca 1989 r. w godz. 8—13.

Dopłata do wygranego przetargu musi nastąpić w ciągu 24 godz. od przetargu.

PP POLMOZBYT zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargu w całości lub w jego części bez podania przyczyny.

W przypadku wpłaty wadium na poczcie lub banku nasze konto jest następujące: 374606-55 PBK w Warszawie V/O Łódź.

2416/k

POLMOZBYT

ogłasza

PRZETARG OGRANICZONY

na sprzedaż niżej wymienionych pojazdów w trybie I na zasadach ustalonych Uchwałą nr 3, Rady Ministrów z dn. 23.01.1989 r., § nr 5.

Lp.	Marka sam.	rok prod.	nr silnika	nr podw.	cena wywoławcza
1.	Trabant lim	1989	4211902	2144836	1.500 000,—
2.	Trabant lim	1989	4210206	2142483	1.500 000,—
3.	Trabant lim	1989	4211600	2144119	1.500 000,—
4.	Trabant lim	1989	4211609	2143916	1.500.000,—
5.	Trabant lim	1989	4211584	2143018	1.500 000,—
6.	Trabant lim	1989	4211613	2143846	1.500 000,—
7.	Trabant lim	1989	4205442	2135792	1.500.000,—
8.	Trabant lim	1989	4206357	2137177	1.500.000,—
9.	Trabant lim	1989	4204797	2135364	1.500 000,—
10.	Trabant lim	1989	4204699	2135116	1.500 000,—
11.	Trabant lim	1989	4205606	2135721	1.500 000,—
12.	Trabant lim	1989	4205154	2135892	1.500.000,—
13.	Trabant lim	1989	4204989	2134560	1.500 000,—
14.	Trabant lim	1989	4204984	2135328	1.500.000,—
15.	Trabant lim	1989	4206178	2137250	1.500.000,—
16.	Trabant lim	1989	4206063	2137054	1.500 000,—
17.	Trabant lim	1989	4204679	2134700	1.500.000,—
18.	Trabant lim	1989	4204684	2134433	1.500 000,—
19.	Trabant lim	1989	4204694	2134504	1.500.000,—
20.	Trabant lim	1989	4205602	2136554	1.500 000,—
21.	Trabant lim	1989	4205126	2135767	1.500 000,—
22.	Trabant lim	1989	4205159	2135643	1.500 000,—
23.	Trabant lim	1989	4205582	2136120	1.500 000,—
24.	Trabant lim	1989	4204994	2135121	1.500 000,—
25.	Trabant lim	1989	4205014	2134682	1.500 000,—
26.	Trabant lim	1989	4204828	2131560	1.500.000,—
27.	Trabant lim	1989	4196228	2123636	1.500 000,—
28.	Fiat 126p FL	1989	9480593	6144519	1.500.000,—
29.	Fiat 126p Bis	1989	3109971	3112659	1.813.000,—

Przetarg odbędzie się w dn. 14 lipca 1989 r. o godz. 8 w Łodzi przy ul. Brukowej 16.

Pojazdy oglądać można w dn. 11 lipca 1989 r. w godz 8—11 i 12—14 w Łodzi przy ul. Brukowej 16.

Protokoły wraz z ocenami technicznymi dotyczącymi stanu technicznego pojazdów będą udostępnione przy oględzinach. Przystępujący do licytacji winien wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywołania w kasie przedsiębiorstwa przy ul. Brukowej 16 w dn. 11.07.89 r. w godz 8—13.

Dopłata do wygranego przetargu musi nastąpić w ciągu 24 godz. po przetargu

PP POLMOZBYT zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargu w całości lub w jego części bez podania przyczyny.

W przypadku wpłaty wadium na poczcie lub banku nasze konto jest następujące: 374606-55 PBK w Warszawie V/O Łódź.

2417/k

casio

- Sumatory biurowe 10-, 12-, 14- i 16-pozycyjne z drukarką i wyświetlaczem optycznym
- Kalkulatory inżynierskie
- Kalkulatory biurowe 8-, 10-pozycyjne
- Kalkulatory kieszonkowe
- Maszyny elektroniczne do pisania
- OVERLOCKI przemysłowe i półprzemysłowe oraz maszyny kuśnierskie

O F E R U J E

PRZEDSIĘBIORSTWO WIELOBRANŻOWE

„J A K R A N"

Radom, ul. Mariacka 4/6

tel. 248-31 tlx 67588 JAKRAN

818/K

jakran

Uwaga!

Producenci odzieży

NAJTANIEJ W POLSCE

- **Jeans — indigo denim — Brazylia 14,5 oz — 166 cm szerokości**
- **Tkanina bawełniana na spodnie i garnitury (bogaty wybór)**
- **Dzianina bawełniana**
- **Crash — bawełniany i stilonowy**
- **Wiskoza**
- **Madera**
- **Włóczka**
- **Maszyny szwalnicze**

S P R Z E D A Ż

ZA WALUTY WYMIENIALNE

W SKŁADZIE CELNYM NR 1 MCH „HANDLOMOR" Łódź, ul. Sienkiewicza 171

tel. 81-93-48 wew. 45 i 57

ZAPRASZAMY!

39067/g

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

ŚCIĄGACZ bawełniany (różne grubości) — sprzedam. 43-61-27.

39046-g

SPRZEDAM deski 25 mm z Olchy. Kuna Sosnowiec Pieńki 25 k/Strykowa.

38260-g

POJAZDY

PRZEDPŁATĘ 126p — odsprzedam 55-27-34.

38820-g

RÓŻNE

RADCA prawny Wiesław Jarnecki — spółki, podatki, Limanowskiego 31; 57-71-41 (poniedziałek — czwartek 16-19).

38867-g

MATRYMONIALNE

ATRAKCYJNE oferty panów z RFN, „Samanta" 59-850 Świeradów Zdrój, skrytka 13.

30566-g

OGŁASZAJ SIĘ W „ODGŁOSACH"

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Wakacje, wakacje...

1

Literatura brukowa

Trudno się u nas niestety żyje, a pesymiści, których nie brakuje twierdzą, że będzie jeszcze gorzej. Na razie rzeczywiście niewiele wskazuje na poprawę. Ceny wzrastają, ludzie za pieniędzmi gonią i co zarobią jakiś grosz, to okazuje się, że wszystko zdrożało i znowu jest mało. Ech! — można by powiedzieć: żyć się nie chce. A do tego jeszcze po ciężkiej pracy człowiek wraca do domu i nie może poprawić sobie humoru, bo w telewizji ciągle mówią o jakiś poważnych sprawach, a w gazetach tak smutno, że tylko się powiesić. Prawdą jest, że śmiać się nie ma z czego, ale przecież jeśli dalej pójdziemy w tym kierunku to uśmiech już wyjątkowo sporadycznie będzie gościł na twarzach Polaków.

Może więc, by rozerwać trochę ludzi, zacząć wydawać tak zwaną literaturę zeszytową. Ciekawe, że poza serią „Ewa wzywa 07" (czy jakoś podobnie, dokładnie nie pamiętam) nikt do tej pory na to nie wpadł. Na Zachodzie, na przykład, ten rodzaj literatury jest bardzo popularny i co ciekawe, powszechnie czytany. Podsuwam więc pomysł przyszłym naszym biznesmenom (ma się ten gest, co?). Z autorami nie powinno być kłopotów. Pełno pisarzy, którzy nie mają gdzie drukować kręci się po świecie. A i na pewno niejeden nauczyciel, bibliotekarz, czy pracownik domu kultury wziąłby się chętnie za pisanie, by trochę dorobić do swojej mizernej pensji.

Na początek trzeba byłoby zorganizować konkurs, żeby wybrać tych najlepszych. Potem jeszcze znaleźć dobrych plastyków, co to umieją na okładce świetnie podkreślić kobiece kształty i wymalować superprzystojnych mężczyzn — i dalej do dzieła! Jestem przekonany, że tego typu wydawnictwo odniosłoby sukces niezwykle szybko i oczywiście zarobiłoby wiele pieniędzy. A korzyści płynęłyby dla wszystkich, bo na pewno wielu zagonionych Polaków, którzy na nic nie mają czasu, za taką lekko napisaną literaturę chętnie by się zabrało i nie straciłoby kontaktu ze słowem drukowanym. Boć przecież sama czynność czytania jest zajęciem tak szlachetnym, że dobrze się dzieje, kiedy ludzie w ogóle biorą książkę do ręki. A nie muszę chyba w tym miejscu nikogo przekonywać, że to właśnie książka jest podstawowym nośnikiem kultury.

Ja oczywiście wiem, że poziom tej literatury na Zachodzie jest, mówiąc delikatnie, nie najwyższych lotów. Ale prawdą też jest, że rozchodzi się ona błyskawicznie i czytają ją wszystkie grupy społeczeństwa. Tak więc coś w niej musi być. Wiedział już o tym dobrze Witold Gombrowicz, kiedy przed wojną pod pseudonimem pisał swoją brukową powieść pt. „Opętani", która zresztą do tej pory nie ukazała się na księgarskich półkach. A szkoda, bo podejrzewam, że tę pozycję przeczytaliby akurat ci wszyscy, którzy na samo nazwisko autora „Kosmosu" reagują drgawkami. I jeszcze jedno, Fiodor Dostojewski także czytywał, ba! nawet się pasjonował francuską literaturą brukową i... został wielkim pisarzem. Wszystko jest więc możliwe.

A teraz słów kilka o tym, co moim zdaniem powinno być w takich cyklicznie wydawanych zeszytach. Przede wszystkim ludzkie charaktery muszą być zarysowane bardzo wyraźnie, zły jest złym, dobry dobrym, bez komplikowania. Poza tym piękne kobiety, bohaterscy mężczyźni, miłość, zdrada, w odpowiednich proporcjach seks (to ważne, żeby z seksem nie przesadzić, bo wtedy już tylko krok do pornografii, a tę zostawmy autorowi „Ostatnich dni Sodomy") Dalej: oczywiście przydałby się jakiś wątek kryminalny, (choć nie jest on tak bardzo konieczny) no, słowem, ma być to pisanie o normalnych ludzkich problemach, i rzecz najważniejsza nie może być owo pisanie nudne.

I kolejny pomysł: znam pewnego redaktora, który twierdzi, że brakuje u nas współczesnej powieści obyczajowej, takiej, która dzieje się na bieżąco, jest nawet pisana z odcinka na odcinek, bohaterowie mogą być autentyczni tylko pod zmienionymi nazwiskami. On drukowałby chętnie taką powieść u siebie w gazecie, ludzie by to z przyjemnością czytali, a potem oczywiście można by ją cyklicznie wydawać w zeszytach, jak przed wojną.

I niech nie zrażają się do mojego pomysłu ci, którzy lubią dobrą literaturę. Powieści w zeszytach wcale nie trzeba kupować i czytać, tak samo jak zawsze można wyłączyć telewizor w czasie serialu „Katarzyna" albo „W labiryncie".

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2

Lewym okiem

Szczęka za ząb

Znakomity prawnik i publicysta Stanisław Podemski występuje często w prasie, radiu i telewizji przeciwko zbytniej penalizacji naszego kodeksu karnego. Inaczej mówiąc zarzuca naszym przepisom, że przewidują zbyt surowe kary za błahe wykroczenia. Podzielam absolutnie to stanowisko i — czytając artykuły na ten temat — wciąż przypominam sobie dziesięcioletniego chłopca, który w okolicach Orła w 1949 roku za włamanie do kiosku z cukierkami skazany został na 10 lat obozu pracy. Przez czterdzieści lat nikt już potem nigdy więcej o chłopcu nie usłyszał.

Przypiekanie kogoś żywym ogniem przez miliony milionów lat za parę głupich przewinień popełnionych w mgnieniu oka, jakim jest przeciętne życie ludzkie — myślę tu oczywiście o potępieniu wiecznym i o ogniu piekielnym — również uważam za penalizację nieco przesadną.

Inny znakomity publicysta, specjalista od spraw gospodarczych i szef radiowego klubu zwolenników reformy Jerzy Kowalski uważa, że zbyt łagodni jesteśmy dla brakorobów. Coraz to słyszę o jakichś przykładach brakoróbstwa, o milionowych stratach wynikłych z tego, że komuś nie chciało się odrobinę przyłożyć do wykonywanej przez siebie pracy; Kiedy nici rozłażą nam się w ręku, lewy but jest większy o 2 centymetry od prawego, kiedy wszystkie uchwyty w tramwaju są pourywane, kiedy młynek nie miele, nożyczki nie tną, a gwóźdź wygina się w palcach niemowlęcia wzdychamy nieraz szczerze o zwiększenie surowości przepisów w stosunku do naszych brakorobów.

Stanisław August legalizując — jak byśmy to dziś powiedzieli — czyli wpisując do rejestru cech krawców, nadał mu przywilej karania chłostą czeladników za źle uszyte ubranie. Brakoróbstwo dostawał wtedy po prostu po tyłku, i jeśli zdarzyło mu się to parę razy musiał zmienić zawód. Dziś jesteśmy mądrzejsi i może znaleźlyby się jakieś inne sposoby zmuszające niechlujnych pracowników do jak najszybszej zmiany zawodu, a przynajmniej stanowiska pracy.

Przed moim domem przy ul. Rewolucji 1905 r. zbudowano cztery lata temu wiatę przy przystanku autobusowym. Przez te cztery lata nikt nigdy tej wiaty nie sprzątał. Ławka, na której nieraz musi przysiąść inwalida czekający pół godziny na pośpieszny autobus, lepi się od brudu. Można by odczytać na niej kilka warstw plam różnego rodzaju jak palimpsesty na egipskich papirusach. A przed szpitalem im. Norberta Barlickiego przy ul. Gabriela Narutowicza stoi również jako przystanek coś w rodzaju oszklonego kiosku — tam w ogóle nie można wejść do środka tak jest przeraźliwie niechlujnie. Kto właściwie powinien sprzątać takie obiekty? Może nikomu ta funkcja nie jest przypisana. Świadczyłoby to z kolei o brakoróbstwie ludzi, którzy o sprawie decydowali.

Nie odpowiada mi brutalne prawo „ząb za ząb", czy może jeszcze gorzej „szczęka za ząb". Nie odpowiada mi też całkowita bezkarność rozwydrzonych próżniaków. Więc co, może jeszcze raz zacząć od straszenia piekłem?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Wspaniali mężczyźni na szalejących maszynach

1.

Pionierem automobilizmu w Łodzi był Józef Auerbach, właściciel składu aptecznego przy Zielonym Rynku. W 1901 roku sprowadził on samochód firmy paryskiej Dion-Bouton. Automobil ten posiadał silnik o mocy 4,5 koni, umieszczony pod tylnym siedzeniem. Uruchamiało się go za pomocą korbki, osadzonej z boku wozu. Trąbka sygnałowa znajdowała się pod karoserią i działała przy pomocy mieszka poruszanego nogą. Z przodu samochodu zawieszona była lampa karbidowa. Wóz ten na twardej i równej powierzchni osiągał szybkość 40 kilometrów na godzinę.

Właściciel samochodu urządzał częste wypady do okolicznych miejscowości: Zgierza, Strykowa, Ozorkowa. Pojawienie się automobilu w tych miasteczkach wzbudzało niebywałą sensację i gromadziło tak wielką masę ludzi pragnących obejrzeć „dorożkę, która jeździ bez koni", iż chcąc wyjechać z takiej miejscowości trzeba było wzywać policję.

Na skutek niedoskonałości pierwszych samochodów często dochodziło do kolizji ich z pojazdami konnymi i zahamowań w ruchu ulicznym. Kolizję taką spowodował również kierowca automobilu Auerbacha. Według relacji właściciela pojazdu, zdarzenie to miało następujący przebieg:

„W samej Łodzi szofer, który został przez pewne osoby nieopatrznie podniecony alkoholem, wjechał pewnego razu całym pędem na konie pewnego fabrykanta na Piotrkowskiej róg Andrzeja (obecnie ul. A Struga — przyp. autora). *Aresztowany przez policję, nie chciał ruszyć z miejsca, a nie było nikogo, kto by potrafił samochód uruchomić. Powstało takie zbiegowisko, że ruch w tym miejscu został na pół godziny wstrzymany. Dopiero ja sam, wezwany telefonicznie, przyjechałem dorożką i uruchomiłem samochód. Za wywołanie tego zajścia zostaliśmy obaj z szoferem aresztowani, lecz po przybyciu do cyrkułu zwolnił nas komisarz Gribojedow pod warunkiem, że przewieziemy go wraz z żoną na spacer autem".*

Zamiłowanie do automobilizmu naraziło pewnego przemysłowca łódzkiego na spore przykrości. Mianowicie nabył on w Berlinie za duże pieniądze samochód, który w czasie próbnej jazdy zepsuł się na ulicy Piotrkowskiej. Nawet czterech mechaników nie mogło sobie poradzić z uszkodzonym silnikiem. Liczni gapie nie omieszkali poddać druzgocącej krytyce niemiecką robotę. Co gorsza, dorożkarze jak gdyby się zmówili. Co który przejeżdżał, wtrącał z kozła swoje trzy grosze w formie rady na temat podsypywania owsa. Było to jedyne w swoim rodzaju widowisko. Ludzie tarzali się ze śmiechu, a młody Niemiec — właściciel samochodu — szalał z wściekłości. Zahamowano wtedy ruch na połowie ulicy. Niesprawny pojazd musiano końmi zaciągnąć do garażu.

W ciągu pierwszych lat naszego stulecia pojawienie się automobilu na ulicach Łodzi wywoływało duże emocje. W miarę zwiększania się liczby samochodów w mieście mnożyły się wypadki drogowe. Na ulicy Średniej (obecnie M. Nowotki) automobil zaczepił o słup telefoniczny i odłamał korbę służącą do rozruszania silnika. W innym wypadku samochód poturbował kobietę podążającą na targ. Brak przepisów o ruchu drogowym sprzyjał częstym kolizjom samochodów z pojazdami konnymi, kończącym się nieraz pokaleczeniem woźniców i koni. W 1911 roku krążyło już po ulicach Łodzi kilkadziesiąt samochodów. Pojawiły się także pierwsze taksówki.

2.

Pierwszy lot nad dachami Łodzi odbył się w pewną lipcową niedzielę 1912 roku. Pogoda była wymarzona dla lotnika, toteż na torze wyścigów konnych w Rudzie Pabianickiej, skąd miał startować samolot do lotu pokazowego, zebrały się tysięczne rzesze publiczności. Lot trwał 18 minut i odbywał się na wysokości około 600 metrów. Mimo sprzyjającej pogody lotnik przeżył sporo emocji, ponieważ samolot zwany wówczas aeroplanem wskutek nieregularnej atmosfery, nagrzanej dymem fabrycznym, ogromnie chwiał się w powietrzu. Hrabia Scipio del Campo po wylądowaniu powiedział:

„Żałuję, że wzniosłem się tak nisko".

Obserwatorzy popisów lotnika byli jednak odmiennego zdania. Szybko obliczyli, że 600 metrów wysokości, to około 200 pięter. Taka wysokość w zupełności odpowiadała widzom, wracali więc z pokazu lotniczego w pełni zadowoleni.

W kwietniu 1914 roku, w pogodny dzień, tuż przed zachodem słońca na polach podłódzkiej wsi Brus, kilkadziesiąt metrów od linii tramwajowej do Konstantynowa, wylądował wojskowy samolot. W czasie lądowania aparat ugrzązł w rozmiękłym gruncie, uszkadzając skrzydło.

Na miejsce lądowania zbiegli się okoliczni mieszkańcy. Większość z nich nigdy nie widziała z bliska samolotu. Podchodzili do niego paląc papierosy i cygara. Wzbudzało to niepokój załogi, oficera i żołnierza, którzy bronili dostępu do areoplanu, ostrzegając, że może nastąpić eksplozja benzyny. Ostrzeżenia nie skutkowały, lotnicy musieli wydobyć broń, co wreszcie trochę odstraszyło natrętów.

Z wypowiedzi lotników wynikało, że odbywali oni lot na trasie Petersburg — Warszawa — Łódź. Pomiędzy Warszawą a Łodzią lecieli na wysokości 1500 metrów przy dobrej widoczności. Dopiero za Koluszkami dym przesłonił im wszystko. Zamiast więc osiąść gładko na torze wyścigowym w Rudzie Pabianickiej, trochę pobłądzili i musieli lądować w Brusie.

WACŁAW PAWLAK

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II (23)

Azyl dla Kanadyjczyka

Do niedawna koledzy-Polacy, których Duch czasami spotykał, pozdrawiali go w tradycyjny sposób:

— Cześć, Jasiu, jak tam leci?

Ale teraz jest wiosna 1977 roku. Powitanie brzmi już inaczej:

— Haj, Dżon. masz już cytyzenszyp?

Minęło pięć lat od czasu, kiedy grupa uchodźców polskich przybyła z Belgii do Kanady. W tym samym czasie inne grupy Polaków, które otrzymały azyl w Niemczech, w Austrii czy Szwecji, także przybyły do Kanady. Jan Duch poznał wielu tych rówieśników emigracyjnych. Na początku wszyscy wzdychali tęsknie do dnia, w którym otrzymają obywatelstwo kanadyjskie, „citizenship", ale z czasem pojęli, że pięć lat to bardzo długi okres, i że wzdychać nie ma co — cała energia została użyta na walkę o przetrwanie. Teraz podniecenie wybuchło na nowo, ci co dożyli, mogli rzeczywiście stać się nie kwestionowanymi przez nikogo na świecie Kanadyjczykami.

Tak jak kiedyś w Belgii znajomy pytał znajomego o postępy w jego azylowym procesie, tak teraz pytali się wzajemnie o „cytyzenszyp". Oczywiście, każdemu to przysługiwało po pięciu latach uczciwego rezydowania w Kanadzie. Ale otrzymanie obywatelstwa nie było wcale technicznie łatwe.

Należało bowiem zdać egzamin. I to nie po polsku. Egzamin polegał na udzieleniu odpowiedzi na kilka pytań w języku angielskim. Nie były to trudne pytania. Urzędnikom z tak zwanego sądu obywatelskiego wydawało się, że każdy, kto zamierza zostać obywatelem tego kraju, powinien mieć podstawowe o nim pojęcie. I słusznie.

Kto jest premierem Kanady? Jaki system rządzenia w tym kraju? Królestwo czy republika? Czy coś innego, a jeśli tak, to co? Z ilu prowincji składa się Kanada? Jaki ma obszar? Kto pełni władzę ustawodawczą? Jaka jest rola parlamentu? I jeszcze ze trzy albo cztery pytania tego typu — oczywiście nie zadawano ich wszystkich jednej osobie, wystarczyły dwa, najwyżej trzy. Najczęściej pytano o nazwisko premiera, którym wówczas był słynny i znakomity polityk Pierre Elliot Trudeau, oraz o ilość kanadyjskich prowincji.

Duch coraz częściej spotykał na ulicach „Little Poland", oraz w knajpach serwujących bigos i pierogi, facetów o posępnych twarzach.

— Co się martwisz, Zenek?

— Kurwa, poprawkę mi dali.

— Na czym cię oblali?

— Na tym, kurwa, premierze. Francuskie ma nazwisko, spamiętać trudno...

Wtrąca się Maniuś:

— A mnie potraktowali niesprawiedliwie. Pytali o prowincje, to im powiedziałem, że dwanaście. Na to oni, że prowincji dziesięć, a dwa terytoria. Powiedz, co za różnica? Liczba się zgadzała.

— Ja bym cię przepuścił — powiedział Duch.

Jurek Szajbus miał podobny problem, z tymi cholernymi prowincjami.

— Nie wiedziałem, ile ich jest, ale powiedziałem, że znam nazwy. No to, powiadają, wymień. To wymieniam: Toronto, Montreal, Ottawa, Alberta, Sudbury...

— Jurek — stopuje go Duch. — To nie nazwy prowincji, tylko miast.

— No to co, że miast! Ale każde miasto leży w jakiejś prowincji, nie? Nazwy znałem? Znałem. To powinni uwzględnić.

Potem się chłopaki schodzili w grupy samopomocy naukowej, dokształcanie trwało do rana. Potem szli sprzedawać butelki po piwie, a te po wódce do śmietnika, bo ich nikt nie kupuje.

Duch powiedział Mańkowi:

— To tak jakbyś chciał się ożenić z babą, ale nie wiedziałbyś jak się nazywa ani gdzie mieszka.

— No dobra, baba babą, ale premier?

— Premier to jak teść, bracie. I to taki teść, co ci daje robotę i pozwala szybko kupić mieszkanie. Bogaty teść. Co, nie uważałbyś, jakim imieniem do niego się zwracasz? Jakby był Tadeusz, to chyba nie wołałbyś go Ziutek?

Zamyślił się Maniek, pokiwał łbem, przyznał rację.

I po jakimś czasie wszyscy uzyskali ten upragniony „cytyzenszyp". Ile Duch zna ludzi, którzy mieszkają w Kanadzie po czterdzieści lat i nie mogą otrzymać obywatelstwa — z prostej przyczyny: ani jedno słowo angielskie nie chce im przejść przez gardło. Żeby choć wydukali formułę przysięgi, nawet jej nie rozumiejąc! Gdzie tam.

Nie tylko Polacy w tym celują, powiedziałbym nawet, że Polaków wśród tych nieuków jest stosunkowo niewielu. Najwięcej takich gnieździ się w środowiskach włoskich, greckich i chińskich. Doszło do tego, że dzielnica chińska w Toronto ma tabliczki z nazwami ulic wypisane w obu językach: po angielsku i po chińsku, bo zbyt wielu Chińczyków nie potrafi nawet rozróżnić liter łacińskiego alfabetu. Przypomina to sytuację Żydów, którzy po czterystu latach pobytu w Polsce nigdy nie nauczyli się mówić poprawnie po polsku, nie mówiąc już o pisaniu — nie licząc, rzecz jasna, cienkiej warstwy inteligenckiej, z takimi mistrzami polskiego słowa jak Julian Tuwim czy Bolesław Leśmian na czele. Biedota i nieuctwo są wszędzie takie same, a podsycane są poczuciem złudnego bezpieczeństwa wewnątrz grupy podobnych stworzeń, połączonych cechami tożsamości rasowej, narodowej, religijnej. Jest to bardzo słabiutka tożsamość — widać to szczególnie na gruncie północnoamerykańskim, gdzie liczy się jedno tylko pojęcie na określenie tożsamości człowieka: „ja".

Zamykanie się w gettach określonych społeczności nie ma zupełnie sensu, jest z natury swej przeciwstawne idei emigrowania. W jakim celu miałbym zamieniać Polskę na „Little Poland", pierogi na perogy, a gołąbki na golabky? Z deszczu pod rynnę. Jeżeli odchodzę od „sytuacji polskiej" w tym najszerszym znaczeniu, to nie po to, żeby wylądować w pokrzywach partykularyzmu.

Niepewni i przestraszeni nowi emigranci polscy łączą się w grupy wzajemnej pomocy psychicznej, ale bez względu na poziom ich inteligencji (tępi trzymają się grup najdłużej) w końcu wszyscy roztapiają się w masie kanadyjskiej populacji. Ten proces zachodzi w szybkim tempie właśnie po otrzymaniu obywatelstwa.

Ale otrzymanie „Canadian citizenship" to dopiero pierwszy etap walki o szczęście osobiste. Przepraszam, drugi, bo pierwszy to było osiągnięcie statusu uchodźcy, zdobycie azylu. Więc „obywatelstwo" to etap numer dwa.

I teraz zaczyna się etap następny, starania o koronę, wieńczącą wieloletnie wysiłki na obcym gruncie. Tą koroną jest paszport konsularny.

Co to takiego? Jest to dokument w okładkach koloru brązowego, o lekko wiśniowym odcieniu, wydawany obywatelom polskim, zamieszkałym na stałe za granicą. Obecnie rozważa się ujednolicenie paszportów dla wszystkich Polaków, niezależnie od miejsca zamieszkania. Bardzo słusznie. Obywatel polski nie przestaje być obywatelem polskim, jeżeli nie przeprowadzi procesu zrzeczenia się obywatelstwa. A więc niezależnie od tego, jak długo mieszka ktoś poza granicami kraju, i jakie inne jeszcze obywatelstwo posiada, w momencie przyjazdu do Polski jest traktowany przez prawo tak samo, jak każdy Polak.

Przez kodeks karny, tak. Natomiast za pokój w hotelu musi płacić jak cudzoziemiec, to znaczy od pięciu do dziesięciu razy drożej. Za bilet samolotowy na liniach krajowych: dziesięć razy drożej. Ale już za bilet PKP tak samo jak każdy. Ten podwójny standard jest idiotyzmem. Wszędzie na świecie (cywilizowanym) cena pokoju jest taka sama dla Chińczyka czy Marsjanina. Wielbiciele „urawniłowki", pełni kompleksów i spalani jadem zawiści, powiadają:

— W Kanadzie, panie Duch, za taki pokój jak w łódzkim Grand Hotelu, zapłaciłby pan sto dolarów, a tu tylko trzydzieści tysięcy.

Otóż za taki pokój, jaki mu ostatnio proponowano, Jan Duch nie zapłaciłby nawet i dolara. Zaciek na ścianie i popsuty telewizor, kiepskie wieszaki i podejrzanej czystości fotele, nie mówiąc już o niemożliwości automatycznego połączenia się z Kanadą — to wszystko kwalifikuje cenę „dla cudzoziemców" jako wyłudzenie, szantaż: jak się już w naszym kraju, frajerze, znalazłeś, to płać frycowe, albo śpij na ulicy. A powoływanie się na ceny kanadyjskie, bez brania pod uwagę różnicy w standardzie usług, jest bredzeniem wariata.

Mimo tych dyskryminacji, wynikających z chciwości polskiej administracji, emigranci zwykle po otrzymaniu obywatelstwa obcego kraju biegną do konsulatu i składają podania o paszport konsularny.

Przedtem jednak ci, którzy wjechali do Kanady na zasadzie udzielonego azylu politycznego, bez chwili zwłoki pozbywają się azylu, jakby wypuszczali z rąk rozżarzony węgielek. Tyle starań, tyle marzeń! Azyl śnił się po nocach. A teraz? Przeszkadza tylko. Jest plamą na sumieniu i na charakterze. Należy wrzucić go do kibla, pozbyć się tego świństwa natychmiast!

Muszkatułowicz rozmawia z Golczykiem w korytarzu ambasady belgijskiej w Toronto. Powiada Golczyk:

— Jak tylko dostałem cytyzenszyp, to zaraz walnąłem list do ambasady z prośbą o oddanie mi polskiego paszportu, zdeponowanego w Brukseli. Bo jak dali „travel document", to odebrali paszport i schowali do kasy pancernej. Po tygodniu przyszła odpowiedź, że mam się zgłosić tego i tego dnia. No to jestem.

— Ja tak samo — powiada Muszkatułowicz, posiadający już teraz nowe modne okulary i niezły komplet dżinsowy firmy Levi's oraz kowbojskie buty z żółtej skóry, na podwyższonym obcasie.

— Azyl dla Kanadyjczyka nie jest potrzebny — stwierdza zdecydowanie Golczyk, czując się wyższym ponad całe to wycieczkowo-ucieczkowe barachło, które w różnych kątach Europy skamle o azyl. Ba, on czuje się także wyższy od tych, którzy już azyl mają, ale nie wpuszcza się ich do Kanady z powodu nieprzydatności dla gospodarki tego kraju. I do tego czuje się wyższy od tych, którzy są już w Kanadzie, ale jeszcze nie mają cytyzenszypu. Widzicie, ile pięter może mieć poczucie wyższości człowieka nad bliźnimi! Czyż nie daje to pełnej satysfakcji i nie powiększa zasobów życiowej energii?

Powiększa, i to jak. Urzędnik ambasady belgijskiej grzecznie i obojętnie oddaje Polakom ich stare, dawno nieważne paszporty, przejmuje papiery azylowe, słowem, koniec zabawy. Jakby nigdy problem azylu nie istniał. Pojawiliśmy się na świecie jako Kanadyjczycy, już nikt nie może przyczepić się do nas o sposób, w jaki się w tym kraju znaleźliśmy. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem, i jak wszystko co z prawem związane, zniknęło w lochach archiwów. Natomiast my żyjemy — motyle wyłuskane z kokonów — i natychmiast udajemy się z Golczykiem i Muszkatułowiczem na piwo.

Więc kiedy już problem azylu nie istnieje, występujemy o paszport konsularny. Dlaczego? Co, źle nam w Kanadzie? Czyżbyśmy chcieli wracać do Polski? Oczywiście. Chcemy. Ale na innej zasadzie. Już jako „inni", jako goście we własnym dawniej kraju. Oczywiście, to określenie „własny kraj" wcale do rzeczywistości nie przylega, nigdy nie przylegało. Własna to nawet nie była ta nora, w której Golczyk mieszkał. Próbowali Golczyka „dokrajować" wielkim poetą Mickiewiczem i wielkim muzykiem Szopenem, ale Golczyk ma w dupie Mickiewicza, a z muzyki to najlepiej lubi harmoń.

Więc co „własnego" w tym kraju, w którym się urodził? Język? A pal diabli język, przez trzydzieści lat swojego życia Golczyk gadał same głupstwa i same głupstwa słyszał. A najgłośniej brzmiały rozkazy, nakazy i zakazy. W tym „własnym" języku. A w kieszeni było tak samo pusto, jak w chwili narodzin.

Duch pyta Golczyka, czy tęsknił za Polską.

— Nigdy — powiada Golczyk. — Za czym miałem tęsknić?

I patrzy na Ducha nieobecnym spojrzeniem, jakby chciał w tej właśnie chwili spojrzeć wstecz, w to, co zostawił, i dostrzec tam coś istotnego. Ale nie ma tam nic.

— A ty tęskniłeś? — pyta Golczyk.

Duch uśmiecha się — jest to trudne pytanie. Gdyby traktować rzecz brutalnie, powinien odpowiedzieć jednym słowem: „Nie". Ale gdyby wejść w specyfikę Ducha psychicznej struktury, jego uzależnienia zawodowego od polskiego języka... Gdyby wziąć pod uwagę niemożność wykonywania literackiego zawodu tu w Kanadzie, a więc niemożność utrzymania się z pracy, którą się lubi i zna, to można by zaryzykować twierdzenie, że Jan Duch pragnąłby się odnaleźć w warunkach wykonywania zawodu umożliwiających. Jeżeli jednak, z drugiej strony, wziąć pod uwagę powody, dla których Jan Duch wyjechał z Polski i niemożność spełnienia pragnień w przypadku pozostania w kraju — to co wtedy? Co przeważa, czego więcej?

— Nie, nie tęskniłem — odpowiada Duch.

— To dobrze — wtrąca Muszkatułowicz — bo myślałem, że okażesz się sentymentalny.

Człowiek, który wyjeżdża z kraju na zawsze, nie jest sentymentalny. Bo nie jest tchórzem. Sentymentalizm to uczuciowe tchórzostwo, lgnięcie do istniejącego, wynajdowanie powodów i argumentów, by się coraz mocniej z istniejącym wiązać. Ale każdy odważny człowiek prowokuje konfrontację. Dla jego nowi obywatele kanadyjscy pochodzenia polskiego starają się o paszport konsularny.

Pamiętajmy: jest rok 1977, apogeum sukcesów gospodarczych kraju za pieniądze pożyczone i jakby... troszeczkę defraudowane. Taki to ma posmak. Pożyczano im bowiem na rozwój, nie na klęskę. Nastąpiło sprzeniewierzenie powierzonych funduszów i teraz za to płaci się obrzydliwie drogo. Wdali się w grę z lichwiarzami, byli szczęśliwi, pełni poczucia siły. Władza prężyła mięśnie. Podanie poety Ducha odrzucono ze wstrętem.

Ale Golczyk paszport otrzymał. I dziesięciu innych. Dwudziestu. Kogokolwiek Duch spotkał, rozbrzmiewała nowa formuła powitalna:

— Dostałeś konsularny?

Nie wypadało nawet powiedzieć, że nie. Taki, co nie dostawał konsularnego, był jakby podejrzany. Coś z nim nie bardzo, lepiej może trzymać się z daleka, może on wróg władzy i za utrzymywanie z nim kontaktów mogą robić trudności przy wjeździe albo i wyjeździe...

Niedawni przeciwnicy ustroju, plujący na komunizm z całej siły, błagający na kolanach o azyl polityczny, teraz popierają system, chwalą głośno Edwarda Gierka, cmokają z zachwytu nad ludowym samochodem dla karłów... i jeżdżą do Polski co pół roku!

Zajdel poleciał do Frankfurtu, wynajął Mercedesa i buszował po kraju przez miesiąc, zadając szyku. Golczyk jeszcze lepiej, chociaż wypadło to drożej: kupił lekko używanego potwora amerykańskiego, osiem cylindrów, lodówka w środku, dach otwierany za pociśnięciem guzika — nadał wóz na statek i popłynęli razem, maszyna i jej zdobywca, na podbój starego, biednego kraju.

— I kto mi w Polsce podskoczy? — śmieje się Golczyk. — Jakiś prywaciarz? Może on i ma słoik dolców w banku rolnym. Ale ja mam paszporcisko kanadyjskie, a ono jest warte więcej niż miliony. Ja jestem z Ameryki i mogę mieć sto razy tyle, co badylarz, choćby i najbogatszy.

— Miałeś jakieś trudności?

Spojrzał na Ducha jak na wariata.

— Bracie, dolec wszystko załatwia. Biorą jak szczupaki na wiosnę. Od drogowego po szefa. Korumpcja, brother!

— Korupcja — poprawił Duch.

— Też mówię. Korumpcja jak cholera.

Jan Duch złożył trzecie podanie, ponieważ chciał skonfrontować się z Polską. Załatwiono odmownie. Padła propozycja: wydamy paszport-blankiet na powrót do Polski. To zapachniało przymusem, więzieniem. Nigdy by się na to nie zgodził. I to była właściwa konfrontacja: lepiej być w Polsce poetą czy gdziekolwiek na świecie szoferem? Szoferem, rzecz jasna. Jeżeli tylko ten szofer może poruszać się po kuli ziemskiej bez wiz. A mógł. I wtedy Jan Duch zrozumiał, że należy zmienić swój los tu, w Kanadzie.

C.D.N.

Rys. Dariusz Romanowicz